

SKRYPT FLEMINGA.

SKRYPT FLEMINGA.



POWIEŚĆ HISTORYCZNA
Z CZASÓW AUGUSTA II^{GO},

1825

J. I. KRASZEWSKIEGO



WARSZAWA.
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1879.

555

Дозволено Цензурою
Варшава 23 Октября 1878 года.

Fle—super extremas generosae Poloniae ruinas;
Minge super nomen, quod nova bella parit.

Współczesny wiersz do Fleminga.

Byłoto roku Pańskiego 1718. Zapisujemy datę nie dla ścisłości chronologicznój, lecz że ona jaszkrawe rzuca światło na wypadki naszej powieści. Była to chwila właśnie po ukończeniu sejmu pacyfikacyjnego, gdy po długich latach niedoli i nieładu, walki pomiędzy saskim rządem a nierządem rzeczypospolitój, nowa zdawała się otwierać era spokoju i odrodzenia.

Jeszcze burza tarnogrodzkiej konfederacyi zdala odbiżmićwała echem skarg i utyskiwań, ale nareszcie kończyło się wszystko szczęśliwie. Między stanami rzeczypospolitój a królem jakby nowe pakta stanęły. Cieszono się zwycięstwem, które było pozorném tylko.

Sasi, których konsystencya w Polsce tak straszliwie była uciążliwą, wychodzili nareszcie za granicę rzeczypospolitój; za ledwie tysiąc dwieście głów gwardyj królewskich pozostać miało, dla strzeżenia osoby pańskiej w Warszawie.

Na papierze zwycięstwo konfederacyi było świetne, a w samój istocie rozbrojono rzeczpospolitą bardzo zręcznie, bo najznacniejszą część wojsk endzoziemskiego autoramentu skryptem przez się podpisanym hetmanowie oddali pod komendę saskiego feldmarszałka Fleminga.

Zaledwie kilka tysięcy rozproszonych wojska własnego miała rzeczpospolita, gdy kilkanaście ich na żołdzie jej nie ulegało rozkazom hetmanów. Tego dzieła, w chwili największego poruszenia umysłów, potrafił ze zręcznością nieporównaną dokonać Fleming.

Był to moment największej jego potęgi w laskach królewskich. Jakim sposobem zająć potrafił Sieniawskiego i Pocięja, aby mu dowództwo to oddali, pozostało tajemnicą. Zaledwie się to dokonało, gdy szlachta, opatrzwszy się nad doniosłością tego kroku, krzyk i lament ogromny podniosła.

Oddawna feldmarszałka Fleminga posądzano o plan przestoczenia rzeczypospolitej i przeróbiania jej na monarchią dziedziczną, pod dynastyą saską. Chwila dokonania planu tego zdawała się zbliżać.

Król już był w ulubionej Saksonii, wśród swego drezdeńskiego seraju. Od lat kilku panią serca jego i względów była, zastępująca cdepehniętą hrabinę Cosel, pani Denhoffowa, z domu Bielińska.

Zarówno nad sercem i umysłem Augusta II, jak nad wszystkiemi sprawy ówczesnemi, panowały kobiety. Historia całego panowania, całej polityki, wszystkich bohaterów saskich, a poczęści i polskich tej epoki, mieści się w białych dłońiach niewiestic.

Piękna Koenigsmarck użyta jest do traktowa-

nia ze Szwedami; królem rządzą zkolei reprezentantki różnych wpływów: Aurora, Esterle, Cosel, Denhoffowa; Egeryą feldmarszałka Fleminga jest podskarbina Przebendowska; za każdym z faworytów i ministrów stoi jakaś pani lub ulubienica; cały arceopag intrygantek obsiada zamek drezdeński i wikła około niego sieci; w Polsce więcej czuć i widać panią hetmanową Sieniawską i Pocięową, niż obu hetmanów. Kobiety władną, rządzą, przez nie dzieje się wszystko, bez nich nic się dokonać nie może.

Król zaczynał starzec. Denhoffową narzuceno mu raczej, niż się w niej rozkochał. Po dumnej hrabinie Cosel, która istotnie kochała króla, następowała laleczka ładna, mała, żwawa, pocieszna, śmiała, obrotna, aktorka doskonała, z sercem wystygłym, płocha, bez pocucia winy, zimna, roztrzepana, zepsuta, chytra i złośliwa.

Dla matki jej, pani Biełłuskiej, która lubiła żyć, a nie umiała postarzyć, było-to niespodziewanem szczęściem dostać się do królewskiego worka. Na wszystko więc była gotowa Denhoffowa, nawet na posiłkowanie przemieszczającym fantazyom króla dla innych kobiet, byle ona tytuł swój i położenie na dworze utrzymać mogła.

Dla zepsutego i zużytego człowieka była-to kochanka dobrana, bo nieustępująca mu w niczem, gotowa na wszystko. Powolność jej rozciągała się do wszystkich, co mieli wpływ, co mogli szkodzić, których się lękała. Siadała na kon z królem, gdy chciał jechać na łowy, jeździła na wojsk przeglądy, piła wino, pozwalala się okadzać dymem fajki; wszystko można jej było powiedzieć, nie gniwała się za nic. Król i dwór po pijanemu obchodzili się z nią niemiłosiernie, z czego śmiała się obojętnie.

Lecz życie płynęło tak wesoło, tak szumnie, tak wrzawliwo, tak złocisto! Złoto lało się przez te białe rączki strumieniem; musiała je mieć dla siebie, aby wspomnienie wspaniałości hrabiny Cosel jój nie ćmiło, dla siostry, dla matki, dla brata i—dla wszystkich szalów, które jój przechodziły przez pustą, biedną główkę.

Feldmarszałek Fleming, który z innymi razem dzwonił na pozbycie się despotyzmu dumnej hrabiny Cosel, rad był tej wietrznej istocie, która nikomu, chyba sobie samą tylko, mogła być niebezpieczną.

Było-to w maju roku Panskiego 1718. Król wrócił z Polski uradowany istotnym zwycięstwem Fleminga, gdy Rzeczpospolita cieszyła się urojeniem. Godziny jój bytu zdawały się policzone.

Tymczasem król, znudziwszy się w Warszawie, gdzie mu niezmiernie wielu rzeczy brakło, gdzie tylko część wspaniałości, co go zwykła była otaczać, mógł mieć z sobą—pragnął to sobie nagrodzić w Dreźnie.

Stolica Wettinów rosła, budowała się, rozścielała szeroko po obu Elby brzegach; pałace stawały, jak ezarodziejską różczką z ziemi wydobyte. Za wilsdrufską rogatką po generale Birkholzu ogród i pałac, jak go naówczas nazywano „Dom turecki,” zamieszkiwała piękna Marynia Denhoffowa. Dom, co dla niej nie było bardzo pochlebnym, otrzymała umeblowany przepysznie po tureku, na sposób sultanskiego seraju. Tureckie i perskie, indyjskie i asyryjskie stroje, sprzęty, caeka były naówczas w największej modzie.

Zbliżał się dzień urodzin królewskich, 12 maja. Z narady z matką Marynia postanowiła wielką swą miłość dla króla okazać mu w sposób pe-

wnie dlań najmocniej przekonywający, rujnując się na wspaniałe jego przyjęcie u siebie.

Wprawdzie pieniądze na to płynęły z królewskiej kieszeni, ale było to zawsze wielką dla rozrzućnej Maryni ofiarą wysypac je pod nogi Augusta. Pamiętano że Cosel dawała téż świetne bale; nie chciano się jéj dać zagasić. Tradycya panowania jéj czuć się jeszcze silnie dawała. Sądzono że naśladować ją, jéj władzę i znaczenie się pozyszcze.

Wiosna była trochę chłodna jeszcze; zieloność rozwijała się opieszale, lecz szczupły dom turecki nie mógłby był dwóru pomieścić; napół więc musiano ogród zrobić salą do zabawy. Służyły do tego namioty i naprędce zbudowane szalasy. W budynku, w którym król się miał znajdować, w górze przygotowano ukryte miejsce dla niewidzialnej orkiestry, która jakby z niebios miała łagodnemi dać się słyszeć tony.

Cały ogród miał być oświecony. Wgłębi wspaniała grotta, z której oświetlone téż spadały wody strumienie, mieszcć miała posągi Herkulesa, Słonea, Apollina, wszystkie uosobienia cnót pogańskich króla, wielkiego siłą i pragnieniami świetności i slawy.

Na skinienie pięknej Maryni wszyscy Włosi, których dwór był pełen, budowniczoie, malarze, dekoratorowie, muzycy biegli, aby jéj pomódz do przyjęcia ukochanego bohatera. Z nim razem ministrowie, dwór, rezydenci polscy, cały tłum zawsze w Dreźnie mnogich z Polski suplikantów i intrygantów, przyjmować musiała Denhoffowa, a nawet dawne przyjaciółki króla, i te mnogie żony, siostry, krewnie dygnitarzy, które około babiego dworu jakby rój gwarny i ruchawy składały.

Niedziw więc, że na dni kilka przed urodzinami pańskimi musiała Denhoffowa z tureckiego domu uciec do matki, bo tam noc i dzień pracowali rzemieślnicy i wszystko stało rozrzucone.

Urodziny nadeszły wreszcie, a piękna Marynia, obejrawszy zrana swój Birkholz, znalazła go gotowym na przyjęcie króla, który niespodziankami był zepsuty.

Na paręset osób przygotowano stoły i wino najdoskonalsze sprowadzono z Węgier umyślnie, bo króla upoić było koniecznością, a Denhoffowa zaklinała się wcześniej, iż nikt od niej trzeźwym nie wyjdzie.—Szło jęj też bardzo o to, ażeby Polacy znajdujący się w Dreźnie świadkami byli jęj tryumfu i mogli o nim za powrotem opowiadać. Zaproszeni byli wszyscy.

Marynia na ten dzień ubrana była w lamę srebrną, w koronki, w brylanty i wyglądała odmłodzona, odświeżona, rozjaśniona szczęściem, tak że matka się nią nacieszyć nie mogła. Wieczorne światło bardzo jęj było do twarzy, bo na tęj niby dziecięcęj twarzyczce życie burzliwe, namiętne, wyręło już niezatarte ślady, ale tak jeszcze była piękną, a w oczkach złośliwych, a w ustach naprzemiany uśmiejchających się słodko i szydersko tyle jeszcze było naturalnego i tyle wyuczonego wdzięku!...

Mrok padał, gdy przybył król, którego powitały muzyka, śpiewy i piękna gospodyni, z najpiękniejszymi towarzyszkami, poubićrane za pasterki niby, z bukietami w ręku, z wiencami, które króla opłotły.

Wszystkie panie były w bieli, wiosennemi kwiaty strojne. Królowi dostała się najpiękniejsza gospodyni; inne damy losami ciągnęły kawalerów, którzy im przez ciąg tego wieczora służyć mieli.

Co miał najdostojniejszego dwór, znajdowało się dnia tego u Denhoffowój. Służba stojąca u drzwi wpuszczała zaproszonych, ale nikogo wypuścić nie było wolno.

Wszyscy musieli dotrwać tu aż do upojenia rozkoszą i winem. Pośród kobiet jaśniały najpiękniejsze twarze, najświetniejsze imiona i najniebezpieczniejsze gospodyni nieprzyjaciółki, które się do niej najśłodziej uśmiechały.

Zbytek ten, z którym występowała ulubienica króla, raził i napełniał zazdrością. Po za Marynią spoglądano szydersko, ruszano ramionami, a niejedne usta szepnęły: „Niedługo to potrwa, niedługo.“ — Muzyka z Włochów złożona brzmiała piosnką wesołą. Król oglądał się, promieniał, był rad i piękne rączki nadskakującej mu gospośki całował.

Ale dla króla nie było przyjęcia bez winy i upojenia. Wnet puławy krążyć zaczęły i zdrowie pana wypito z wrzawą, która się w mieście echem odezwać musiała. Zagłuszyła ona muzykę. Kilku polskich gości podniosło kielichy do góry, podrzuciło czapki, kilku poszło do kolan pańskich z życzeniami.

Kielichy, ledwie wypróżnione, napełniały się za zdrowie Denhoffowój, które król wychylił ogromnym puławem. I znowu wrzawa się podniosła wielka, a muzyka zatęchła w wiatrem.

Taki był początek uczt. Jaśniały ogród, dom, drzewa, ogrojenie w płomieniach i całe wieniec lamp, przeplatane kwiatami, łączyły z sobą gałęzie lip i świerków. Wśród nich wystawione stoły ogromne połyskiwały cudowną zastawą, kryształami, porcelaną, srebrami.

Trochę na uboczu stali pan starosta Kocieli z panem podkomorzym Dziubińskim. Obaj mieli

to szczęście osobiście być znajomymi pani Biełliński i otrzymali zaproszenie. Starosta już nie po raz pierwszy bywał na takich festynach, więc mu tu już nie się tak dziwnem nie wydawało. Ale Dziubiński, domator, którego sprawa kręta przypędziła aż do Saskiej stolicy, gwoździ pozyskania protekcyi, choć się znajdował raz na Saskiej kępie, gdy król szlachcie tam wyprawiał biesiadę wielką, o takich czarach, jakie tu spotkał, nie miał pojęcia.

Wino téż, którego skosztował, a które naléwano nieustannie, pilnując aby nikt się nie ważył z próżnym stać kielichem, smakowało przedziwnie. Węgrzyn był stary, słodki razem i mocny, dający się pić cudownie, ale zdradziecki. — Upajał on nie gwałtownie, brutalnie, ale wciskając się powoli do mózgu, napędzając głowę jasnością i weselem, czyniąc człowieka najprzód niezmiernie szczęśliwym, nim go zrobił strasznie głupim.

Zdawało się iżby dziecięciu nie zaszkodził, a usta niewieście nie wzdragały się od niego. Wkrótce jednak skutki się okazywać zaczęły; wesołość stawała się niepohamowaną, poufałość nadzwyczajną, kochanie się wzajemne niezmiernem. Króla „dobrego“ obstępować wszyscy zaczęli. Lecz poruszając się, każdy uczuł, iż ten niepoczciwy węgrzyn jakby nogi poodrębywał. W głowie jeszcze było dosyć jasno, w sercu wesoło, w duszy promiennie, a ruszyć się z miejsca zaledwie było można z trudnością. — Ruszano się jednak, chwiejąc się i śmiejąc, aby bliżej dobrego króla zobaczyć. Król pił, pił straszliwie, a nie tylko pił, ale do picia zmuszał. Któżby panu odmówił?

Dziubiński sumiennie, choć nieco opodał stał,

spełniał wolę majestatu; wypił do dna i śmiał się.

— Panie starosto dobrodzieju — mówił do Kociella—to są czary! to są mytologiczne elizejskie pola .. to wielki monarcha! niech go!

Machną ręką... słów mu brakło.

Śmiechy rozległy się dokoła pana; usiłowano go zabawić, a widocznym przedmiotem szyderstw króla i dworu był człowiek gruby, niezgrabny, z głową ogromną, przysadzisty, czerwony, wyglądający jak gbur nieokrzesany, choć suknię miał szytą dworską, która wysoki stopień w hierarchii oznaczać się zdawała. Kolem go objęto i sam król ciskał nań żywemi słowy.

Osaczony ów niedźwiedź stał, odcinając się wi-
dać ostro i grubo, z gniewem, a każde słowo jego, zaledwo dosłyszane, śmiechami niepomiernemi witano.

Nie był-to wszakże ani ów sławny Fröhlich, co miał przywilej króla pobudzać do śmiechu, ani Kyan dowcipny, ani żaden z patentowanych wesolków dworu.

Tym tak lekceważonym i wyśmianym człowiekiem był biedny Watzdorf, którego przezywano chłopem mansfeldskim i bufonem, niedawno nieznanym zupełnie, podrzędna figura, którego wszechmocny Fleming królowi gwałtem narzucił na ministra finansów. Opowiadano sobie pocichu, że głupi człek, trzech zliczyć nie umie, że mówiąc, kilku słów nie zwiąże; ale Fleming go popycha, bo się wyręczyć pragnie, zbyć części brzemienia, a nie lęka się go w przeszłości.

Jeden też feldmarszałek, stojący nicco w oddaleniu, z pewną niechęcią i odrazą patrzył na to pośmiewisko. Po królu on tu był jeszcze pierwszym, ku niemu ukradkiem zwracały się oczy wszystkich; kłaniano mu się niemal niżej niż sa-

memu panu, bo wiadano że nim władał. Wpo-
śród mnóstwa ulubieńców, którzy w każdej chwili
zastąpionymi być mogli, jeden on rozumem, pra-
cą, energią, zręcznością przez nikogo zaćmionym
być nie mógł,

Spojrzawszy nań, gdy stał tak w otoczeniu kró-
lewskiem, śmiejąc się i pijąc narówni z drugimi,
bo pić było potrzeba i upić się czasem dla miło-
ści pańskiej—niktby w nim na oko nie domyślił
się wielkiego męża stanu. Wyglądał na dobrego,
wesolego kolegę tego kółka, którego król był
ogniskiem. Zręczny, przystojny, jasnego oblicza,
pięknych rysów twarzy, miernego wzrostu, zbu-
dowany kształtnie, w dni powszednie, wśród bie-
siady, przy kielichach, uchodzić mógł za czło-
wieka, co żyć tylko lubi i bawić się potrzebuje.
Była-to wszakże żelazna natura pomorskiego
szlachcica, którego ród, ostry klimat i długie wal-
ki zahartowały na wszystko.

Fleming miał poczucie swęj sily i siłę woli do-
prowadzoną do nadwyczajnej potęgi. Mógł
i umiał nakazać sobie, co chciał: w dzień stu su-
plikantów i urzędników odprawić, króla zabawić
i zmusić do zastosowania się do jego planów,
opędzić się nieprzyjaciolom, znieść ciężkie poży-
cie z żoną nieznośną; wieczór i część nocy spędzić
na szalonej pijatyce; wrócić do domu, aby zasnąć
zaledwie na godzin parę i wstać do dnia, dla na-
kręcenia téj machiny, w której się ciągle coś
rwało i psuło. Stawić czoło temu, z kim co chwila
walczyć trzeba było, aby się obronić obcym nie-
przyjaciolom, domowym intrygom, fantazyom pa-
na, zabiegom kobiećym, mógł tylko taki człowiek,
jak Fleming..

Z innym królem i on zapewne wcale inaczejby
urósł na męża stanu, lub wodza; z Augustem mu-

siał być nieustannym stróżem i aktorem tragi-komicznego dramatu walki ogromnych pragnień z niezmierną lekkomyślnością. Jemu August winien był wyniesienie swoje na tron polski; on, z pomocą Przebendowskiego, za którym była siostra jego stryjeczna, potrafił pośród najnieprzychylniejszego składu okoliczności posadzić go na tronie Jagiellonów.

Od téj chwili, gdy myśl się ta ziściła, Fleming miał jedno na sercu: połączyć nierozzerwanym węzłem Saksonią z Polską, z nich obu stworzyć państwo jedno, dziedziczne, silne, któreby dynastyą Wettinów zrównało z najpiérwszemi w Europie domami panującemi. Fleming znał doskonale stosunki rzeczypośpolitéj, ludzi z którymi miał do czynienia, rozprzężenie w instytucjach i umysłach, i wiedział jak z tego korzystać. Kilkadziesiąt lat już pracował nad tém dziełem wielkiém, kilka razy blizkim był urzeczywistnienia naostatek, po tarnogrodzkiej konfедераeyi, gdy zdawało się że wszystko zostało straconém, potrafił uchwycić komendę jedynych nienial wojsk rzeczypośpolitéj, a hetmanów rozbroić.

Uśmięchało się mu więc doprowadzenie do skutku długożywionego programu. W Polsce tylko stała mu na zawadzie szlachta burzliwa, rozkolysana ostatnią konfederacją, dumna rzekomém swém zwycięstwem, a w Saksonii miał do czynienia z tym dobrym Herkulesem, który ciągle prządlł u kolan jakiegós Ointalii złote nici, na które wątku dostarczyć było trudno.

Tylko w historyi ostatnich czasów Rzymu, za cesarów, spotykają się takie jak Augusta Mocnego postacie, z tą autolatryą bezmierną, która żądzom nie zna granic, niczém się nie dając poliamować, żadném prawem powstrzymać. Klęski

nawet, upokorzenia, wojna szwedzka, nieudolność własna, gniew tylko budziły, a nie uczyły pomiarowania.

Świetnić, błyszczyć bądźcobądź, dokazywać z pularem w dłoni, w orszaku niewieścim, w zapasach olbrzymiej siły która cała skupiała się w rękę, bo jej nie było w duszy—to sobie zadaniem życia uczynił August Mocny.

Zwano go dobrym, chociaż nim nigdy nie był, owszem: rozrzutnym, pobłażającym, umiejącym się przycisnąć, ukryć myśl, ale zarazem okrutnym aż do zapamiętania, niemiłosiernym do niehumanoidalnego chłodu serca obojętnym na wszystko róć co się tyczyło jegosamego.

Nic w nim naturalném nie było, sztuczném wszystko i na pokaz, od amorów począwszy, do polityki. Żadna myśl długo nie mieszkała w tej głowie oczadzonej miłością własną, oprócz urazy, której nie zapominał nigdy, i zemsty, która nie wygasła w sercu.

Z olimpijskich wyżyn nie schodził nigdy na ziemię, nie kochał nikogo, śmiał się z tych których ściszał przed chwilą, a gdy obalić miał i odepełnić, stawał się najslodszy. Ludzie dlań byli zabawkami, które polamawszy, rzucał na śmietnisko. Nic go to nie kosztowało. Z takim panem i takim bohaterem rządzić musiał ów Fleming. Uginać się, zamilknąć, uleść, odgadnąć, wziąć szturmem niedoleżnego, narzucić się, pochlebić zręcznie, należało do tej roli sturamienną.

Cheąc się utrzymać, musiał co chwila uprzętać z drogi tych, którzy mu zawadzali, pozbywać się ludzi, aby dać zwyciężyć idei. Tą ideą było złączenie dwu państw wielkich i zupełny przewrót w instytucjach rzeczypospolitej.

Fleming rządził naówczas zarówno Saksonią i Polską; tu i tam miał posłuszne narzędzia, w obu krajach nieprzyjaciół. W rzeczypospolitej wszystkie winy króla kładziono na niego, w Saksonii naprzykrzyło się jego panowanie, które za długo trwało.

Gotowano mu nieraz pocichu upadek Beichlingena; raz nawet już król był odprawę napisał, gdy Fleming, dowiedziawszy się o tém, wpadł do niego, opanował go, ujął, nastraszył, zwyciężył i pismo odprawiające podarł w kawałki.

Ta potęga nad umysłem króla musiała mu robić nieprzyjaciół; zapierał im drogę, zaćmiwał słońce, nikt jednak porwać się nie mógł na olbrzyma. Na to potrzeba było kobiet—tylko białe rączki mogły sięć na niego upłatać.

Wśród wrzawy balowej, wyśmiewany przez napół pijanych dworaków, Watzdorf był jedną z kreatur Fleminga, który go stworzył z niczego, aby sobie ulżyć w pracy, a nie obawiać się spółzawodnika. Wyszydzany chłop mansfeldski był nietylko niezgrabnym i zająkliwym, śmiesznym, ale istotnie ograniczonym i głupim. Zawiadywał on niejaki czas dworem pańskim Fleminga; feldmarszałek znał go dobrze, nie zajrzał jednak może do głębi tej duszy spowitej jeszcze, którą promienie słońca miały rozwinąć inaczej, niż przewidywał.

Gdy wszyscy dworacy króla i sam August drwili niemiłosiernie z Watzdorfa, Fleming patrzył nań z politowaniem i wysunął się wreszcie na ratunek. Watzdorf sam bronił się grubiańsko i brutalnie.

Wśród elegantów jak Friesen, Vitzthum, von Loem i tylu innych pięknych a zręcznych dworaków, Watzdorf wyglądał ze swą czerwoną, na-

brzmiałą twarzą, jak plama na tkaninie kosztownej; nawet Kyall i Fröhlich lepiej przystawali do ogólnego obrazu, nad niego.

Feldmarszałek potrafił nareszcie odwrócić od niego uwagę. W sposób zręczny rzucił złośliwą wątpliwość, kto też lepiej pije i dłużej wino znosi, Niemcy czy Polacy. Oba narody te miały dosyć pod tym względem ustaloną reputacyą. Król sasko-polski oba narody sobą przedstawiał.

Pflug, który pił jak gąbka, trzymał zakład za Niemcami; wojewoda inowrocławski i Pociąg hetman litewski ujmowali się za Polską.

Z tego tematu wszczęła się pijatyka szalona, straszna bachanalia, w której król nie ustępował nikomu, pijąc z poddannymi swymi obu narodów. Naléwano nieustannie.

Trwożliwa Denhoffowa nie o to, aby królowi trunek zaszkodził, bo do niego był daleko przywykleszym niż do wody, ale żeby ktoś, podpiwszy, nie uchybił Herkulesowi, kręciła się, zabiegała, osłaniała, zamykała usta.

Pito ciągle, pito straszliwie. Jak się stało że rzeczpospolitą dnia tego zwyciężyła monarchia dziedziczna i Sasi pobili Polaków—jest rzeczą niewytłumaczoną.

Pflug ciągle pił jeszcze, Vitzthum, z elegancyą sobio właściwą, milcząc i uśmiechając się, Friesen udawał że pije, a Fleming, choć pijany, kazał sobie ciągle naléwać—gdy Galecki i inni reprezentanci rzeczypospolitej już się ledwie mogli na nogach utrzymać.

Najgorzej było z Dziubińskim, który, nienawykły do dworskich obyczajów, najprzód trzymał się daleko od króla. Ale każdy kieliszek go do niego zbliżał. Przysuwał się do majestatu, głos mu się rozwiązywał i coraz huczniej począł wy-

wolywać, chociaż chwiał się. Parę razy go ktoś odprostował, Dziubinski zaś przypisywał potknięcie się niepewnemu gruntowi ogrodu, po którym stąpał, a nie sobie. Szedł dalej, ale twarz jego śniertelną się okrywała błądością. Kocielił też, usiłując przepić Sasów, zciał się straszliwie.

Obstępywano króla tak jakoś coraz cieśniej i bliżej, że Denhoffowa własnoręcznie odpychać musiała. Dziubinski czuł w sobie wzrastającą miłość dla króla; chciał mieć to szczęście konieczne, by pochwycić połę jego złocistej sukni i na niej gorący pocałunek wycisnąć. Sunął więc z kielichem, rozgarniając stojących na drodze. Wtém popchnął go ktoś, a choć Dziubinski krzyknął:—*Sta pes!*—tak niefortunnie pochylił się naprzód, iż salwując się od upadku, rzucił się na króla, popchnął go, a co gorzej, swą szlachecką nogą ogromną nastąpił na palec Augusta, historyczny ów palec, na który król cierpiał od czasu karuzela, gdy się kochał w podstolinie, późniejszej księżnie cieszyńskiej.

Król odepchnął go z taką siłą, że Dziubinski byłby nawznak poleciał niechybnie, gdyby nie ciasno otaczający ich tłum. Oparł się zaraz o Galeckiego, i stało się, co się dzieje, gdy dzieci z kart stawiają sobie rzędy figur, na które dmuchnięcie wszystkie odrazu obala. Tu tylko nie padł nikt, ale zachwieli się aż do ostatniego wszyscy, taką król siłę miał w ręku. Dziubinski wino rozlał i w głowie mu jasne koła jakies latać poczęły. Król syknął z bólu, ale przy upojeniu nie dał on mu się czuć tak bardzo. Dziubinski był w rozpacz; chciał koniecznie majestat przeproszać, ale go nie dopuszczono.

Była-to chwila właśnie, gdy wspaniały fajerwerk puszczone z cyfrą króla, a że Dziubinski

już i tak był przerażony, krzyknął okropnym głosem, myśląc iż z niebios lecą pioruny:

— A słowo stało się ciałem!

Zepchnięto go jakos w dalsze rzędy między widzów, zgubił się zupełnie, przelękły i wystraszone, zniechęcony, i powziął najmocniejsze postanowienie zupełnego wycofania się z tłoku. Tém bardziéj było to nieuchronném, że Dziubińskiemu robiło się źle po winie i spoczynek w miejscu ustronném, stawał się koniecznością.

Instynktem jakimś wiedziony, dobił się biedny człowiek do wnijścia, u którego stało czterech ogromnych drabów, z halebardami skrzyżowanemi, nie wypuszczając nikogo.

Dziubiński, czapkę z pod pachy nalożywszy na głowę, wprost szedł na nieprzyjaciela.

— Puszczaj! — wołał.

Stróże skrzyżowali jeszcze silniéj halebardy i wołali po niemiecku:

— Niewolno!

— Puszczaj! — powtórzył, ale tym razem głosem groźnym.

Rozkaz jednak był nieodwołalnym; stojący przy drzwiach złamać go nie mogli. Zaczęto się skupiać koło Dziubińskiego. Szlachcicowi robiło się coraz gorzej; wyjść potrzebował, aby rzeczywospolitójnie skompromitować, okazując że Polacy łbów mocnych nie mieli.

— Puszczaj! — zakrzyczał raz jeszcze.

Halebardy się nie poruszyły.

Dziubiński, widząc że inaczéj rady nie da, mimo obecności króla, dobył szabli i wrzasnął:

— Do kroć sto tysięcy diabłów niemieckich (*), puszczaj, bo chłasnę!

(*) Historyczne.

Dopiero niemieccy stróże, pomiarkowawszy że z tym gościem wściekłym nie było ratunku, otwarli mu drogę i Dziubinski, zachwiawszy się na nogach, zataczając nieco, spokojnie wywędrował na wilsdurfskie przedmieście.

Był to drugi (licząc w to drwiny z Watzdorfa) epizod charakterystyczny tego wieczora u pięknej Denhoffowej, który się tak udał, że wistocie nikt z niego o białym dniu nie wyszedł trzeźwym, a król w karęcie odjechał, śpiąc już w drodze.

Upił się Watzdorf, upił niespojony Pflug, który zwykle wszystkich grzebał. Fleming miał mocno w głowie, ale powróciwszy do pałacu, umył się zimną wodą, wypił kilka szklanek limonady i po małym spoczynku w krzesle, siadł do roboty, której zaniedbywać nie było podobna.

Pamiętny ten, wspaniały wieczór Denhoffowej miał ją kosztować tylko dziesięć tysięcy talarów, ale co gorzej nad to, naraził ją na zazdrość. Wszyscy, co się upić musieli, mieli też do niej żal, iż pokonani byli, a lękali się, czy się z nich który nie wygadał z czém niepotrzebném i niewłaściwém.

Dziubinski, gdy się nazajutrz opamiętał na kwaterze i zrobił ze sobą rachunek sumienia, wpadł w rozpacz. Jawném dlań było, iż majestat panski nastąpieniem na palec obraził, że sprawa ta wymagała deprekacyi i przebaczenia — inaczej był człowiekiem zgubionym i mógł być posądzony o rebelią, o zuchwale nastąpienie na osobę króla jegomości.

Zaledwie ubrawszy się, naczczo nawet, Dziubinski poleciał do księdza biskupa kujawskiego Szaniawskiego, o którym wiedział iż u króla jest w łaskach największych, i nie uspokoił się, aż mu ten w swoim i króla imieniu dał rozgrzészenie,

zapewniając iż o wypadku dziś nikt już nie pamięta i cienie nocy na wieki go pochłonęły.

Z pomiędzy osobistości, otaczających króla Augusta II, Fleming jest bezwątpienia jedną z najznakomitszych. Czas tylko i okoliczności zmusiły go niekiedy przybierać postawę wesołego dworaka, bo inaczej, jak dzielając zabawy i szaleństwa królewskie, utrzymać się przy nim nie było podobna. Pod tą jednak maską wesołą i niepozorną, Fleming był jedynym mężem stanu i dyplomata, poważniej pojmującym sprawy państwa i widzącym dalej od innych.

Rodzina Flemingów, której gałąź jedna zdawna się przesiedliła do Szwecyi, druga przeniosła do Polski, pochodziła z Pomeranii. Ojciec feldmarszałka, Jerzy, był radcą tajnym pruskim trybunału nadwornego w niższej Pomeranii. O trzy lata starszy od króla, Jakub Henryk, co się rzadko trafiało szlachcie w tamtych czasach, skończył był nauki w uniwersytecie frankfurckim nad Odrą, a potem uczył się jeszcze w Utrechcie, sposobiąc do przyszłego zawodu. Jednym z nauczycieli jego był sławny filolog Graevius, i dzięki jemu, Fleming doskonale się nauczył po łacinie, co mu później w stosunkach jego w Polsce i wogóle w dyplomacyi było wielce dogodnym. Współcześni zapewniają, że w kwestyach spornych z niesłychaną siłą logiki nacięrał na przeciwników, nie dając im tchnąć, obchodząc ich zręcznymi sofizmatami i pokonywając prawie zawsze.

Minister Hoym powiadał onim: „Ten Fleming, to cały diabeł; czuję że mam słusność, że się

nie myślę, lecz zawsze mnie swoją rzutkością zwycięży, a gdy chcę powetować klęskę, już za późno.“

Z Holandyi dwudziestoletni przyłączył się do sławnej wyprawy Wilhelma III księcia Oranii do Anglii. W następnym rozpoczął służbę przy synu wielkiego kurfirsztą, z której wkrótce przeniósł się do saskiej. Zajmował, jako wojskowy, miejsce adjutanta przy Janie Jerzym IV., August dał mu pułk grenadyerów. Razem z nim odbył kampanię węgierską. Tu w pierwszym swoim pojedynku zabił barona von Löwel. Były to czasy młodzieńcze jeszcze. Nie rzucając służby wojskowej, używany był przez Augusta do spraw dyplomatycznych, bo u niego wszyscy na rozkazanie do wszystkiego służyć musieli. Stosunki z Polską przez stryjeczną siostrę, zamężną Przebendowską, dopomogły mu do skutecznego działania w sprawie elekcji Augusta.

To był początek właściwy wielkich łask i zaufania, jakiem go król obdarzał. Wszystkie niemal sprawy w Polsce jego rady i pomocy potrzebowały. Szybko nastąpiły po sobie mianowania: generałem-lejtnantem, radcą tajnym, wielkim koniuszym litewskim. Powodzenie w Polsce skłoniło króla wysłać go w poselstwie do Kopenhagi i do Berlina, ale tam miał się obu panującym nie podobać. Zarzucano mu naówczas, że grał przy dworach raczej rolę tajnego agenta i podpatrującego, niż ministra, że intrygował, podglądał zbytnio i wiedział wszystko, a do każdej rzeczy się mieszał. Lecz ówczesna dyplomacya cała nie była czém inném, jak grą wybiegów i podejść, godzi się więc domyślać, iż go nie lubiono tylko dlatego, że był bystrzejszym od innych i że oszukać go nie było podobna.

Później już gdziekolwiek się pokazał, zamyka-
no przed nim tak dobrze drzwi i usta, że niczego
dojść nie mógł, obawiano go się i nie ufano. Zby-
tnia przenikliwość czyniła go niebezpiecznym.
Wrócił więc Fleming do wojskowego zawodu
i sprawiał obowiązki ministra wojny, a od roku
1711, jako feldmarszałek, był dowódcą całej siły
zbrojnej saskiej.

Po śmierci Pfluga objął zarazem ogólny za-
rząd ministerstwa, a raczej gabinetu, i wszystkie
sprawy państwa przeszły w jego ręce.

Potrzeba było niezmiernej zręczności i wytrwa-
nia, aby pousuwać z drogi wszystkich i nie dopu-
ścić podziału władzy, któraby walką była i sił
pozbawiała. Z kolei musiał Fleming pozbyć się
hrabiego Hoyma, Schulenburga i wielu innych.
W miejscu Hoyma właśnie był królowi narzu-
cił tego Watzdorfa, któregośmy widzieli pośmie-
wiskiem wszystkich, na wieczorze Denhoffowej.

Osobiście mężny, żywego umysłu, niespraco-
wany, przebiegły, woli żelaznój, miał też Fleming
wadę i przymiot zarazem, którą nawiędzani by-
wają ludzie jemu podobni. Miał niezmierną wia-
rę w siebie, bez której polobno nie się dokonać
nie może. Raziła ona w nim, bo się z nią nie
krył, ale była bodźcem i sprężyną do czynów,
nad którymi innyby się zawahał charakter. Przy-
wodzą jego wielce znaczące powiedzenie o sobie
(*si fabula vera*).

— Moja zasadą jest—miał mówić—że okolicz-
ności robią człowieka. Każdy człowiek jest do
wszystkiego zdolnym—(powinien był dodać: tak
obdarzony, jak ja sam)—byle miał zręczność wy-
próbowania sił swoich. Ja sam, dodawał feld-
marszałek, jestem tego najlepszym przykładem.
Sposobiłem się w początkach tylko do zawodu

wojskowego i najwyższym celem moich pragnień było pulk otrzymać. Jednakże udało mi się zostać pierwszym ministrem, być mianowanym feldmarszałkiem, chociaż właściwych kolegów nigdy w życiu nie odbywałem. Rządę (ich *gouvernire*) mogę powiedzieć Polską i Saksonią, nie znając dobrze ustaw obu tych krajów, a udaje mi się wychodzić z zadania tego z honorem.

Mógł był dodac: niezawsze bardzo szczęśliwie.

Co się tyczy Polski, Fleming wistocie był tu sprężyną wszystkich robót królewskich, a główną myślą jego, która go aż do zgonu nie opuszczała, było połączenie obu krajów i zlanie ich w jedną monarchią dziedziczną. Idąc do tego celu, opierał się wyłącznie prawie na magnatach, na pozyskanych dworowi senatorach, nie licząc za nic tej szlachty, która, bądźco bądź, nawet ówczesnej arystokracji chwilami stawała się groźną.

Mówić do przekonania magnatów o zaprowadzeniu silnego monarchicznego rządu nie było sposobu; ujmowano ich łaskami. Stało się, czego nie przewidział Fleming, że ten system korupcyi zachwiał całym jego planem. Panowie, ilekroć chcieli wymódl więcej i uczynić się potrzebnymi, podniecali szlachtę i nią się zasłaniali.

W świeżo stłumionej pacyfikacyi konfederacyi tarnogrodzkiej szlachta też poczuła swą siłę i, wyzyskiwana, stała się potęgą.

W razach ostatecznych tak z królem, jak z innemi czynnikami spraw ówczesnych, Fleming postępował sobie zuchwale, szedł przebojem, napadał, zmuszał, oblegał i zwyciężał. Zarzucano mu to zuchwalstwo i zarozumiałość niezmierną. Jemu przypisywano wplątanie Augusta w niešťczęśliwą, fatalną dlań wojnę szwedzką z Karolem XII. Nieprzyjaciele Fleminga radzili kró-

łowi ściśle się związać z Francją i Szwecją i stanąć przeciwko Prusom. Znaczna część senatorów polskich była naówczas pensyonowaną przez Francją i byłaby przeszła do obozu Augusta, popiérając go. Fleming natomiast związał Saksonią z Rosyją i Austryją przymierzem, które wpływowi dworu austriackiego, naówczas najważnemu w Saksonii, przypisują.

Zarzutem drugim, słusznym przeciw niemu, było popiéranie nieogłędne zgodzenia się Saksonii na przyjęcie tytułu królewskiego przez Brandeburczyka. Tu jedyném tłumaczeniem są stosunki fanilii jego na dworze berlińskim, które go wiązały.

W obejściu się feldmarszałek był bardzo żywym, śmiałym, niezmordowanym przy szalonych zabawach króla i miał wogóle obyczaje żołnierskie. Rozkazy rzucał krótko, stanowczo, w niewielu słowach, a wrząc ociągania się i nieposłuszeństwa wpadał w gniéwy gorączkowe. Łada żart potém trafny rozweselał go i opamiętywał. W rozmowach bywał czasem dowcipnym i ostrym.

Z królem niekiedy obchodził się z poufalością przesadzoną, zuchwałą, a zwłaszcza popijanemu pozwalał sobie z nim do zbytku, szczęściem bezkarnie. Król się zniechęcał, gniéwał, ale Fleming umiał go rozbroić, zagadać i przejednać. Wadą główną w nim było, że się zrazu chwycił zbyt gorąco myśli która mu przychodziła, rozamiętniał się do niej, a wprędce potém, natrafiając na przeszkody w wykonaniu, równie się łatwo zniechęcał. W tym charakterze, którego studyum należy poczęści i do naszych dziejów, jest innóstwo sprzeczności i rysów szczególnych. Przy tém wszystkiém, cośmy o nim powiedzieli, był-to

zarazem wielki spekulant na dobra, wielki przedsiębiorca ogromnych gmachów, które budował i królowi odprzedawał, człowiek lubiący przepych, a umiejący robić pieniądze. Przez siostrę swą stryjeczną, Przebendowską, wielce mu ulubioną, feldmarszałek miał już stosunki ścisłe z Polską i podwoiły je dwa małżeństwa, złożone przez siostrę, a oba niefortunne. Pierwszą żoną jego była Sapieżanka z domu, Franciszka wdowa po Radziwille. Z tą pożycie tak się nie wiodło, iż nakoniec rozwieść się musieli. Mówiliśmy już, jaką rolę naówczas grały kobiety w Dreźnie. Pomiedzy innemi kręciła się tam naówczas jedna z najśłodszych i najzłośliwszych swojego czasu istot, awanturniczka, rodzona siostra księżny cieszyńskiej, pani Glazenappowa. Była to klęska i nasłanie, intrygantka, zalotnica, plotkarka, wszędobylska. Prawdziwą miała rozkosz, sama z nikim długo nie mogąc wyżyć (jak z Schulenburgiem), różnić między sobą wszystkich, donosić, oskarżać, jątrzyć. Już i tak niedobre stosunki Fleminga z jego pierwszą żoną tą nieszczęśliwą Glazenappową doprowadziła do zajścia, które rozwód spowodowało. Rozgniewany naówczas Fleming, nietylko jej dom swój wypowiedział nazawsze, ale służbie swojej precz ją za drzwi kazał wyrzucić. Było to nieco po żołniersku, ale Glazenappową znano nadto, aby się kto ujął za nią.

Można sobie wystawić, jak później usiłowała się pomścić na nim i jak przeciw niemu intrygować musiała.

Po rozwodzie z pierwszą żoną, feldmarszałek ożenił się, niestety, powtórnie, zawsze szukając koligacyj i imienia, z księżniczką Teklą, córką

kancelerza litewskiego Radziwiłła, i wpadł z Sapieżyńskiego deszczu pod Radziwiłłowską rynną.

Żona ta druga miała wszystkie fantazyje i całą dumę krwi Radziwiłłów właściwą i obchodziła się ze starszym od siebie mężem, jak z ostatnim pacholkiem. Pożycie stało się prawdziwem męczeństwem, piekłem domowem, które Fleming znosił z niesłychaną, anielską cierpliwością. Oddają mu tę sprawiedliwość, że mężem był najprzykładniejszym. Wprawdzie szeptano o jakichś niedoszłych amoraeh i wielkiej miłości dla pani Schmeltau, ale to wyglądała na złośliwą plotkę.

Na dworze Augusta II owe kochania i stosunki miłosne były ehlebem powszednim, mówiono o nich głośno, chlubiono się niemi. Król zakładał się z Friezenem, zakochany w jakiejś pani, o której siostry seree starał się Friezen, kto prędzęj do mety dobieczy—i Friesen zwyciężył. Nie czyniono z tego tajemnic, jednakże o żadnym podobnym związku feldmarszałka z którąkolwiek z pięknych pań drezdeńskich, mowy nie ma nigdzie.

Nie było na to czasu; Fleming był niesłychanie obarczony. Jak sam mówił, rządy Polski i Saksonii spoczywały na jego barkach, a króla odstąpić na długo, znaczyło to narazić się na utratę łask jego. Trzeba było stać przy nim, pilnować i dzielić wszystkie zabawy i fantazyje. Kancelarya Fleminga, w której dzień i noc pracowano, do której on cochwila zaglądał, była doskonałą szkołą dla młodzieży.

Należy i to do rysów charakterystycznych ezłowieka, że był fatalistą i że raz w bieg puściwszy sprawę, zdawał ją często na losy, chociaż w środkach, gdy szło o dopięcie celu narazie, szybko — nie przebięrał.

Bęliśmy zresztą mieli sposobność okazać go w świetle następujących wypadków.

W chwili gdy nasze opowiadanie rozpoczynamy, Fleming był już powtórnie żonatym. Dwór trzymał książęcy, ogromną liczbę sług, dworzan, pokojowych, na stajni około stu najpiękniejszych koni. Przedpokoje ministra roily się najznakomitszymi urzędnikami i gośćmi obcymi. Naprzemiany mógł się z nimi Fleming rozmówić, gdy było potrzeba, po francuzku, po niemiecku, po polsku i po łacinie. Chociażby po północy powrócił z jednęj z tych zabójczych pijatyk Augusta, które wielu, a między innymi Pfluga, ośmiereć przyprawiły zawczasu — Fleming o szóstęj był już na nogach i pracował z sekretarzami, którzy często wcale się spać nie kładli.

Jeśli przybył zmęczony i późno, siadał jak stał na krześle, przedrzęmał się godzinę, umył i zdrów, a rzeźwy brał się do roboty.

Mówiliśmy już o zarzutach, jakie mu czyniono, z powodu że współzawodników pozbyć się starał; robiło mu to nieprzyjaciół, nie tylko u tych których odpychał, ale u pożąujących wywyższenia, którego się dobić nie mogli.

Feldmarszałkowa téż, pamiętająca nadto że była z domu księżniczką Radziwiłłówną, nie jednęła mu sere, odstręczała rączęj. Rzadko kto u nięj był w łaskach, a osoby, przypuszczone do oglądania nieładnego jęj oblicza, zrażały się niesłychaną dumą, nadąsaniem i kwasem.

Wytworne, puste, eleganckie, sentymentalne i dowcipkujące razem towarzystwo kobięce dworu króla, całe zszyte z koronek, z atlasów, gazy, komedyanckie, wymuszone, popisujące się sobą, nie mogło się pogodzić z panią feldmarszałkową, która w dzieciństwie otoczona była pochlebcami,

nawykła panować i napawać się kadzidlami, a tu znajdowała nietylko równe sobie, ale dowcipem, rozumem, zręcznością o wiele ją przechodzące. Ztąd wieczne złe humory i pewnego rodzaju odosobnienie dumnej pani.

Nie na rękę była Flemingowi taka żona, bo ani do domu przynęcić, ani podług myśli jego działać z nim nie mogła. Żywiołu niewieściego potrzeba było koniecznie w pałacu, szczególniej dla przywabienia doń Polaków, o których pozyskanie feldmarszałkowi chodziło.

Z tego powodu ulubiona siostra stryjeczna, pani podskarbina Przebendowska, która myśli i plany jego przyjęła, trochę się porożniwszy z mężem, czy nie mając co robić w domu, zamieszkała w Dreźnie przy bracie. U niej przeważnie zbierało się całe towarzystwo polskie, dniami a szczególniej wieczorami. Przez nią Fleming miał ów wpływ na Polskę, o który mu tak bardzo chodziło. Tu się skupiały wszystkie roboty i frymarki, ztąd szły rozkazy, listy, instrukcyje i wysłancy potajemni.

Feldmarszałek dotąd był bezdzietnym; przy pani Przebendowskiej bawiąca pani von Spiegel, o której coś więcej powiemy później, miała dorastającą córeczkę, Kasię. Te panie stanowiły w tym samym pałacu, pod jednym dachem z feldmarszałkową, osobny dwór i gospodarstwo.

Po wieczorze owym u Denhoffów, na którym król wesoło się zabawił, a wspominał o nim często, Fleming, który każdy symptom chwytać musiał i każde pragnienie uprzedzał, dostrzegł że do świętego Michala, to jest do wyjazdu do Polski na sejm, niezmiernie jeszcze daleko; że Denhoffowa, której brakło rozumu hr. Cosel, nie potrafi króla rozerwać i dni jego zapęłnić sobą.

Wiosną, latem, jesienią nie było co robić, a król, gdy się nie bawił, słuchał plotek z nudów i przechodziły mu myśli osobliwe.

Gwałtownie więc należało rozerwać pana, upoić, dać mu coś nadwyczajnego. Reduty, maskarady, jarmarczki, bale, teatru, illuminacye, karuzele, hece były wyczerpane, zużyte; Fleming chciał coś wymyślić nowego i osobliwego. Dowódcy głw iem u wszystkich wojsk saskich i znaczniejszej części rzeczypospolitéj nie mogło nic innego przyjść na myśl, nad fetę militarną.

Wojska saskie naówczas, nie nie ujmując Flemingowi, były weale osobliwą zbiieraniną. Składały się one najprzód z pulków gwardyi, wspaniale strojnych, okrytych srebrem i złotem i używanych dla przyzdobienia stolicy, zamku, paradowania przed gośćmi, éczywienia Augustowi złudzenia, że był wielkim wojownikiem. Reszta, Boże odpuść, marła głodem na zalogach i po miasteczkach i tak jak niegdyś w Polsce szlachtę, objadala tu mieszczan i odzierała chłopów; wojsko bywało długo niepłatne, bo król zawsze dużo pieniędzy potrzebował, a żywić się musiało.

Gwardye, choćby dla współzawodnictwa z Brandeburezykiem, słynącym ze swych ogromnych drabów, były dobrane i przepysznie strojne. Dla czegoż nie miały służyć za zabawkę najjaśniejszemu, gdy podówczas nic innego i pilniejszego do roboty nie było?

Na ostatni dzień lipcowy postanowił Fleming wystąpić z tą zabawą, która miała przedstawiać maleńką wojnę, z akompaniamentem huków, pukankiny i okrzyków, a że żadna zabawa nie mogła się naówczas obejść bez kobiet, wszystkie piękności przekwitłe, kwitnące i w pączkach musiały być zaproszone.

Denhoffowa mała, drobna, delikatna, jak małpeczka siedziała, trzymała się i latała na koniu. Lepiej jeszcze od niej jeździła Pocijowa hetmanowa litewska, i król mógł mieć u boku dwóch żeńskich adjutantów, co zawsze wielce dlań było przyjemném. Starsze panie mogły wyjeżdżać powozami i przypatrywać się zdaleka wściekłym zapasom, bez krwi rozlewu.

Miejsce do tego popisu dobrano pomiędzy Pillnitz a Laubegastem, na równinie między wzgórzami, wśród sosnowych lasków, na miękkim piaseczku. Królowi myśl ta wielce się podobała. Feklmarszałek przyobiecował, że zabawa będzie zastosowaną do gustu „wielkiego króla.“ Mimo- woli może jednak na myśl ona przywodziła nieszczęśliwe spotkania ze Szwedami.

Zawczasu bardzo konne gwardye i najpiękniejsze regimenty położyły się obozem około Laubegastu, wioseczki, w której wielu panów miało wille letnie i domki. Namioty ogromne pojechały przodem i sam Fleming musiał dojeżdżać, dla dojrzenia przygotowań.

Prawą jego ręką, ulubieńcem, pełnomocnikiem był i do tych i do wielu innych spraw pułkownik Bieleke. Jemu więc zdano główny dozór nad obozowiskiem: on nieustannie pomiędzy Dreznem a Pillnitz zwijać się musiał, aby na dzień oznaczony wszystko było w pogotowiu. Po małej wojnie w polu, pod namiotami, miała być wspólna uczta, tańce i pijatyka.

Rozumić się iż pani Przebendowska zleconém miała zapraszać Polaków, jacy się w Dreźnie znajdowali, a znajdowało się ich zawsze bardzo wielu.

Dziwnym trafem nieszczęśliwy ów podkomorzy Dziubiński, zmuszony atentowac w sprawie jaką

miał z Ogińskimi, powtórnie przybył naówczas do saskiej stolicy. Słówek mu od nas się należy.

Podkomorzy Gintowt-Dziubiński był szlachcicem dawnego autoramentu, wychowanym wideach prastarych, republikańskich tradycyj, ze wszystkimi wadami i przymiotami, stanowi swemu właściwemi.

Nigdyby pewnie pan Gintowt-Dziubiński nie ruszył z pod Lidy do Drezna, a nawet na dwór pański do Warszawy, gdyż kortexanem nie był, a kłaniać się nie lubił i bez bigosu żyć nie mógł—lecz siła wypadków zmusiła go do tych podróży. Oginsey mu zajechali folwark; potrzeba było różnych protekcyj; doradzono, wskazano i doprowadzono Dziubińskiego do Drezna.

Tu trafił, jak widzieliśmy, na ów wieczorek który się skończył tak dla niego nieszczęśliwie. Jakoś się to żalatało; ale sprawa nie szła, musiał więc Dziubiński wracać do Drezna, spodziewając się trafić do Fleminga, a przez niego do wszystkich tych, których potrzebował, do Ogińskich i Radziwiłłów. Z drugiej strony pod te ciężkie czasy, po tarnogrodzkiej, gdy ogromne *larum* podniesiono na wyfacyendowany skrypt, dający komendę wojsk cudzoziemskiego autoramentu Flemingowi—gdy szlachta groziła rwaniem sejmów, dopóki by feldmarszałek nie zrzekł się komendy—Dziubiński też mógł być Flemingowi użytecznym.

Miał ogromny mir u braci szlachty, dom trzymał otwarty i w opozycyi stawał przeciw prepotencyi magnatów, co go popularnym bardzo czyniło. Pani Przebendowska więc życzyła sobie wielce skaptować Dziubińskiego.

Dziwną sprawą niepojętej ludzkiej natury, ów pan podkomorzy lidzki Gintowt-Dziubiński, który

pod swą słomianą strzechą, otoczony szaraczkową bracią, butny był i śmiały nadzwyczajnie, a raz w raz o wsiadaniu na koń prawił—pośród splendorów drezdeńskich, na salonach pani podskarbinój, w antykamerze feldmarszałka, stawał się słodkim, miłym, pokornym i potulnym człowiekiem.

Ani dziwić się można, iż wyjątkowo, gdy go wypuścić nie chciano z Birkholzu, zaklął gwałtownie tysiącem diabłów niemieckich. Było mu naówczas źle kolo serca, gniwał się sam na siebie za nastąpienie na królewskie palce, a tyrania halebardników szlacheckiemu poczuciu godności wydała się oburzającą. Żałował tego mocno, ale rzecz już była zapomniana i zatarta.

Jednakże gdy od pani Przebendowskiej przysłany, sprawujący funkcję *quasi* marszałka jej dworu, imiennik jej męża, jmépan Serwacy Przebendowski, mało naówczas znany Dziubińskiemu, przybył go zaprosić na fetę militarną, oświadczając mu że na niej będzie mógł zetknąć się z tém wszystkiém, co Drezno miało najświetniejszego i pokłonić się najjaśniejszemu panu, pan Gintowt mocno się zamyślił, pogładził po głowie, musnął wąsy, westchnął, prosił siedzieć i wziął to *ad trutinandum*, jak powiadał.

Pan Serwacy Przebendowski, wysoki, przygarbiony nieco, dobrodusznego oblicza, niepozorny mężczyzna, małomówny, rozgarnąwszy połę, usiadł naprzeciw podkomorzego. Długo dosyć siedzieli, słowa nie mówiąc do siebie. Podkomorzy rękę nareszcie położył na kolanach Przebendowskiego i począł:

— Wielki to dla mnie, zaprawdę, niespodziany i niezasłużony zaszczyt, iż mi wolno oglądać i oblicze monarchy i te niewidziane splendory

majestatu, wielki!—wielki! *Intimo corde* wdzięczem jestem pani podskarbinie; ale, mam-li rzec prawdę?.. boję się.

— Jakto?—zapytał p. Serwacy.

— Acan dobrodziej nie słyszałeś nic o mojej nieszczęśliwej przygodzie u hrabiny Denhoffowej, na tym sławnym wieczorze?

— Nic a nic—odparł Przebendowski, głową potrząsając.

— Przecież to głośném być musiało—mówił Dzinbiński—a jeśli się zapomniało, Panu Bogu mocno za to dziękuję.

Tu głos zniżył i poczał poufnie, głowę pochylając ku słuchaczowi:

— Nie ujmuję jui. hrabinie Denhoffowej, ale nas tam pojono ekstra-ordynaryjnie. Wino było miłe, dobre, ale *perfidissimum* Niemcy w nic musieli namieszać dyweldreku, blekotu, ja nie wiem czego. Nie chwaląc się, mam głowę dobrą, a stało się zemną, czego nigdy nie doświadczałem—zawróciło mi się, zmąciło. Złaje się że mnie popchnięto i—wystaw sobie pan, nastąpiłem na palec najjasniejszemu. Widać że trafiłem na nagniotek, bo pchnął mnie tak, że gdyby nie Kocieli i drudzy co za nim stali, byłbym nawznak haniebnie upadł. Nie koniec na tém, zrobiło mi się złe, musiałem uelodzić, *periculum in mora*. Cisnę się do drzwi—nie puszezają. Co asindziej powiesz, musiałem niemal szabli dobyć, aby się wydostać z pod tej opresyi. Otóż—gdy się to rozgłosiło, gdy już może fama rozuiosła, co Gintowt-Dziubiński dokazuje, czy przystało abym się ja narażał znowu na konfuzyą i na niebezpieczeństwo?

— Wszystko to zapomniane—odezwał się pan Serwacy—przynajmniej ja najmniejszej rzeczy

nie słyszałem. Możesz pan podkomorzy śmiało się przypatrzeć téj magnificeneyi, nie narażając się na żaden despekt.

— Tak mówisz?—spytał Dziubiński—to mi otuchy dodaje. Mam tu, jak wiadomo, *causam litigiosam*, a choć mi dopraszanie się łask i protekeyi niemiłe—nóż na gardle.

— Więc tém bardziej na oczy się nasunąć nie wadzi—dodał pan Serwacy.

— Tak mówisz?—powtórzył Dziubiński—i radzisz być?

— Dlaczegoż nie!

— Tandem, przepraszam że się tak otworzyście tłumaczę—mówił podkomorzy—jakimże ja sposobem mogę się dostać do téj Pilnicy, czy jak się to tam nazywa?

— Mamy kilka powozów na usługi — rzekł Przebendowski—zechcesz acan dobrodziej, to po niego zajadę.

— Jesteś mym dobroczyńcą—odparł, rzucając się do uścisku, stary i całując w ramiona nader skromnego Przebendowskiego.

Stało się tedy iż pan Gintowt-Dziubiński znowu miał być gościem na wielkiej uroczystości, ale z mocném postanowieniem, iż z winem będzie ostrożnym. Łatwo to powiedzieć, ale jak trudno dotrzymać. Człowiek słabym jest, a wino mocne; nareszcie opinia ogólna twierdzi, że kto się pić z innymi wzdraga, ten zdradę może mieć w sercu i lęka się, aby mu ona z winem na wierzch się nie wydobyła.

Wszystkie te uwagi zawczasu przychodziły podkomorzemu, który Pana Boga prosił, ażeby ani na zbytnie pokuszenie, ani na niebezpieczeństwo narażonym nie był. Względność pani podskarbiny dla niego, pamięć o nim, zaproszenie,

napelniało go najżywszą dla niej wdzięcznością. Nie wiedział Dziubiński czemu to przypisać, iż o nim nie zapomniano, chociaż na pokojach podskarbinsy stał zdala i bardzo skromnie się trzymał. Nie domyślał się wcale, że gdy tu promował interes swój z Oginskimi, jego téż użyc miano, ażeby nierównie ważniejszą sprawę przeciwko hetmanom w umysłach szlachty rozjaśnić i w inném świetle postawić. — Rozpoczynała się agitacya, przez hetmana Sieniawskiego i Potcieja podżegana skrycie, aby szlachta *unanimately* żądała odebrania owego skryptu Flemingowi, który go czynił panem losów Rzeczypospolitej i całej jej siły zbrojnej.

Było się za co zacząć, bo hetmanom zarazem odebrano ich władzę dyskrecyonalną rozporządzania asygnacyj dla wojsk, frymarczenia funduszami na utrzymanie ich przeznaczonemi i uciskania szlachty. To się dosyć podobało, ale nie mogło przypaść do smaku, że Fleming swoim cudzoziemskim autoramentem w każdej chwili miał siłę do zgębienia Rzeczypospolitej i opanowania jej.

Wiedziano o tém, że po miastach wszystkie przydyja pozajmował Fleming, a na Kraków miał nagotowanego pułkownika Miera.

Fleming szeptał że tylko opresyą szlachty przez hetmanów chciał hamować; panowie hetmanowie głosili, że Rzeczpospolita ginie. Szlachta niedobrze wiedziała, kogo słuchać i komu wierzyć. Chodziło o to, aby mający wziętość i wiarę ludzie, jak zacny pan Gintowt-Dziubiński, promowali Fleminga.

Prawdę rzekłszy, ani on, ani wielka większość szlachty nie sięgała głęboko, nie widziała daleko, a na słowa, jak na wędkę, brać się dawała. Fleming spodziewał się przez takich Dziubińskich

szlachtę nastroić przeciw hetmanom; hetmanowie zaś stali z przeciwnéj strony, wołając że *absolutum dominium* grozi i przypominając saską opresyą i wojsk konsystencyą.

Nie przywiązywalibyśmy zbyt wagi do owéj uroczystości obozowéj, którą Fleming chciał uczcić króla, gdyby ona, jakkolwiek napozór mało znacząca, nie stanowiła w życiu i sprawach feldmarszałka decydującéj chwili zwrotu.

Nikt, ani on sam, przewidzieć tego nie mógł. Napozór Fleming był, mimo częstych z królem waśni, w największych u niego łaskach, a wspólnie manewra na polach pod Laubegastem mogły go tylko podnieść i króla dlań zjednać. August niecierpliwie zdawał się wyczekiwać zapowiedzianéj zabawy, dopytywał się o nią, sam zapraszał, nikomu się uwałniać od asystowania jéj nie dopuszczał.

Wszystkie panie gotowały się wystąpić z przeplechem, wszyscy panowie sposobili konie i gardła na ucztę, która po manewrach nastąpić miała.

Natłok gości był niezmierny, powozu ani koni na kilka dni przed 31 lipca dostać w Dreźnie nie było podobna. Wszyscy cudzoziemcy domagali się zaproszeń, co żyło chciało widzieć zapowiadającą się jako coś nadzwyczajnego ucztę Fleminga.

Jest ona zbyt znaną z wielu jéj opisów, abyśmy nanowem obszérniej malować ją potrzebowali.

Dzień lipcowy gorący wprawdzie był, ale pogodny, a małe wietrzyk, który przybył umyślnie, aby tumany kurzu podnosić, upał czynił prawie znośnym. Widok pulków ustawionych jak do boju, lśniących od srebra i złota, piór i galo-

nów, szczególnież konnych gwardyj—był przepyszny. Na wyżynach ustawione działa miały wystrzałami dodawać bitwie złudzenia. Fleming przyjął króla, wyjechawszy naprzeciw ze świetnym sztabem swoim, adjutantami i świtą. Konie czekały na króla i panie, które mu towarzyszyć miały: śmiałą Denhoffową, która króla na krok nie odstępowała, i odważniejszą jeszcze Pocielową, która koniem władała, jak prawdziwa hetmanowa. Inne panie, nie mogąc się przebrać za amazonki, przybyły na plac boju powozami i patrzyły z nich ciekawie na tę komedię wojсковą.

Denhoffowa miała rodzaj mundurku, który jej dosyć był do twarzy, Pocielowa strój polski, z kołpaczkiem i kitą wspaniałą.

Na drugim planie, w powozie, stała pani Przebendowska ze swą przyjaciółką, Spieglową, i matką Kasią, przyznaną córką króla; dalej hrabina Vitzthum, Reuse, Hülchen i całe to grono pan, które zdala lub zblizka należało do dworu. Nawet skromna, niezgrabna, trochę wieśniaczo wyglądająca i nieśmiała żona Watzdorfa odważyła się zjechać na to widowisko.

Na dany trąbami znak, wojska ruszyły przeciwko sobie, z tém większym zapalem, że nie było najmniejszego niebezpieczeństwa. Karabiny i pistolety prochem były ponabijane, a działa pustymi ładunkami. Ale huk i tentent powstał niezmierny, podniosły się tumany kurzu. Gwardye nacięrały tak dzielnie, jak gdyby istotnie coś zdobyć miały, oprócz potów i kurzawy.

Król stał w świetnym kole, na ślicznym koniu złocistej maści, ze łbem baranym, bo takie naówczas były w modzie, strojny w suknię całą zaszytą złotem, ze wstęgą orla białego, dumny, piękny

i zdaleka wyglądający na bohatera. Jakie tam myśli przechodziły po jego głowie, jakie marzenia wielkości—któż odgadnie? — ale spoglądał dumnie i uśmiechał się wesoło.

Po chwili odezwał się do Friezena:

— Ani w Berlinie wojska piękniejszego nie mają!

Między Berlinem a Dreznem już wówczas antagonizmu był wielki we wszystkiém; nie cierpiano się wzajemnie, ale Berlin sposobił rzeczywistych żołnierzy, a Drezno miało ladne i strojne lalki.

Komedia wojny odegrała się niezmiernie świetnie: pulki napadały na siebie, atakowały się, nacięrały, wyskakiwały, usilowały się wyprzedzać i daly dowód wielkiej obrotności i zręczności. Król był w najlepszym humorze. Bawił się. W dolinie, po za obozem i placem boju, na którym kilka kaskietów i kilku ludzi stratowanych padło ofiarą—stały już gotowe namioty.

Najpiękniejszy, zdobycz z pod Wiednia, przeznaczony był dla dam, króla i najprzedniejszych gości. W dwu bocznych namiotach pospolite ruszenie zasiąść niało, mniej wybitne osobistości, między którymi mnóstwo Polaków i oczarowany widowiskiem pan podkomorzy Gintowt-Dziubinski, któremu milczący i ponury Serwacy Przebendowski służył za opiekuna.

Zaledwie się obiad skończył, poczęła się owa druga część dramatu, wymyślona przez Fleminga.—Nie zdejmowano nic ze stolów, zostawiono je jak były, przeznaczwszy dla żołnierzy, a że ehleba brakło, w pozostałe jego kawałki kazał feldmarszałek powtykać tysiąc srebrnych sztuk guldenów. Zatrąbiono do szturm i gwardye rzuciły się na stoly.

Szturm był prawdziwie godnym zakończeniem

sztuki: cisnęła się ciżba, pchając, łamiąc, druzgocząc, wyścigając się do guldenów. W kilku miejscach stoły nie wytrzymały nacisku, żołnierze popadali, drudzy zwalili się na nich, a król był uszczęśliwiony ze swęj dzielnej armii.

Trochę to wyglądało dziwnie, trochę się obcym zdawało zapocieszném na wojskowych, ale koniec końcem król się bawił, a głównie chodziło o to, aby go rozerwać,

Była chwila, w której podkomorzy Dziubiński ułakł się o swą osobę i miał się do szabli; w ścisku o mało nie zgubił czapki i skówka od karabeli srebrna zsunęła się i przepadła. Pan Serwaej go za rękę ujął i odwiódł na miejsce bezpieczne.

Gdy się szturm i zdobywanie pólmisków skończyło, a trębacze dali znak do odwrotu, służba w mgnieniu oka poczęła pobojoywisko uprzątać. Pod tureckim namiotem króla rozeslano wielki kobierzec, stanęła muzyka, rozpoczęły się tańce i—pijatyka.

Pić naówczas nie umiano umiarkowanie; król pił, a drudzy z nim musieli heroicznie zapijać. Dziubiński się miał na ostrożności i postanowił oszukiwać z kielichami; ale stojący kolo niego natychmiast zwąchali zdradę i naprowadzili go na drogę prawą. Pić tedy musiał.

Była godzina między szóstą a siódmą wieczorem, gdy już, z wyjątkiem kobiet, pijani byli wszyscy, najszeptniej sam król i gospodarz.

August poczuł wreszcie że tego było zawiele i kazał sobie podać wody.

Szambelan króla, młody Künneritz, odebrał to zlecenie, ale już idąc, ledwie na nogach mógł się utrzymać.

Żądanie wody u służby tak się wydało dzi-

wném, że wszyscy patrzyli długo po sobie, nie mogąc go zrozumieć.

Nareszcie zaczęto powtarzać:

— Wody! wody!

Jeden drugiemu podawał tę osobliwą zachciankę.

Wody nigdzie kropelki nie było, oprócz w poblizkiej Elbie. Ostatki jej służyły paniom do obmycia z kurzawy, gdy miały siadać do stołu.

Nikt, nawet służba już pod dobrą datą, nie wiedział gdzie szukać wody i naco by jej mógł kto potrzebować, gdy tyle było wina.

Könnerritz stał i wołał. Naostatek śmiesznej natury chłopię pobiegło z wiaderkiem do Elby, zaczerpnęło, znalazł się blat srebrny i szklanka kryształowa, Könnerritz odebrał to z rąk służby i począł iść. Ale w takim stanie w jakim był, przenieść nalaną wody szklankę stawało się zadaniem prawie niemożliwém. Ziemia chwiała mu się pod nogami, szklanka balansowała na blacie, on sam nieustannie równowagę tracił i gdy przyszedł do namiotu, stanąwszy za królem, nie miał więcej nad pół szklanki, szczęściem zamglone oczy widzieć inu tego nie dozwalały. Król był o wodzie zapomniał. Hrabina Vitzthumowa, jedna z pań najnieprzychylniejszych Flemingowi, króla i jego z oka nie spuszczała. Uśmieшек przebiegał jej usta, bo dostrzegła na obliczu pana przełatające chmury, a Fleming, jakby na przekorę, pozwalał sobie niesłychanie. Tysiące osób na to patrzyło.

Ścisnął króla, obejmując go oburącz, kładł mu rękę na ramiona, przemawiał do niego, nie inaczej, jak „ty“, odzywając się bez ceremonii.

Stracił głowę. Trafiało się to nader rzadko Flemingowi, ale już parę razy, podpiwszy, królo-

wi się stał nieznosnym. Zwykła jego buta i zu-chwalstwo winem się spotęgowywały do najwyż-szego stopnia. Król, wyrywając się z uścisków, trochę nadąsany, zażądał jechać, feldmarszałek nie puszczał.

— Bracie! — zawołał na głos — kwita z przy-jaźni, jeżeli mi nie dotrzymasz placu (*).

Na twarzy pańskiej błysnęło coś, jak piorun. Denhoffowa zabiegła, zasłaniając, odpychając, usi-łując obronić pana, którego gniew był straszliwy. August widocznie się trzymał na wodzy, a Flem-ing napadał go, jak szalony.

Gdy Denhoffowa stanęła naprzeciw niego, nie puszczając, feldmarszałek chciał ją uściskać. Le-dwie mu się wyrwała, ale nie zapobiegła temu, ażeby jej nie pogładził pod brodę, nazywając ją imieniem, którego powtórzyć niepodobna. Do-dał tylko dla złagodzenia: „dobra“...

Denhoffowa musiała się rozśmiać głośno, aby zagłuszyć wykrzykniki.

Hrabina Vitzthumowa promieniała radością, król bladł i wyrywał się do jazdy. Fleming sta-wał się coraz natarczywszym a ci, co znali Augu-sta, wiedzieli że jeśli natychmiast nie wyjedzie, skonczyć się może widowisko tragedją jaką straszną.

Przypomniano sobie los van Tinena.

Udało się połączonym usiłowaniom Denhoffo-wój i kilku osób, które otoczyły króla, wyrwać go z pod namiotu. Spostrzeżono jednak że się zale-dwie mógł na nogach utrzymać, a wołał głosem nakazującym:

— Konia!

(*) Historyczne.

W tym stanie ani siąść, ani jechać zdawało się epodobném. Koniuszy Racknitz począł błagać króla, aby siadał do powozu, ale gniów wrzał już w piersi Augusta: pełniał go tak silnie, że Racknitz omaloby nie upadł. Król krzyknął powtórnie:

— Konia!

Rzuciła się Denhoffowa, błagając aby z nią jechał; odpowiedział jej po francuzku głosem drżącym:

— Proszę mi dać pokój. Znam mojego konia, proszę się o to nie troszczyć.

To mówiąc, wdrapał się na wierzchowca król, ale gdyby go nie podchwycił Racknitz, upadłby był na drugą stronę. To go we wściekłość niemal wprawiło: spał konia ostrogami i poleciał galopem, a za nim i otaczając go, co żyło, wyścigało się.

Zmęczona Denhoffowa padła do karęty i goniła za nim aż do Drezna. Próbowala dosiąść konia, lecz już jej sił brakło.

Ta ucieczka króla, która dla znających go miała znaczenie, Fleminga bynajmniej nie zmieszała. Ponieważ za Denhoffową damy się wynosić zaczęły, a służące i panny garderobiane zostały tylko, on i jego towarzysze pochwytali je do tańca, kazano grać muzyce i nuż w skoki. Podskarbina Przebendowska, napróżno usiłując brata powstrzymać, zrozpaczona uciekła, aby na to nie patrzeć. Naówczas podkomorzemu Dziubinskiemu trafiło się nieszczęście znowu. Był już mocno rozweselony, gdy się to stało, i oparłszy się o drąg, na którym namiot był rozpięty, takt nogą wybijał, śmiejąc się a ciesząc, że do takiej wesołości szalonej doszło.

Widząc go w tym błogim stanie, pan Serwacy Przebendowski, który tak jak nie nie pił i miał

w obrzydzeniu pijatykę, stał przy nim, aby w razie jakiego wypadku przyjść w pomoc, gdyż i głosy i nogi niepewne były.

Dziubiński się cieszył, a radość swą głośno wynurzał na intencją Przebendowskiego, w sposób nader wyrazisty.

— Ale to mości dobrodzieju te Sasy! niechże ich licho porwie! — wołał. — Flegmatyczne to, flegmatyczne, a jak pot poczują, jak diabły się noszą! Ani na majestat, ani na nic nie mają uwagi.

Feldmarszałek, który się kręcił po namiocie sam, bo mu się ostatnia pokojówka panny Hülchen z rąk wyrwała, zobaczywszy Dziubińskiego, zbliżył się do niego i zaczął po polsku.

— Kochanie! jakże się zowiesz? zapomniałem — chodź w moje objęcia, niech w twój osobie uścisknę rzeczpospolitą całą i szlachtę, którą pasyami kocham...

— Podkomorzy Dziubiński! — zawołał, rekomendując się i kłaniając, Gintowt.

— Pasyami, powiadam ci, kocham szlachtę polską — wołał Fleming — ale to jest miłość bez wzajemności.

Gintowt się rozśmiał.

— Chodź i przetańczymy ze sobą! — dodał Fleming. — Powróciwszy do Polski, opowiesz tam, jakiego my dobrego króla mamy i jaki pocziwy z kośćcami ten Fleming, na którego kalumnie rzucają.

Dziubiński, który nogi miał nie do tańca, a w tej chwili jakby kto do nich ołowiu ponaléwał, znalazł się w najtrudniejszej w świecie pozycji. Odmówić feldmarszałkowi nie godziło się, mogło to wpłynąć na sprawę z Ogińskimi; pójść z nim w taniec i wywrócić się, groziło fatalnemi

następstwy. Spojrzał, jakby o ratunek wołając, na Przebendowskiego. Ale pan Serwacy był-to człowiek nieśmiały, skromny, i choć nawpół domownik feldmarszałka, jako sługa pani Przebendowskiej, nie lubiony przez niego.

Chciał spróbować przyjść na ratunek Dziubińskiemu, zbliżył się, ale Fleming, spojrzawszy nań, zawołał:

— Idź-że precz!

A do podkomorzego wyciągnął ręce i gwałtem go ciągnął do tańca. Muzyka grała coś nadzwyczaj skocznego, Dziubiński westchnął do swego patrona:

— Miej-że ty mnie w swą świętą opieczę.

— Kochany Polaku—wołał Fleming—jakże się bo u licha zowiesz?

— Podkomorzy Dziubiński — powtórzył powołany.

— Dziubiński, chodź i przetancujmy!—domagał się Fleming, chwytając go za rękę.

Nie było już sposobu oparcia się. Podkomorzy ruszył się, a tu nogi jak kłody—podskoczyć nie mógł ani myśleć, daj Boże iść. Ale i to nawet się nie udało—zaledwie krok postąpił, stracił równowagę i byłby haniebnie padł, gdyby go już walącego się na feldmarszałka nie pochwycił Przebendowski.

Fleming śmiał się.

— A widzisz, Polaku kochany —jakże-bo się zowiesz? Schnabel? Schnablinski czy co—krzyczał i śmiał się zarazem gospodarz—jakie wy wszyscy słabe głowy macie! Ręczę żeś połowy tego nie wypił co ja. ani tak tegiego wina, a na nogach się nie możesz utrzymać. Widzisz, a ja, na którego ramionach ta wasza rzeczpospolita i Saksonia—tańczę.

I wistocie począł podskakiwać—Dziubiński był upokorzony i skonfundowany.

— Bóg widzi—rozpoczął.

— Pana Boga do tego nie mieszajmy—rzekł Fleming—ale źle z rzeczpospolitą waszą, kiedy szlachta taka wątła. Ja was — ale jakże się zowiesz?—mówił Fleming.

— Podkomorzy Gintowt-Dziubinski!—krzyknął już nieco nadąsany gość.

— A tak! Sznabliński — zawołał Fleming. — Ja was wszystkich w sercu mojem noszę... Dzien i noc przemyślam, jaką wam dać najszczęśliwszą przyszłość, troszczę się o was, a wy mnie nie kochacie. Nawet tańcować ze mną nie chcesz....

Szczęściem dla Dziubinskiego, trafił się w téj chwili pułkownik Bielicki w pobliżu i ten Fleminga odciągnął.

Niemniej jednak ów upadek, obawa niewłaściwego znalezienia i gniéwu na który się mógł narazić, oprymowały pana podkomorzego. Pan Serwacy Przebendowski, korzystając z chwili wolnej, ujął go pod rękę i do oczekującego powozu zaprowadził. Nie mógł go jednak pocieszyć.

— Otóż-bo to tak, gdy się komu nieszczęści—mówił, stękając, Dziubiński.—Póki życia mojego, na żadną taką fetę nie dam się namówić. Na pierwszej majestatowi nastąpiłem na palce, a oto dziś gdybym był mógł przetaniecować z Flemingiem, sprawa moja byłaby wygrana!

Serwacy, wiozący nieszczęśliwego do Drezna, chociaż próbował pocieszać półsłowami, nie mógł tego dokazać. Napróżno mu wystawiał, że i nagiotek królewski i spór o taniec z Flemingiem zapomniane zostaną. Dziubiński postanowił ruszyć w powiat lidzki do domu, z Ogińskimi skon-

czyć polubownie i nigdy w życiu do dworu się już nie zbliżyć.

Skutki tego nieszczęśliwego znalezienia się Fleminga z królem nie były narazie widoczne, pewna jest jednak, iż August obraził się i zniechęcił. Lecz, jak miał zwyczaj, nie powiedział nikomu ni słowa, nie dał po sobie poznać nic i udawał że nie pamięta o niczym.

Opowiadano że nazajutrz, wedle trybu swego, feldmarszałek zrana znalazł się u króla na pokojach, a gdy zostali sami, rzekł pokornie:

— Słyszałem, jakoby Fleming wczoraj trochę się nie do rzeczy popisał. Wasza królewska mość racysz mu to łaskawie przebaczyć.

Król nie odpowiedział nic i na tém się pozornie skończyło wszystko. Zapowiedział tylko August, że chcąc zawdzięczyć owc przyjęcia i festyny, chce téż on sam w Moritzburgu sprawić zabawę. Miała to być uroczystość „Targowiska wszystkich czterech części świata.“ Przybycie księcia Maurycego Saskiego (który z Flemingiem nie był najlepiej, bo go obwiniął o wysadzenie siebie ze służby saskiej, za co jednak pono się nie miał gniewać powodu), natłok cudzoziemców dystygowanych, chęć popisania się ze wpaniałością, natchnęły króla tą myślą. Przedewszystkiém bawić się trzeba było. W jesieni musiał monarcha jechać do Polski, a tam sejm obiecywał być niezbyt zabawny. Dwa tygodnie tylko dzieliły moritzburskie „Gospodarstwo“ od obozu pod Laubegastem.

Ale wrócić jeszcze musimy do nieszczęśliwego podkomorzego Dziubińskiego, który się nie żartem w drogę wybięrał. Chłopak jego Onufry, pospolicie zwany Nufrek, pakował już tłomoki i paradne suknie; kurdybanowe buty,

pas ługduński najlepszy już były poobwijane i jako tako złożone, gdy niespodzianie przybył ów milczący pan Serwacy Przebendowski i oświadczył podkomorzemu, że feldmarszałek życzył sobie z nim widzieć się i mówić, albo wieczorem u siebie, lub u pani podskarbiny. Dnia tego przyjmowała, kwaśno jak zawsze, sama feldmarszałkowa.

Zdumiał się Dziubinski nicmało.

— Mój dobrodzieju — odezwał się — czy nie wiesz o co to idzie? — zapytał pana Serwacęgo. — Feldmarszałek czasu ma niewiele, już ciżby mnie, który jestem *simplex servus Dei*, nie wzywał dla baraszkowania.

— Sądzę że zechce zapewne pomówić o terazniejszych sprawach rzeczypospolitej — rzekł Serwacy — ale nie wiem. Byćby też mogło że cię na 14 sierpnia do Moritzburga na „Gospodarstwo“, które król przygotowuje, zaprosi.

— A! za żadne skarby świata, na żadną fetę saską, pókim żyw, nie pojedę! — krzyknął, ręce zalamując, podkomorzy. — Dwa razy popróbowiałem tej rozkoszy, ale mam dosyć, nie mogę! Za trzecim razem pewniebym życiem przyplacił. Za nic, a, za nic! — powtarzał, chodząc po pokoju. — Wysokie progi na moje nogi! Jeszcze się nie wysapałem po ostatniej historii. Wszak gdybyś mnie asindziej nie podtrzymał, byłbym runął jak kłoda, i to wprost na feldmarszałka, a coby naówczas się stało z nim i zemną? zgroza pomyśleć! — Widzisz asindziej, panie Serwacy — dodał, zwracając się ku niemu — ja za kołnierza nie wyléwam. Dużo win próbowałem, przelało się przez gardło w ciągu życia wiele, od deszczówki poczynawszy, do gęstego tokaju, co to go choć łyżką jeść. No, ale takiego wina, jakie tu dają i ka-

żną pić — nie kosztowałem nigdy, a jak mówi Pismo święte: po dziełach ich poznacie! Pić to nie, smak jak wszelakich innych, a no skutek inny, niby nie idzie do głowy, przedziwną robi konkocją w żołądku, ciepło przyjemne rozchodzi się po całym ciele — człowiek się cieszy że tak dobrze i ani się spostrzegł, że już nóg nie ma. W téjże chwili na oczy mgła, na język przychodzi drgawki, i... bywaj zdrów! Mówcie sobie co chcecie, ci Niemcy dyweldrek mieszają do wina, bo to jest nienaturalne, aby człowiek, nie wypiwszy i garnea, z nóg się walił.

Pan Serwacy milczał; miał taką naturę jakąś nierozmowną. Koniec końcem Nufrek dostał rozkaz dobycia nanowo z tłomoka sukien paradnych, co go do ostatniej rozpacz doprowadziło, bo przy pierwszym pakowaniu, pod dozorem pana, dwa czy trzy kułaki oberwał. Podkomorzy zdecydowany był tegoż dnia submitować się feldmarszałkowi.

Około godziny szóstej był już na pokojach. Tu, galonowana służba, wysokie salony (wedle wyrażenia podkomorzego, jak stodoły), złociste meble, przepych książęcy, wojskowy dwór, mnóstwo dostojnych gości, naostatek sama pani, na kanapie siedząca jak na tronie, skrzywiona, dumna, wygorsowana i okryta brylantami, a zgóry patrząca na pospolite saskie plemię, Dziubińskiego od progu już zalterowały. Nie wiedział co począć z sobą, chociaż *socios malorum* miał tu kilku, mianowicie pana wojewodę inowrocławskiego, Kocięła, jednego Radziwiłła i kilku pomniejszych. Na ukłon przed tronem feldmarszałkowej ledwie mu zapłacono głowy skinieniem. Za to Fleming był bardzo grzeczny.

Jeszcze się z Kocięłem zabawiał podkomorzy,

gdy feldmarszałek do niego przystąpił i poprowadził do okna.

— Słyszałem, *ni fallor*—rzekł—że asindziej masz proces o zajazd z Ogińskimi; da się to pokombinować. Słyszałem też że używasz słusznego wpływu między bracią szlachtą; użyj-że go asindziej na dobre.

Spojrzał mu w oczy, Dziubiński zbierał się na odpowiedź i już rękę podnosił, którą miał wyrazom dodać waloru, gdy Fleming począł mówić dalej:

— Hetmanowie chcą, jak bywało, wywiierać nad krajem prepotencyą swoją i królowi królować, a szlachtę dusić i nękać. Podnoszą tedy krzyk wielki przeciw komendzie, którą mnie oddali, a nie idzie im o komendę, tylko o asygnacye i hiberny, od których ich odsadziliśmy. Chce się im do dawnych prerogatyw powrócić. Wierzcie mi, ja *was* bronię. Znowu tedyby przyszło do tego, że pan naraziłeś się, dajmy na to Pocięjowi, to cię zajedzie, obję, wpakuje żołnierzy i zmusi, abyś jego piosenkę śpiewał. He?

Dziubiński odezwał się żwawo:

— Niech Bóg uchowa, abyśmy do tego stanu powrócić mieli.

— A tymczasem—mówił Fleming—agituja popowiatach przeciw mnie rzekomo, wistocie przeciwko wam. Szlachta obalamucona *clamor* podnosi z nimi i za nimi.

Spojrzał na podkomorzego, który brwi miał ściągnięte inočno i z nadzwyczajną atencją przejmował się tém, co mówiono.

— Chcesz powracać do domu?—kończył Fleming.

— Muszę, muszę, żniwa za pasem—zawołał Dziubiński—żonisko sobie rady nie da.

— Bądź-że tam asinudziej apostołem nie mojej sprawy, ale waszej własnej. O skórę waszą chodzi. Opisaliśmy na sejmie pacyfikacyjnym hetmanów, ukroćili ich *absolutum dominium*, stójmyż przy prawie.

— Święte słowa! złote słowa!—zawołał podkomorzy.—Słyszac je z ust tego, który jest nietylko prawą ręką najjaśniejszego, ale jego konsyliarzem w sprawach naszych jedynym, cieszę się iż będę je mógł, jako płynące *ex fonte purissima*, powtórzyć moim Lidzianom.

— Powtórz je pan, argumentuj, nie dawajcie się brać na kłamliwe słowa!—rzekł Fleming.—Sami hetmanowie dali mi komendę, teraz ją chcę odbierać, a z nią uapowrót asygnacye i hiberny.

Feldmarszałek jeszcze się nieco rozwiódł o tym przedmiocie i tak skonwinkował słuchacza, że ten głową i rękami tylko, nie czyniąc najmniejszej opozycji, potakiwał, aprobował, a naostatek wysłuchawszy, chciał się już sumitować i żegnać. Wtém Fleming z uśmiechem ujął go za jedwabny guziczek kontusza i zatrzymał.

— Byłeś pan u Denhoffowój, byłeś u mnie na obozowój zabawie, potrzeba żebyś zobaczył i królewskie gospodarstwo w Maritzburgu.

Dziubiński pobladł.

— Żniwa, jasnie wielmożny feldmarszałku, żniwa, czas gorący!

— To nic nie pomoże, to się widzi raz w życiu!—dodał Fleming.—Na takie pańskie zabawy wieki czekać potrzeba, bo wieki rzadko wydają takich jak nasz wspaniałych monarchów.

Nim Dziubiński miał czas się zebrać na odpowiedź, feldmarszałek, skinąwszy mu głową tylko, odszedł do Gałęckiego, wojewody inowrocławskiego. Dziubiński uspokojony rozmową, ale

stałe mając postanowienie wyruszyć nazajutrz do domu i w żadne fety się już nie wdawać, wymknął się i do domu powrócił.

Tu go czekała niespodzianka niemiła: Nufrek stał w sieni i palce kręcił, z miną desperacką.

— Pakować i do domu!—zawołał pan Gintowt-Dziubiński.

— Ale! ale!—bąknął Nufrek—apewnie, chciałoby się duszy do raju.

— Cóż to znaczy?—krzyknął oburzony podkomorzy.

— To, że dereszowaty leży chory!—zawołał, lamentując, Nufrek.

Podkomorzy pobiegł do stajni. Wistocie dereszowaty, dyszlowy podręczny, konisko zdrów jak lew, zjadłszy jakiegoś niemieckiego owsa, zdawał się chcieć duszę wyzionąć.

Trzeba było naturalnie krew puścić, bo w gwałtownych razach i koniom i ludziom naówczas nie umiano radzić inaczej, tylko im życia ujmując, aby z niém ująć gwałtowności choroby.

Znalazł się jakiś Niemiec konował, puszczo krwi obficie, ale deresz jeszcze 12 sierpnia był dopiero rekonwalescentem i Dziubiński do moritzburskiego gospodarstwa zmuszonym był siedzieć w Dreźnie. Jeden jedyny pan Serwacy Przebendowski przychodził go pocieszać, a dnia 12 sierpnia potrafił nareszcie namówić, aby przecie moritzburski festyn choć zdala zobaczyć.

Dziubiński zgodził się na to, ale warował aby razem byli i trzymali się na uboczu, nie mieszając do żadnych pijatyk, których znał już szkopyły i niebezpieczeństwa.

Z tęsknotą myśląc, jak tam pójdał zniwa bez

niego, dla miłości deresza dosiedziawszy tak długo, wybrał się Dziubiński do Moritzburga.

Pośród przepysznych lasów odwiecznych, w których olbrzymie gdzieniegdzie wznoszą się buki, jak marmurowe, do góry strzelające kolumny — stoi cacko owo, Moritzburg, oblany stawem, myśliwski pałacyk, w stylu owój epoki, która była od naszej szczęśliwszą, bo przecie styl własny stworzyć potrafiła. Jest-to wprawdzie coś sklejonego z żywiołów dawnych, pożyczanych, ale od czasów greckich nie w budownictwie elementarnie nowego nie powstało i w owém rokoko osiemnastego wieku, oprócz wieńców, kwiatów, wegetacyi kamiennój, sznurków i draperyi, ponawieszanych na rusztowaniu starém, niema świeżego nic. Ale z tych linii pogiętych, z tych wieńców, draperyj, fantazya artystów, puszczając tobie cugle, stworzyła w swym rodzaju charakterystyczną piękność architektoniczną, wycackaną, wdzięczącą się, wytworną, której pewnej oryginalności odmówić niepodobna. Rzeźba ze swemi puciołowatemi amorkami i tłustemi chłopięty, ze swemi niewiastami manierowanemi, jak panie z których wzory brała, zrosła się tu z architekturą, zaparła własnej samoistności i posłuszna, zapelniła wszystkie kąty. Gdyby historia tych lat była nieznaną, przeczytałby ją można z tych gmachów, które naówczas stawiano. Wszystko to są dziejowe karty; widzimy społeczność w budowach i ta skorupa ślimaka daje nam napełnniejsze jego kształty.

Co za przepych w tych ozdobach, które nigdzie oku spocząć nie dają i bawią aż męczą, tak jak wiek ów bawił się — na śmierć. Nigdzie prost-

ty i powagi, ale co za uśmiechająca się płatanina zalotna, wabiąca wzrok, ciągnąca go w ciemne kątki, wymykająca się oczom i logice, a wdzięczna jak zepsute dziecko, które bawi, choć muci...

W palacach, w domach, architektura ta rozkoszna, dziwaczna, jest panią hałasliwą i króluje; w kościele tylko jęj obco, staje się sztywną, nie wie jak się obrócić, przybięra minę pobożną, a czuć w nięj wielkie ładaco, choć radaby skruchę udawać.

W Moritzburgu była architektura ta, jak w domu. Zameczek ten pierwiastkowo założył był kurfirst Maurycy, August przerobił go, rozszerzył, upiększył i ochrzcił Dianenburgiem, bo tu piękne łowczyńie zjeżdżały dla myśliwskiej zabawy z królem. Czteropiętrowy gmach wyrasta jakby ze stawu, oblęwającego go dokoła; cztery wieżycy z czasów Maurycyego strzegą po rogach okazałej budowy. Siedem ogromnych sal, zgórą dwieście pokoiów, pozwalało tu najliczniejsze pomieścić towarzystwo. Zewnątrz budowniczy nowy, zapewne Longelune, niewiele mógł przyozdobić mury, ale wewnątrz z całém bogactwem ówczesnego stylu wystąpił. Malarze mu dopomogli mytologicznemi obrazami, w których kochanki królewskie występują, jako Diany.

Pałac, bażantarnia, zwierzyniec, staw zarybiony, pełen sławnych karpioów, stanowią całość, którą dworacy Augustowi lubili porównywać z Wersalem. Posród téj zieleni, nad brzegiem stawu, król kazał zbudować rodzaj galeryi, z szopkami, mającemi przedstawiać sklepy i kramy różnych krajów i narodów. Budy przybrane zielonością, wieńcami, łączyły całe sznury kwiatów i liści. Polowanie na jelenie i dziki, rybołówstwo

i regaty w gondolach na stawie przykładały się do urzeczniczenia zabawy.

Król z Maurycym Saskim, księżną cieszyńską, Koenigsmark, Denhoffową, Pocielową, księżną Weissenfels zjechał zawczasu. Towarzyszyło mu około dwóchset osób przedniejszych, ale oprócz nich, tłum ciekawych i zaproszonych dla przypatrywania się zabawie zdaleka.

Zrazu i pan podkomorzy Dziubiński był w zachwyceniu; obchodził kramy, w których boginie sprzedawały najpiękniejsze rzeczy w świecie. Słyszał on o księżnie cieszyńskiej, o Koenigsmarku, wiedział o Denhoffowej i Pocielowej, że były w łaskach króla, ale trudno mu pojąć było, jak się te niewiasty z sobą godziły i przyjaźniły, jak król zarówno do wszystkich się uśmiechał. Ten rodzaj polygamii jawnej, przeciw której nikt nie mówił, jak gdyby była w naturalnym rzeczy porządku, w głowie mu się nie mieścił.

Kocielił mu to tłumaczył, śmiejąc się:

— *Quod licet Jovi, non licet bovi.*

— Tak, szanowny panie—powtarzał za nim Dziubiński—ale przecie Jowisza nie stało i liczymy oto rok 1718 od urodzenia nowego prawodawcy.

Śmiano się z symplicyusza podkomorzego, który nie mógł tego zrozumieć, że moralność dla króla Augusta musiała być grzeczną i nie mogła mu się naprzykrzać do zbytku.

Dzień ten pamiętny 14 sierpnia, w którym kościół katolicki ochodzi wigilią do Wniebowzięcia, a podkomorzy nawykł był zawsze pościć, z tego powodu był dlań ciężkim do przebycia. Dziubiński mięsa tknąć nie chciał, i gdy po łowach zastawiono stoły pod szalasami dla powszednich gości, do których ledwie się z pomocą

Serwacego przyjaciela, mógł docisnąć, było już dosyć późno, głód dojmował, a między półmiskami ledwie się coś znalazło, czém głód można było zaspokoić. Znalazł pan Serwacy dla niego karpia morytzburskiego tłustego, akomodowanego po polsku. Na głodny ząb dorwawszy się go, Dziubiński połowę półmiska skonsumował, ale czuł że po rybie—*post piscis, vinum misces*—wino było koniecznością położenia. Obficie go stawiano w gąsiorach i zaraz na oko poznał w niém Dziubiński starego przyjaciela, węgrzyna szlacheckiego, zieleniaczek wytrawny, do którego towarzystwa był nawykł i wiedział, jak z nim obcować. Przysunął więc sobie gąsiora, nalał, powąchał—ten sam! Ucieszyło go to niezmiernie.

Skosztował — było paradne, miało zapaszek *sui generis* miły, a nie odurzający; lampkę więc jedną i drugą palnął z zupełném bezpieczeństwem i uczuł że mu w żołądku uczyniły porządek nalezyty. Dalej już jeść, oprócz jakichś słodyczy, nie było co. Słodycze zaś są cklewe. Pachniały mu sarnie pieczenie dokoła, dziczyzna, mięsiwa różne, ale za nic w świecieby ich był do ust nie wziął, bo wigilia do N. Panny ma swe prawa. Drudzy dowodzili, że na ten dzień ks. biskup kujawski dał dla wszystkich Polaków ekscpepcyą do postu, ale ani w to wierzyć, ani o tém słuchać chciał podkomorzy.

— To jest wino chrześcijańskie—odezwwał się do Serwacego pocichu—daje się pić i zdrady w niém niéma. Król nasz, niech mu Bóg błogosławi, sumiennym jest i nie przywodzi ludzi do szwanku.

Ani się spostrzegli, gdy przy miléj gawędce, za stołem na którym ciągle gąsiorzy pełne stawiano, zasiedzieli się do mroku; muzyki ozwały się

dokola i zamek, staw, kramy, galerye, waszystko zajaśniało w kolorowych lampach i światel tysiącach.

Widok był precudnie zachwycający, jak dekoracya teatralna; zieloność przy światłach wydawała się dziwnie żywą, muzyka, wśród lasu rozchodząca się echem, czarującą melodyą poiła ucho.

Zaczynało być późno, ale na zamku tańczowano, po jeziorze przesuwwały się lampami postrojone gondole weneckie, w których piękne panie, każda w towarzystwie kawalera, pływały, śmiejąc się i pustując.

Dziubiński, wygodnie siedząc, patrzył, oczów nasycić nie mógł i pomrukiwał:

— *Mirabilia, incredibile dictu.*—Gdy człek to będzie opisywał, powiedzą że kłamie. Wielki tylko monarcha może stwarzać takie *prodigia!* Cieszę się że to widziałem i zakonotuję pewnie.

Wino zmieniano, a że podniebienie się z napojem oswoiło, nie zważał podkomorzy, iż coraz tęższego naléwano węgrzyna. Raptem, gdy już lampkę niejedną wychylił z nowego gąsiora, uderzyła go woń.

— A to co jest?—zawołał.

Wziął pod światło wino—postrzegł że miało barwę nie szlacheckiego, wytrawnego zieleniaczka, ale jakby owego bursztynowego napoju, którym Denhoffowa dała mu się we znaki. Postawił lampkę, pasa poprawił. uląkł się.

— A jakże to będziez powrotem do Drezna?—zapytał Serwacego.

Tu się okazało że służba cała była tak pijana, a konie gdzieś porozprasane, że nikt ani myślał dnia tego o powrocie do miasta.

Robiło się późno; jedni pili, drudzy, napiwszy

się, zabiérali się do spoczynku. O izbie, łóżku, pościeli mowć być nie mogło; w szałasach miejsca były pozajmowane. Z trwogą postrzegł Dziubiński że drudzy się na stołach, płaszcami pookrywawszy, kładli z kułakiem pod głowę.— Trzeba było iść szukać gdzie miejsca.]

Pan Serwacy tłumaczył, że nocą sierpniową *sub Jove* najprzyjemniej spoczywać było w drzew cieniu. Ba! *sub Jove!* a jeżeli nagle ów Jupiter przedzierzgnie się w *pluvialis*? Przy wstawaniu przeląkł się podkomorzy, bo nogi znowu były, jakby je kto poobcinał. Wstał, zatoczył się fatalnie; Przebendowski go chwycił za rękę, płakać mu się chciało.

— Za grzechy Panu miłosierdzia ofiaruję! — zamruczał.— Dobrze mi tak! dać się uwieść po raz trzeci! Dobrze mi tak!

W głowie drzewa, zamek, jezioró okręcały się dziwnie, nogi ledwie się poruszały, a tu potrzeba było koniecznie szukać miejsca dla spoczynku. Dokoła już coraz było ciszej; gdzieś tam śmieški męskie i niewieście odzywały się po kątach.

— Mój dobrodzieju, przyjacielu mój, wybawco i opiekunie! — odezwał się podkomorzy — jeżeli ty Boga kochasz, pod pierwszą lepszą sosną kładnijmy się, bo ledwie się wlokę.

Szli tedy. Pod pierwszą sosną leżało dwóch Niemców i chrapało, jeden przez sen śpiewał. Trochę dalej otulone w ogromny płaszcz, spoczywało coś, czego rozeznać nie mogli, ale się to poruszało i miało życie. Ominęli więc, idąc dalej. W gęstwinie położyła się czeladź i różne ciury. Słowem gdziekolwiek zajrzeli, gdzie szli z nadzieją, odchodzili z rozpaczą. Dziubiński milczał i ledwie się ciągnął.

Minawszą tak ogromny kawał lasu ludźmi za-

słany, instynktem jakimś trafił Serwacy do powozu, którym przyjechali. Wprawdzie we wnętrzu jego już się był woźnica układał i chrapał, ale go się dobudzili; wyprawiono go pod wóz, a podkomorzy, wdrapawszy się do środka, Bogu podziękowawszy iż go salwował, padł, stękając, na siedzenie.

Ostatnie słowa, któremi dzień ten niefortunny zakończył Dziubiński, były:

— Niech deresza tego diabli biorą; jutro do domu nieodmiennie. Dosyć tój rozpusty.

Poczem przeżegnawszy się, zasnął.

Ostatnia też to była większa zabawa roku tego w Dreźnie, bo o pomniejszych, codziennych, wspominać niepodobna, ani ich zliczyć. Królowa jeszcze Denhoffowa, chociaż bystrzejsze oczy już upatrywały w królu pewne znużenie. Sama jej powolność, zabiegliwość, akomodowanie się Augustowi zbytczne, w którym rachuby więcej było, niż serca, nudziły go. Bielińscy jednak zawsze najlepszych byli nadziei i korzystali z łask pańskich, które dotąd szerokim płynęły strumieniem.

Fleming naturalnie zajmował miejsce i w Moritzburgu w otoczeniu króla, uważano jednak że Maurycy, syn króla, przyćmiwał go nieco. Króla otaczali ciągle on, Vitzthum, Friezen, kręcił się nawet Watzdorf, słowem feldmarszałek mniej już był na pierwszym planie.

Kilka razy król się zbliżył do niego, zagadał uprzejmie, rozśmiał się, a był tak łaskaw, że zdawało się, iż patrzącym wydało się to prawie groźnym.

Ale nauczono się już z doświadczenia, iż znakiem poprzedzającym nielaskę była tu zawsze rosnąca serdeczność i dobroć; tak było z Beistlingerem, tak z innymi. W wigilią uwięzienia

kanclerza, król przyjmował i mówił z nim, jak gdyby go szacował i kochał, jakby mu ufał zupełnie, gdy już rozkaz uwięzienia do Koenigstejnu był wydany. Sam jednak Fleming bynajmniej nie czuł, ażeby w obejściu się z nim króla coś zmienioném być miało. Denhoffowa, jak gdyby zapomniała zbyt poufalego wyrażenia się feldmarszałka, była z nim grzeczną, miłą, nawet trochę zalotną, jak ze wszystkimi. Ona i matka tak się lękały nieprzyjaciół, iż wszystkich łaski i względy skarbić się sobie starały.

Wkrótce potem potrzeba się było wybierać do Polski, uprzedzając sejm, mający się zebrać w pierwszy poniedziałek po świętym Michale. Poprzedzić miała Denhoffowa króla do Krakowa, a tatarskie chorągwie dla konwoju wyprawić miano naprzeciw do Bendzina. Życzył sobie August przypadające sejmowanie w Grodnie przenieść do Warszawy; lecz ani prawo na to nie dozwalało, ani najoddańsi królowi senatorowie do zmiany téj posługiwać się ważyli.

Zawczasu czyniono przygotowania do wyjazdu, a Fleming wahał się, czy miał królowi towarzyszyć. W Polsce umysły zbyt przeciw niemu były rozjątrzone.

Tym światem, którego częstkęśmy odsłonili, rządziły, jakieśmy już wyżej mówili, niezaprzeczenie kobiety. Niekoniecznie nawet najpiękniejsze, niezawsze najrozumniejsze, ale obdarzone tym niewieścim instynktem, który natura im dała jako siłę obrończą, a społeczność uczyniła orężem zaczepnym i zdobywczym. Głośnie imiona Aurory Koenigsmark, hrabiny Esterle, hrabiny Cosel, Denhoffowej, księżny cieszyńskiej, nieko-

niecznie stoją na czcile tego kobięcego rządu za czasów Augusta. Po za temi świetnemi gwiazdami, kometami raczej, przebiegającemi niebo saskiego Olimpu, stoją ukryte postacie, przysłonięte, niewidoczne, poruszające i królem, i jego ulubieńcami i ulubienicami. Ich rączki wiją sieci, zrywają węzły, stręczą i odstręczają, podnoszą i obalają. Po za każdym z bohaterów stoi taka mistrzyni, która pociąga sznurki poliszynela i każe mu śmiać się, wykrzywiać i tańcować.

Za Flemingiem widać siostrę jego stryjeczną; Przebendowską, którą później bliżej poznamy, za innemi motorami żony i ulubienice.

Jednym z faworytów *par excellence* Augusta II, którego nazywano nawet tém imieniem, odznaczającym go do śmierci — był hrabia Fryderyk Vitzthum von Eckstädt, pochodzący z jednej z najstarszych rodzin w Turyngii. Był on przyjacielem młodości króla, z nim razem odbywał podróż po Europie, znał go doskonale i zostawał z nim na stopie poufałości, innym niedozwolonój.

Był to śliczny mężczyzna i dworak w całym znaczeniu tego wyrazu, głowa pusta, serce wystygłe, w towarzystwie człowiek miły, szlachecko-pańska duma ogromna, obojętność na wszystko wielka, oprócz — gry. Królowi służyć jako tako, a grać dzień i noc, było zadaniem jego życia. Ani o majątek, ani o władzę i znaczenie się nie dobijał; miał u króla łaskę, wiedział że August, nawykły do niego, nie obejdzie się bez jego usług, i życia używał, nie dbając wiele o honory, ani o stanowisko. Służba jego była osobista, poufała; w publiczne sprawy Vitzthum wdawać się nie lubił, bo go to od życia odrywało. On reprezentował szlachtę niemiecką na dworze. Wyjątkowo użył go król w r. 1702

jako posła do Karola XII, który go uwięzić kazał; w r. 1710 jeździł do cara Piotra.

W chwili gdy się nasze opowiadanie rozpoczyna, był od niespełna dwudziestu lat żonaty z panną Rachelą Szarlotą Hojmówną, rodzoną siostrą pierwszego męża hrabiny Cosel. Tę piękną naówczas, ale niemającą pannę wyswatał mu sam król, przewidując że gospodyni i kierownika potrzebować będzie.

Posłannictwo to spełniała hrabina Vitzthum najszcześliwiej; mąż nie czuł jej rządów nad sobą, a powodował się jej rozumem. Ona mu zrobiła majątek, pobudowała pałac, wychowała dzieci i strzegła go od fałszywych kroków.

Hrabina Rachelą była niepospolitą kobietą, a swojego czasu i wcale piękną, słusznego wzroku, z oczyma niebieskimi, noskiem odrobineczkę zadartym, różowemi, wydatnemi ustami, figurą majestatyczną, płcią śnieżną. Była to piękność czysto niemiecka i charakter jej krwi kłamu nie zadawał. W obejściu się, wyjąwszy nieprzyjemny śmieшек dziecinny, który z wiekiem stał się nałogiem, była nadzwyczaj układną i zręczną. Pomimo wielkiej żywości, chwytiała najdrobniejsze oznaki i symptomy w tém, co ją otaczało. Nadewszystko zaś była to gospodyni, która dom urządzić, prowadzić, utrzymać umiała cudownie i wszystko, co mogło się do dobrego bytu przyczynić, pozyskać. Jakaś przytém potrzeba zajęcia, chęć może korzystania z okoliczności, płała ją we wszystkie intrygi dworu, których była duszą i sprężyną. Widziała, przeczuwała, podpędzała i wyciągała dla siebie zawsze jakiś pożytek.

Jaki był powód jej nienawiści, prawie jawnej, dla Fleminga, a szczególnie ku siostrze jego

podskarbinie, dosłedzić trudno; lecz nieprzeblagane to było uczucie, które czyhało tylko na porę, gdy się czynnie będzie mogło objawić. Od roku wydała była córkę za obożnego litewskiego, generała w służbie saskiej, księcia Ignacego Lubomirskiego; przez niego więc mogła w Polsce zawiązać pewne stosunki.

Pani Przebendowska wiedziała że ma w niej wroga, ale go sobie lekceważyła. Fleming nie miał jej za niebezpieczną. Stali zdala od siebie; hrabina Vitzthum czyhała, jak na zasadzce.

Cóż jej zwiastowało, że wielkie znaczenie i wpływ Fleminga słabną, że godzina działania się zbliża. Nie była pewną swego, ale z oka nie spuszczała nikogo.

Po owój zabawie pod Laubegastem, Vitzthumowa badała męża, naglądała na króla, zrozumiała zniechęcenie jego do Fleminga i przeczuła rzecz najniepodobniejszą naówczas do prawdy, urośnięcie Watzdorfa, z którego król i wszyscy publicznie żartowali, który jawnie był głupi, ograniczony, zły i śmieszny. Lecz Fleming popełnił błąd, że mu w ręce dał domowe sprawy i finanse; zmusił Augusta aby do niego nawykł, a kto przynosił naówczas pieniądze, ten miał najpewniejszy środek pozyskania łaski i zaufania.

Dla poсполitych oczów ani wzrost Watzdorfa, ani możliwość upadku Fleminga nie były widoczne, gdy hrabina Vitzthum widziała je już oczyma duszy. Watzdorf niekczemny, tchórz, pochlebca, wyrosły z niczego, był dogodny; można było panować nad nim i przez niego Vitzthuma popychać wysoko.

Myśli te karmiła hrabina Rachela, wahając się jeszcze wydać z niemi. Dlatego jednego wieczora letniego po moritzburskiej fecie zaprosiła

do siebie niewieście kółko tych pań, które, jak parki mytologiczne, przędły i rozdziérały nici żywota dworaków. Były to stara hrabina Reuss, siostra jój, rozuinna pani Schellendorf i poważana panna, już podżyła, którą król wielce szanował, Hülchen.

Rozumem, przebiegłością, zręcznością, powagą Hülchen równała się Vitzthumowej.

Pani Schellendorf nie ustępowała im, ale grzeszyła dumą i gwałtownością. Dobra do rady, na nic się nie zdała do czynu. Siostra jój, hrabina Reuss, nierównie była zręczniejszą.

Wszystkie te panie śledziły najmniejsze pulsacye życia na dworze; zebrała je więc hrabina, jakby lekarzy na konsylium, ale ze zwykłą sobie zręcznością myśli swój im nie odkryła. Chciała dobyć z nich jój potwierdzenie, nie wyjawiając się z tém, co przeczuwała.

Dom Vitzthumów, utrzymywany na pańskiej stopie, świetny bardzo, przy wielkiej oszczędności samój pani, liczył się do najokazalszych w Dreźnie. Wszystko było tu ściśle obrachowane, na swém miejscu, ale okazałe i przepyszne.

Nie przyjmowała hrabina Rachela dnia tego nikogo, oprócz zaproszonych na podwieczorek przyjaciółek. Córkę nawet wyłączone zostały.

Dla hrabiny Reuss i jój siostry dosyć było téj okoliczności, aby się domysliły, iż jakiś ważny przedmiot miał wyjść na stół; zbyt jednak były zręczne, aby to po sobie poznać dały. Hrabina Vitzthum, śmiejąc się wedle swego zwyczaju, zaczęła od przyjęcia łakociami i odezwała się do hrabiny Reuss, którą posadziła na pierwszym miejscu:

— Chciałam, abyśmy mogły między sobą po-

mówić o tych fetach i zabawach, a nare i o Denhoffowej. Ja króla nie rozumiem.

Hülchen, skromna, poważna i ostrożna stara panna, siedziała mileżąca. Schellendorfowa odezwiała się pierwsza:

— W tego rodzaju fantazyach, moja kochana Rachelo, nikt nigdy nikogo nie rozumie. Njéma w nich sensu. Ani piękność, ani rozum, ani dowcip nie starczą. Zachciéwa się czegoś nowego, a czasem dziwnego.

— Kochana Schellendorf — odparła żywo gospodyni. — Denhoffowa nawet dziwną być nie potrafi, a nową dla króla nie jest, boć przecież i na jarmarkach lipskich miał fantazyę tego rodzaju. Lecz nie o to już idzie, tylko jak długo ona przetrwać może.

— Ja ani za rok nie ręczę — odezwiała się pani Reuss.

— Ja ani za pół roku — dodała Schellendorfowa.

Hülchen nie odzywała się.

— To zagadka! — rozśmiała się hrabina Rachelo.

— Trzeba było Cosel zastąpić — cicho szepnęła Hülchen — wzięto więc, co było.

— Wybór, przyznam się, tak był osobliwy...

— Nie, to potrwać nie może — mówiła Vitzthumowa — ale cóż po niej?

Panie spojrzały po sobie.

— Czy, kochana Rachelo — przerwała mileżenie hrabina Reuss — czy zauważyłaś jaki symptom w Moritzburgu?

— Król był dla niej nadzwyczaj grzeczny, ale stokroć więcej okazywał czułości dla Aurory, dla Cieszyńskiej, nawet dla Spiegłowój. Stała narówni z Pocięwą, która...

Śniéchem przerwała gospodyni.

— Może być—wtrąciła Reuss, że już jest jaka inna, o której my nie wiemy.

— O nie!—zawołała Vitzthumowa. — Jeśli kto w takim razie, to mąż mój wiedziałby pewnie.

— A ty pochlebiasz sobie —wtrąciła Schellendorf—że wydobyłabyś to z niego?

Skromnie tym razem uśmiechnęła się Vitzthumowa, ale z taką pewnością siebie, że nikt o tém wątpić nie śmiał, iż mąż dla niej nie mógł mieć tajemnic.

— Denhoffowa jedzie z królem do Polski—dodała Hülchen.

— No, i mogłaby tam sobie zostać—mówiła gospodyni.—Świetną myśl żywi podobno feldmarszałek, bo króla chce ożenić.

Oprócz Hülchen, która ramionami dziwnie poruszyła, inne panie śmiać się zaczęły niezmiernie.

— Na to potrzeba geniuszu Fleminga, żeby przyjść do takiej myśli—dodała Reuss.

— I jego wiary w siebie, aby sądzić że króla skłonić potrafi do popełnienia takiej niedorzeczności—odezwała się Vitzthumowa.—Ale Flemingowi wszystko wolno.

Popatrzyły sobie w oczy; żadna z nich nie śmiała tego tematu rozwijać. Hülchen słuchała z wielką uwagą.

— Co do Fleminga—rzekła Schellendorf, po długim przestanku—ja nie wiem, ale zdaje się że osobiście król przestał w nim smakować. Potrzebny mu jest, jako obeznany ze wszystkimi sprawami, szczególnie w Polsce.

— Ach! — poczęła się śmiać gospodyni wien to przez mojego zięcia, że w Polsce niéma bardziej nad niego znienawidzonego człowieka. Tam on jest raczej przeszkodą, niż pomocą.

— Są ludzie—wtrąciła, głos zniżając, hrabina Reuss—którzy utrzymują że Fleming się chwieje.

— Sądziecie?—chciwie podchwyciła Vitzthumowa.

— Tak mówią—ciągnęła dalej hrabina.—Królowi dokuczył jego despotyzm i grubiaństwo; chce mieć sługę, nie pana.

— No, nie wiem—odrzekła Vitzthumowa—mąż mój nic mi o tém nie wspominał; lecz gdyby tak było, któż go zastąpi?

Schellendorfowa pokiwała głową.

— Najpokorniejszy, najglupszy, a najpotulniejszy—rzekła.—Zdaje mi się, że już odgadnięcie o kim myślę.

— Wiem—dodała Reuss—ale król jest nadto *galanthomme*, a to gbur.

— On się potrafi uczynić znośnym — szepnęła Hülchen—w podobnych razach szczęście rozum przynosi.

— Ale ja wam rękę—odezwała się żywo gospodyni—że on znowu tak obranym z rozumu nie jest. Bywa zręcznym.

— Potrzebaby chyba, żeby ktoś nim kierował i pomagał—dodała Reuss.—Znacie jego żonę?

— Ja ją znam—poczęła spokojnie Hülchen.—Biédna, zmęczona, zahukana, skromna kobićcina. Nicobeznana ze światem, bojaźliwa, prostoduszna, aleby się z niej co może zrobić dało.

-- Trzeba, aby ją ktoś wziął w opiekę

To mówiąc, hrabina Reuss spojrzała na gospodynię, która, czując się odgadniętą, zarumieniła się mocno i dla pokrycia zakłopotania--roześmiała.

— Przyznam się że toby było zabawném ów „bufon“ Watzdorf, który niemał lokajem był

u Fleminga, stał się dlań niebezpiecznym współzawodnikiem.

Stara hr. Reuss potrząsnęła głową.

— Jeśli Denhoffowa może być *metresą en titre*, czemużby Watzdorf nie mógł być pierwszym ministrem?—rzekła z przekąsem.

— A! przepraszam!—zaprotestowała gospodyni—Watzdorf daleko więcj wart od niej w swoim rodzaju.

Hrabina Vitzthum, już prawie celu dopiawszy i przekonawszy się, że idea upadku Fleminga a wyniesienia Watzdorfa nie w niej jednęj się zrodziła, gotową była zaprzestać badania; ale kółko owo, cheiwe plotek i intrygi, nie mogło poprzestać na tak krótkim i lekkim muśnięciu ulubionego przedmiotu.

— Słuchaj, Hülchen,—odezwiała się Reussowa—król czasem się ciebie radzi i nie bez przyczyny wierzy w twój rozum. Nie wspomniał ci czego? nie mówił? nie pochwyciłaś jakiego znaku?

— Dotąd nic a nic—odpowiedziała stara panna.—Król w tych sprawach jest nicodgadnięty, a jeśli się zwierza, to chyba Vitzthumowi.

Wszystkie panie zwróciły oczy na gospodynię; śmieszek jej dziecinny odezwał się znowu, potrząsnęła głową.

— Vitzthum nic nie wie—rzekła.—Co do mnie, przyznaję się chętnie przed wami, że mam przeczucie jakiejś zmiany, choć w dalekiej może przyszłości jeszcze. Fleming upadnie, Watzdorf może urosnąć, bo codzien nabiera faworu u króla; ale to wszystko nie przyjdzie tak prędko.

— Jeżeli się do tego nie podpomoże—rozmiała się hrabina Reuss.—O! jabym nie nie miała przeciwko temu.

— Ani ja—dodała Schellendorf.

Hülchen uśmiechnęła się smutnie, nie mówiąc nic.

— Jakże feldmarszałek jest z mężem twoim? — zapytała Reuss.

— Ani źle, ani dobrze; jesteśmy *en delicateesse*. Nie szkodzi nam może, ale nie pomaga pewnie.

— A kto nie pomaga, ten już przez to szkodzi—wtrąciła Schellendorf.

— To pewna! — potwierdziła gospodyni.— Przez Watzdorfa, teraz go podpiérając, możnaby potem zrobić wiele.

Tu Hülchen odchrząknęła, jakby mówić chciała.

— Wątpię żeby na niego rachować można— rzekła—jest-to charakter chłopca, który głodem marł i gdy się dorwie do miski, gotów tego co mu ją podał od niej odpędzić, aby się najadł lepiej. Wdzięczności się po nim spodziewać nie godzi. Żona dobra kobieta, ale bardzo, bardzo pospolita.

— Wykrzesze się powoli — rzekła hrabina Reuss.

— Wszystko winien Flemingowi—zrobiła uwagę Hülchen.

— Tak, aleście sami mówili, że wdzięczności się po nim spodziewać nie godzi.

— Prawda, ale w dodatku tehórz jest—dodała Hülchen.—Lęka się Fleminga.

Hrabina Reuss, która jadła ciastka chciwie, pokiwała głową.

— Ja wam powiadam—odezwwała się, trochę odchodząc od rzeczy—że tacy ludzie, jak ten bufon, gdy raz staną przy wielkim oltarzu, najlepiej się przy nim trzymać umieją. Głupota i podłość są to znakomite zalety, choćby się inaczej wyda-

wać mogło. Połowa ludzi ginie rozumem zbytnim i dumą.

— Prawda—dodała Schellendorf—i kto wie co z Watzdorfa będzie. Pan Bóg człowieka ulepił z gliny, król może ministra zrobić z błota.

Śmiały się panie. Widoczném było, że szé-rzej o Flemingu żadna z nich się rozgadywać nie chciała, choć nie z obawy żadnej, bo o zdradę posądzać się nie mogły.

— Mnie się zdaje—dodała wreszcie Vitzthumowa — że Fleming, jeżeli ma kiedy stracić u króla łaskę, to ją niepowodzeniem w sprawach Polski chyba straci. Od elekcyi prawie uwodzi króla nadziejami, które się nigdy nie ziszczą. Teraz pochlebia sobie, że tą komendą dokaże wiele, ale mu ją odbiorą.

Reussowa pochyliła się do ucha gospodyni i szepnęła:

— Możecie się do tego przez zięcia waszego przyczynić.

Vitzthumowa, widząc się znów odgadniętą, nie odpowiedziała już nic; zaczęto mówić o fraszkach, o różnych, zaledwie dostrzeżonych, ale dla tych pan widocznych amorach, o które nie bez przyczyny posądzano Denhoffową, o wypadkach ostatniej gry, bo naówczas wszystkie panie nawet grały i przegrywały wiele; potem o nieznośnej Glasenappowej, o księżnie cieszyńskiej, o hrabi Maurycym i t. p. Rozmowa się przeciągnęła dosyć długo na wieczór, a Vitzthumowa wyciągnęła z niej tę pewność, iż wszyscy razem z nią zachwianie się Fleminga przeczuwali.

Było to potwierdzeniem jęj najskrytszych myśli; czuła się silniejszą tą zgodą powszechną.

Pożegnawszy przyjaciółki, które pojechały jeszcze zasiąść do lombra, każda w inném kółku,

i czegoś się jeszcze dowiedzieć lub coś podpatrzeć, hrabina Vitzthum została sama. Potrzebowała zebrać myśli, nim przystąpi do stanowczego działania.

Pod jednym dachem z nią mieszkali Lubomirscy, zięć jej i córka. Książę właśnie się wybierał do Polski, mając tam króla, jadącego na sejm, poprzedzić. Wieczór spędził na zamku, ale choćby powrócił późno, Vitzthumowa chciała go widzieć samnasam dziś jeszcze. Stało się wedle jej życzenia, bo książę poprzedził Vitzthum'a, który przy stoliku gry często całe noce spędzał. I tego dnia Lubomirski wrócił zawczasu do żony, która go zaraz do matki wyprawila.

Słowo o księciu oboźnym, jakim on był naówczas.

Powierzchnowość miał wdzięczną i szykowną, oczy czarne, piękne i wesołe, twarz rysów regularnych, bez wielkiego wyrazu, ale zdającą się oznaczać łatwe i bystre pojęcie. W mundurze generała wojsk saskich było mu do twarzy. W obejściu się nie znać już było stariej buty polskiej, ale europejskie ugrzecznienie i wypolowanie. Wśród dworaków Augusta nie raził książę niezém i nieczém się nie odznaczał. Potrafił się zastosować do form, do tonu, do zwyczajów towarzystwa i zdawało się mu chodzie o to wielce, aby nie przypominał figur kontuszuwych, z których pół-azyatyckiej fizyognomii trochę się pocichu naśmiewano.

Vitzthumowa wzięła go za zięcia dla tytułu, dla stosunków i czując w nim może łatwe narzędzie. Kobięta tak przenikliwa nie mogła tego nie dostrzedz, że książę, który wszystko niezmiernie łatwo pojmował, który mówił i sądził

o wszystkiem bardzo zręcznie, który zdawał się do wszystkiego zdolnym, sam przez się mało miał siły do czynu i potrzebował kogoś, coby go prowadził, kierował, popychał. Zostawiony własnym siłom, jak wszyscy co dużo i pięknie mówią, miał wstręt do czynu i do pracy. Lekkomysłność krwi i wieku przeszła w niego. Nie był zdolnym do trwałego dążenia ku jednemu celowi, nużył go każdy dłuższy wysiłek; ale gdy przyszło postępowanie swe wytłumaczyć, czynił to z przedziwną łatwością i bardzo zręcznie.

Człowiek był jednem słowem wysmienity, ale do niczego.

Obozny ożenił się z Vitzthumówną dla karyery w saskiem wojsku, dla opieki Vitzthuma, który był przyjacielem króla, a trochę przez tę lekkomysłność, do której się nie przyznał przed sobą i nie miał jej poczucia.

Z galanterią dworaka wpadł książę do gabinetu, w którym Vitzthumowa na niego oczekiwała, z twarzą rozpromienioną, wesół, szczęśliwy, trzpiotowaty—pocałował w rękę wstającą z krzesła i zapytał:

— Mama mi się stawić kazala? nieprawdaż?

— A tak. chciałam się rozmówić z tobą. Siadaj. Nie jest jeszcze tak późno. Gdzie mój balamut stary? pewnie przy grze?—ruszyła ramiionami.—A! to nieszczęsna pasya, bez pomiarowania! Ja sama grałam, ale potrafiłam się wyrzec gry, gdy mnie szczęście opuściło... Król jak? w dobrym humorze?

— Gdyby nie miał nieznośnego sejmu przed sobą, i to jeszcze w tém nudném Grodnie, do którego wszystko, aż do stołków, wieść potrzeba—o-dezwał się Lubomirski.

— Mogliby przecie sejm złożyć w Warszawie

kiedy król tego wymaga—zawołała Vitzthumowa.

— A! niestety, nie—śmiejąc się, rzekł książę.—Nasza pocziwa Litwa byłaby przez to pokrzywdzoną. Dopomina się swojej alternatywy. Fleming i Szaniawski utrzymują, że to niepodobieństwo.

— Przepraszam cię—przerwała hrabina Rachel—obaj oni niedobrze królowi służą, a zbyt się oglądają na formy. O! gdyby chcieli...

— Tak, ale są ważniejsze sprawy trudne—mówił Lubomirski, — Lepiej na nie całą siłę obrócić.

— Wiem, mówisz o dowództwie Fleminga—odezwwała się Vitzthumowa.—Wierź mi, feldmarszałek króla zwodzi; to nie doprowadzi do niczego.

Lubomirski zamilkł, bawiąc się guzikiem od munduru.

— Mówmy otwarcie, mój drogi książę—poczęła, ton przybierając poważny, Vitzthumowa.—To panowanie niezręcznego Fleminga, które nas tyle kosztowało, i Saksonia drogo przypłaciła. Musi się ono skończyć. My, mój mąż i ty, mój książę, wszyscy, ile nas jest, z Flemingiem do niczego nie dojdziemy; ani Vitzthum niezaawansuje, ani generalstwo do wyższych stopni was nie doprowadzi, dopóki feldmarszałek rządzi.

Książę, na znak zupełnej zgody, głowę pochylił.

— A więc—ciągnęła dalej hrabina—im się to gospodarstwo prędzej skończy, tém lepiej. Fleminga tu w Dreźnie zachwiać trudno, trzeba przeciw niemu działać w Polsce.

— Doskonale—rzekł książę.

— Podzielasz moje myśli?— spytała Vitzthumowa.

— W zupełności, jak zawsze— rzekł książę;— jest-to rozumne, przemądre, jak wszystko co mama myśli i mówi.

— Jedziesz książę do Polski, masz tam ogromne stosunki— ciszej poczęła hrabina— potrzeba ich użyć, aby Flemingowi szyki pomieszać. Ale zrozumiemy się— dodała, palec przykładając do ust.— Książę nie powinienś sam nigdzie wychodzić na scenę. Do działania powinny się znaleźć narzędzia. O ile wiem i znam Polskę, ze szlachty tam, *avec un peu de savoir faire*, robi się wszystko, co kto zechce. Należy tę szlachtę, co powinno przyjść łatwo, podbudzić, aby się od hetmanów domagała odebrania komendy Flemingowi. Rozumiész?

— Doskonale!— rzekł książę.

— Z Pociem dasz sobie rady, do Sieniawskiej trafisz, bo ona mężem kieruje— mówiła dalej Vitzthumowa.— Szlachta niech krzyczy, niech sejm zerwą, jeśli Fleming nie zda komendy.

Raz jeszcze zapytała hrabina:— Rozumiész?— i znowu powtórzył książę:— Doskonale!

Jednakże milczał jakoś, nie rozszéraszając się w tym przedmiocie; był zadumany i jakby zakłopotany.

— Więc mów— odezwiała się hrabina— tak czy nie? Zrobisz co radzę?

— Z największą chęcią— odrzekł książę, schylając głowę;— ale, kochana mamó, ze szlachtą, *c'est triste à dire*, aby coś zrobić, potrzeba koniecznie pieniędzy. Ja, powiem szczerze, nie mogę w téj chwili tak wielkiego wydatku podjąć.

— Jestże tak wielki?— spytała hrabina.

— Oznaczyć nie potrafię— mówił książę— ale

to pewna że może być znacznym, gdyby się chciało rzeczy energicznie prowadzić. Widzi mamą, potrzebuję mieć zaufanych menderów, a za dyskrecyą się płaci. Ci panowie muszą przyjmować, karmić i poić tłumy, a nasza szlachta je i pije znakomicie.

Książę się zaczął śmiać. Vitzthumowa, rachunkowa niewiasta, minę nastroiła poważną i zacięła usta; widać było że w głowie obrachowywała sobie, jak daleko posunąć się mogła i ryzykować.

— Książę to potrafisz może zrobić wpływem swoim i familii, co drudzy piędziami — rzekła sucho.

— Ale ja i familia musimy użyć kogoś, bo sami zostaniemy za kulisami — odparł Lubomirski.

— Masz książę ludzi? — spytała hrabina.

— Tych na miejscu znajdę — rzekł książę.

— Idzie wiele o to, aby się Fleming z naszej strony roboty żadnej nie domyślał — dodała hrabina Rachel. — Król dotąd ludzi się jego planami, przyswoił je sobie i gniwałby się, gdyby mu je skrzyżowano. Szlachta powinna iść jakby własnym popędem.

— Rozumiem zupełnie — odezwał się Lubomirski. — Plan jest doskonale obmyślany; idzie o to, abym ja wykonał go jak należy. Niebardzo sobie pochlebiam, abym do tego był zdolnym, lecz gorliwość przyrzec mogę najuroczyściej.

Vitzthumowa popatrzyła nań.

— Przejmij się książę tém, weź to do serca proszę cię — rzekła nalegająco. — Wierz mi, że ja to radzę i proszę o to nie przez niechęć do téj niecznośnej podskarbinsy, nie przez nieprzyjaźń

dla Fleminga, którego nie lubię, ale w waszym interesie, w ojca i twoim. Vitzthum pozostanie na wieki tym „*le favori*“ jak go nazywają, rodzajem pokojowego przyjaciela bez władzy i znaczenia. To mnie boli, z tego wyjść musimy.

Lubomirski z największą słuchał uwagą.

— Niech mama prowadzi—rzekł, skłaniając się—ja pójdę gdzie mi każe, z zupełnym poddaniem się jej woli.

-- Tak, i proszę poślubić sobie myśl moję, przejąć się nią, a milczeć o niej przed wszystkimi. Wojna którą rozpoczynamy z Flemingiem całe lata się ciągnąć może. My tu działać będziemy, wy powinniście w Polsce. Jeśli tam potraficie sobie zyskać adherentów, oprócz hetmanów i szlachty, tém lepiej.

— O to zdaje mi się będzie łatwo—odezwał się książę wesóło—Fleming nigdzie nie jest tak znienawidzony, jak u nas. Od ostatniej konfederacyi, w której o mało nie postradał życia, samo imię jego burzy. Oprócz kilku senatorów, nie będzie miał za sobą nikogo, a szlachtę całą przeciw sobie. Ona czuje zagrożoną swobodę swą, sejmikowanie i *liberum veto*.

— A zatem *nous avons beau jeu* — mówiła Vitzthumowa.

— Spodzielwam się że sprawę wygramy—dokńczył Lubomirski.—Ale, kochana mamó, będziemy musieli na to wyrzucić trochę pieniędzy. Ja teraz pojadę, aby grunt wysondować, ludzi znaleźć i przygotować. Potém rozpoczniemy robotę.

-- Im prędzej, tém lepiej—odezwała się Vitzthumowa.

Narada wcale jeszcze nie była skończoną, gdy

w przedpokoju usłyszała hrabina głos męża. Dała znak ręką zięciowi, aby przerwał rozmowę.

— Idź do żony—odezwała się—odpocznij. Vitzthum wraca dziś wcześniej, musiał przegrać. Będę go łajała, nie powinienes być tego świadkiem.

Lubomirski posłuszny skłonił się, pocałował hrabinę w rękę i wybrał się natychmiast z pokoju, tak że w progu spotkał hrabiego, który szedł w sukni rozpiętj, z włosami rozrzuconemi, kwaśny i jakby znudzony. Mileząco pożegnał zięcia wymykającego się i jak winowajca wszedł do żony. Zaledwie dotknąwszy ustami jēj ręki, padł, ziewając, na krzesło.

Vitzthumowa stanęła naprzeciw niego, przypatrując mu się bacznie.

— Wiele przegrałeś?—spytała łagodnie.

Vitzthum ruszył ramionami.

— Ale, proszę cię.

— Nie tak wiele, jakby z mojej głupiej miny wnosić można—rzekł.—Nie szło mi o wygraną.

— A o cóż?

— Żem tēj ślepej fortuny nie mógł zwyciężyć—mówił Vitzthum.—To upokarzające! Raz po raz bili mnie, kto chciał. To nieznośne!

— Gdy gra nie idzie, trzeba od gry odejść—rzekła łagodnie hrabina.

— Dobrze to mówić, ale gdy się gra...

— Ja grywam i tak robię. Wygrałam 50,000 talarów i przestałam nazawsze—rzekła hrabina.

— Zapewne!—począł, wyciągając się w krzesie Vitzthum.—Ty! ale na Boga, nie wszyscy mają twój rozum, zimną krew i takie panowanie nad sobą. Nie każdemu dane być tak doskonałym

— O pochlebco!—pogroziła hrabina.

— Czysta prawda!—ziewnął Vitzthum.

— Czy i Fleming grał?—zapytała pani.

— On! nierad o nim mówię—począł Vitzthum.—Wiész że go nie cierpię.

— Ręczę że ci to wzajem oddaje—rozśmiała się Rachela.—Ale obu was wstręt do siebie jest czysto platoniczny; ty mu nic nie robisz, ani on tobie.

— O on, gdyby mógł!—zawołał hrabia.

— A ty?—zawołała pani.

— Ja? ja?—obojętnie odparł Vitzthum.—Ale powiedz-że mi, na co się to zdało?

— Wiész że naiwny jesteś. Na co się to zdało? zdaje mi się że to jasne jak na dłoni. Gdyby Vitzthum potrafił odsunąć Fleminga, mógłby zająć wcale inne stanowisko. Czyż ty tego nie widzisz, że on jest dla nas zaporą, przeszkodą, i że cię zepchnął na rodzaj szambelana, co służy w sypialni i garderobie?

Vitzthum słuchał z uwagą.

— Kochana moja Rachelo—rzekł—ty mnie przecie znasz; ja innéj ambicyi nie mam, jak posiadać serce króla. Tego mi żaden Fleming nie odbierze.

— Ale mój drogi Frycu—odezwiała się przy-
milajaco żona—ty, pozwalam, nie masz ambicyi, ale masz dzieci, potrzebujesz dla nich coś zrobić, conajmniej fortunę.

Ruszył ramionami hrabia.

— Jesteś najlepszym, najmiłszym z ludzi—mówiła dalej hrabina, ręce mu kładąc na ramionach—jesteś bezinteresownością samą, dajesz sobie wszystko brać z przed nosa i skończy się na tém, że wszyscy tu urosną, oprócz nas.

Patrzył na nią Vitzthum.

— Więc cóż mam robić?—zapytał.

Rachela poczęła się śmiać po swojemu i pocałowała go w czoło.

— *Adorable!*—zawołała.—Czyż nie rozumiesz tej prostej rzeczy, że abys ty urósł i my z tobą, trzeba żeby Fleming...

Nie dokonczyła.

— *Bon!*—rzekł hrabia—ja go nie zastąpię, to pewna; za tym przyjdzie drugi, gorszy jeszcze. Wierz mi, że to na jedno wychodzi.

— Wcale nie, bo moglibyśmy sobie wybrać tego następcę do naszego smaku—szepnęła hrabina.

— Na przykład?—spytał Fryc.

Hrabina zamilczała i przeszła się parę razy po pokoju.

— No, jak ci się zdaje, kogoby wybrać?—poczęła cicho.

— Zgóry ci dziękuję za Manteuffla i za Wackerberta—odezwał się hrabia.

— Zgadza się z tobą.

Hrabia się zerwał z krzesła i zawołał ze śmiechem:

— Zlituj się, został więc jeden chyba bałwan Watzdorf!

— Dlaczegożby właśnie nie postawić bałwana?—odezwała się hrabina.—Wierz mi że ja przyjemniej tyle co ty króla kocham i dobrze mu życzę. Watzdorf gbur, nieokrzesany, służy mu uległe, pokornie, cicho; nie porwie się mówić mu „ty,“ po ramionach go klepać nie będzie, a nam z nim byłoby wyśmieniecie.

Niedowierzająco spoglądał Vitzthum, nie zdając się spełna wiedzieć, czy żona nie żartuje.

— Seryo?—spytał.

— Zupełnie seryo!—potwierdziła pani.—Pomyśl dobrze, a zgodzisz się ze mną, że lepiej

z Watzdorfem, który nam będzie całkiem oddany, niż z tym zuchwałym zaróżumiałcem, który nie nie szanuje, a nam słońce zasłania.

Vitzthum, padłszy w krzesło, zamyslił się głęboko; trudno było zgadnąć czy o grze, od której tylko co odszedł, czy o tém, co mu rzuciła w ucho żona.

Rachela czekała milcząc, ażeby ziarno posiane kiełkować poczęło. Chodziła po pokoju i zwolna zabrała głos znów:

— Przyznam ci się, że jak na przyjaciela młodości, który tyle ucierpiał dla króla, dał mu tyle dowodów serca, ty, kochany Frycu, wcale niewłaściwe miejsce zajmujesz na dworze. Ty się zowiesz „faworytem:“ bardzo to ładne, ale Fleming złoto mierzy beczkami, kupuje dobra, buduje pałace, marzy o książęcym tytule, a ty, mój pocziwcze, jak byłeś, tak jesteś faworytem! Gdyby żona za ciebie nie zbierała pieniędzy, częstoby ci ich zabrakło. Drudzy się podobiali różnych pięknych tytułów, a ty...

— Ja mam Rachele—odpowiedział Vitzthum wesoło—i na tém mi dosyć!

— Ale Rachela ma ambicję—dodała żona—dla miłości jej należałoby coś zrobić

Było późno, małżonkowie rozstali się, życząc sobie dobrej nocy, a Vitzthum, mający niepomierną chętkę powrócenia do gry jeszcze, musiał się wstrzymać, z obawy aby mu żona bury nie dała, i poszedł spać w najgorszym humorze.

Rozmowa ta była tylko początkiem akcji hrabiny Racheli. Nazajutrz wznowiła ją jeszcze, a wiedząc w jaki sposób na męża działać mogła, podnosiła ją ciągle przy każdej sposobności. To przeto, co się Vitzthumowi wydało w początkach niemal nedorzeczném, w kilka dni zostało

przyjętém, jako droga wytknięta postępowania na przyszłość.

Co dziwniej, nader zręczna pani umiała jakoś wmówić mężowi, że myśl którą mu poddała była jego własną, że ona ją wzięła od niego. Vitzthum zwolna utwierdził się w tém przekonaniu, iż on sam pierwszy wybrał Watzdorfa i rozpoczął działanie przeciw Flemingowi.

Wostatku nietylko myśl swoją narzuciła mu żona, ale pokierowała nim tak, ażeby zbyt porywczo nie przystąpił do jęj wykonania i nie stanął jawnie przeciw nieprzyjacielowi, coby przeciwnika rozbudziło i uczyniło ostrożnym. Znała z tego Fleminga, iż w pierwszjej chwili, gdy spostrzegł niebezpieczeństwo, zwykł był działać dla usunięcia go nader gwałtownie. Król jeszcze go potrzebował, marząc zawsze o połączeniu dwu państw w jedno, byłby więc stanął może po stronie feldmarszałka. Robota przeciwko niemu, osnuta na skalę wielką, na metę długą, poczęła się przeto z ostrożnościami, powolnie, nieznacznie i z przebiegłością niewieścią. Hrabina Vitzthum stała na czele, nie będąc widoczną. Szło teraz o to, ażeby Denhoffową, której użyć nie było podobna, zastąpić kim innym. Bardzo zręczna hrabina miała już na oku drugiego Lubomirskiego, księcia Jerzego chorążego koronnego, który się kręcił około Denhoffowej. Postanowiła przez zięcia pokierować tak rzeczy, aby ulubienicę królewską wydać za niego i króla w ten sposób ze szpon jęj uwolnić. Może już nawet na oku miała tę, która Denhoffową zastąpić mogła.

Wszystko to odbywało się tak pocichu, tak ostrożnie, że nikt się robót nie domyślał, oprócz wtajemniczonych, nikt nie posądzał nawet o nic,

a Fleming nie miał przeczucia niebezpieczeństwa.

Miała je może za niego pani Przebendowska, lecz zanadto ufała brata siłom, aby sobie wiele ważyła pokątne na niego spiski. Kilkadziesiąt lat i większe daleko niebezpieczeństwa przetrwał Fleming niezachwiany, była więc przekonana że i z tych zasadzek wyjdzie zwycięzko.

Tymczasem wyprawiono Denhoffową przodem, aby na króla oczekiwała w Krakowie. Ztąd król, dla rozmaitości, miał się na statku, umyślnie urządzonym z pokojami dlań, udać do Warszawy, razem z Marynią.

Kilkanaście dni zeszło na przygotowaniach do tej podróży wodą, w stolicy dawniej, która koronę włożyła na skronie Augusta. Nareszcie ruszył król do Warszawy i rad nierad pojechał ztąd na sejm do Grodna.

Znany jest z dziejów ten sejm dosyć burzliwy, pełen epizodów rozmaitych, zajęty napozór prawie wyłącznie naleganiem o ewakuację wojsk obcych i wycofanie ich z Litwy. Lecz po za temi gorącemi rozprawy, które maskowały robotę hetmanów, usiłujących powrócić do dawniej władzy, odgrywała się sprawa komendy Fleminga, sprawa Sasów z rzecząpospolitą. Niektórzy Sasi, towarzyszący królowi, zajmowali kwatery w dworach szlacheckich, wyrugowawszy z nich właścicieli; ztąd znowu *clamor* na opresyą.

Ledwie się to polatało, powstał spór między duchowieństwem a senatorami świeckimi o wyprawy z dóbr kościelnych i dziedzicznych, oudział w powinności wojskowej. Prymas, obruszony że ciężar taki cheiano nałożyć na duchownych, wyruszył z izby i pociągnął za sobą wszystkich biskupów. Senatorowie krzyknęli, żeby krzesła

biskupie powynosić z izby i duchowienstwu na przyszłość nie dać udziału w sejmach. Zawzięło się tu tak ostro, iż biskupi poznański i smoleński musieli, prymasa odprowadziwszy, powrócić do izby, aby umysły ułagodzić i zapobiedz wyniesieniu krzeseł nazawsze.

Działo się to na tym samym sejmie, na którym, o mało nie wypędziwszy biskupów, wypędzono też starostę buczniowskiego Piotrowskiego, dlatego że był kalwinem.

Musiano sejm limitować, nie nie robiwszy, a królowi dając moc zwołania go nanowo, co było rzeczą niesłychaną i prejudykatem dla władzy królewskiej nader ważnym. Szlachta postrzegła dopióro niebezpieczeństwo, gdy już na nie radzić było zapóźno. Saskie i Fleminga plany o jeden krok dalej ku urzeczywistnieniu postąpiły. Król miał dany czas do przygotowania umysłów, do jednania sobie partyzantów. Z obu stron, przyjaciele Fleminga i nieprzyjaciele jego, wzięli się czynnie do tego, aby z daniej folgi korzystać.

Tymczasem pani Vitzthumowa żeniła Donhofową z Lubomirskim, a zięć jej szlachtę potajemnie przeciwko feldmarszałkowi podburzał.

Lat parę upłynęło od opisanych wypadków. Napozór wszystko zostało postaremu, jak było; nie zmieniły się ani stosunki, ani położenie, ani stanowiska osób któreśmy poznali; o krok tylko dalej posunęły się te podkopy obłącznicze, które dokoła opasywały feldmarszałka. Fleming okazywał się coraz bardziej zniechęconym i znużonym.

Karnawał w tym roku znowu ze szczególną być miał obchodzony wytwornością i przepychem,

co za Augusta Mocnego znaczyło wiele, gdyż nawet w najcięższych chwilach, gdy tylko odetchnąć było można, król natychmiast do swojego obyczaju, do monarchicznych występów powracał. Skarb bywał wyczerpany, kraj zniszczony, ale na okrycie blaskiem majestatu środki się zawsze znaleźć musiały. Jeśli do jakiej epoki, to do tej stosowało się polskie przysłowie: „Zastaw się, a postaw się.“

Syn pierworodny królewski ożenił się był właśnie z arcyksiężniczką Maryą Józefiną, co było zwycięstwem polityki Fleminga, ściśniającej węzły z domem cesarskim; dla młodej, bardzo niepięknej i dosyć surowej pani. August występował świetniej jeszcze, aby się upośledzoną w Dreźnie nie czuła. Otoczono ją przepychem.

Zalotny zawsze i lekkomyślny aż do okrucieństwa w swych zalotach, Herkules saski starzał, zbliżał się do lat pięćdziesięciu. Namiętności wystygły może, ale nałogi i obyczaje pozostały dawne. Nawet wzgląd na pobożną i przestrzegającą przyzwoitości synową nie mógł króla całkiem powstrzymać od galanteryi, bez której zbyt wielka próżnia w życiu jego została. Zmieniła się tylko forma dawna miłostek: metresy *en titre* w tej chwili nie było. Denhoffowa, jak przepowiadano, nie umiała długo króla utrzymać przy sobie, a z ręki niewidzialnej podsuwane kandydatki zmieniały się, nie umiając już zająć zalotnego pana, tak jak niegdyś Königsmark, Esterle, ks. cieszyńska i Cosel.

Panowanie Denhoffowej nad kieszenią królewską, nie nad sercem, skończyło się, jak postanowiła Vitzthumowa, projektem małżeństwa z Lubomirskim. Młodzieńcze pasye minęły; król się bawił zawsze, ale kochać się już nie mógł,

nawet głową. Oprócz hrabiny Cosel, która miłość swą i dumę odpokutowała w więzieniu, inne opuszczone Aryadny wszystkie prawie popowracały na dwór, żyły z sobą w zgodzie i były króla przyjaciółkami. Większa część ich powychodziła za mąż i starała się tylko o wyposażenie.

Od pierwszych lat panowania, wiele rzeczy zmieniło się dokoła króla w życiu, stosunkach i ludziach; wielu dawnych marzeń olbrzymich wyrzec się było potrzeba; smutne doświadczenia nadwérężyły wiele wybujałych planów. Jednego tylko zamiłowania w świetności i blasku król nie tylko się nie pozbył, ale namiętność występowania i popisów z monarchicznym przepychem urosła jeszcze, zastępując inne, wygasłe.

Przed rokiem właśnie ukończono na zamku drezdeńskim salę olbrzymią, zwaną także salą Bohatérów. W niej właśnie teraźniejszego karnewału reduty z maskami odbywać się miały.

Ogromna ta sala, chociaż rok dopiero jeden służyła, już się królowi wydawała i nieświeżą, i niedosyc ozdobną; chciał ją mieć jeśli nie nowo przerobioną (na to już czasu nie stawało), to jeszcze wspaniałój przybraną.

W tym celu, w rannój godzinie przywołać kazał do siebie tego wyśmiewanego bufona, z którego niedawno drwił sam i żartowali wszyscy, a który teraz, na wszystko dostarczając pieniędzy, stał się potrzebnym, był już prawie lubionym i z tak zwanego chłopca mansfeldzkiego przedzierzgnął się na hrabiego cesarstwa. Pracowała nad tém potajemnie hrabina Vitzthumowa, a Flemingowi zdało się może, iż jego protegowany niegdyś gwoli jemu został tak utytułowany.

Watzdorf nieznacznie rósł i pocichu już na

swojego dobroczyńcę donosił królowi prawdziwe i fałszywe plotki.

Chciał z nim król i teraz mówić o nowém sali przybraniu, o którém właściwiej było naradzić się z Pöpelmannem lub Longelune'm, czy téż dekoracya była tylko pozorem do cichéj rozmowy w innéj sprawie... Można się było domyślać różnie. Dosyć że Watzdorf w porannéj godzinie na króla w pustéj sali redutowéj oczekiwał.

Świetna i wspaniała sala, gdy ją wieczorem siedem kryształowych olbrzymich świeczników, w których do pięciu tysięcy świec jarzących gorzało, obléwało blaskiem, odbijającym się w ogromnych zwierciadłach weneckich, niemniej pięknie wyglądała teraz po dniu, ze swą estradą podwyższoną dla króla, rodziny jego i dworu, z galeriami u góry, z przejściami bocznymi dokoła, z olbrzymim kominem, którego dwie nisze boczne, zaciszne, osłonięte służyły dla par, chcących się ukryć przed oczyma tłumu i poszeptać z sobą pocichu. Było to zwykle wśród wrzawy miejsc schadzek zakochanych — jeżeli ówczesne miłości kochaniem nazywać się mogły.

Oddzielona balustradą przestrzeń, dla pospolitych gości i spektatorów przeznaczona, którzy dworowi nawzajem za widowisko służyli — ciągnęła się w głąb, daleko. Ztąd mogli się ci, co do dworu zbliżać się nie mieli prawa, przypatrywać Olympowi i podnieść oczy na Jowisza.

Przez pootwierane drzwi widać było dalej jeszcze pokoje do gry przeznaczone i salę audyencyonalną przytykającą, która czasu reduty zmieniała się na jadalną. Tu, przy osiemnastu stołach, zastawionych z monarchiczną wspaniałością, król przyjmował swoich i obcych, Saksów, Polaków i mnogich ciekawych wędrowców,

k którzy ściągali na dwór jego, dla oglądania przepychu, jakiemu równy w Paryżu tylko widzieć było można. Wielu też z nich cisnęło się z nadzieją, że August, posługujący się chętnie obcymi, zaliczy ich do dworu swojego. Sale, pokoje, estrada, galerye, wszystko to teraz stało milczące, ciche, puste, a chociaż na wielkim kominie, spodziewając się króla, ogień rozpalono — chłód zimowy murów starych dawał się czuć w rozległej i wysokiej sali. U drzwi jej jednych kręciło się kilku sług dworskich, jak gdyby oczekując rozkazów; hrabia Watzdorf roztargniony przechadzał się po tej części sali, która balustradą dla dworu była oddzieloną.

Słudzy, zdala mu się odedrzwi przypatrujący, ukradkiem sobie pokazywali palcami ze śmieszkami tego, którego nie przestano przezywać bufonem i mansfeldzkim chłopem, chociaż został hrabią.

Watzdorf niewiele się odmienił przez te lata. Powierzchnowość zawsze była dosyć odstręczająca, prawie śmieszna, ale jej nieco pewności i poczucia siły przybyło. Grubiaństwo dawne przybrało w nim ton rozkazujący i lekceważeniem trąciło. Ubogi człeczyna, zapomniał znac o pierwotnym swym stanie, dobiwszy się tak wysoko; mógł nawet sądzić iż wywyższenie winien był przymiotom których nie miał wcale. Zapomniał co kosztował Fleminga i choć mu się klaniał jeszcze ze strachu, gotów się już był z nim mierzyć i walczyć. Użyty za narzędzie, nie widział iż był niém w nowych tylko rękach.

Postać niezgrabna Watzdorfa nie wyszlachećniała wcale, została mu tak sama głowa grubo wyciosana, rysy pospolite, niekształtne, figura przysadzista, twarz czerwona, nabrzmiała, małe niespokojne oczy i wyraz napół rubaszny, pół-

gniewny i nadąsany. Ręce ogromne, ruchy ciężkie nie nabrały giętkości i wdzięku — pozostał, jak był wstrętliwym i śmiesznym. Popatrzawszy nań, domysłuć się było łatwo, dlaczego chłopem go przewano. Chłop, jak dawniej, z niższymi i słabszymi był gburem nieznosnym, z równymi szorstkim, ale zato z tymi, których się lękał, aż do obrzydliwości uniżonym, pokornym, płaskim.

W paradnym fraku, szytym złotem, wyglądał jeszcze, jak gdyby tylko co od wozu i wideł go wzięto. Ociężanie się o króla, o pełen subtelnej elegancji dwór jego, nie mogło z téj bryły twardej nic zrobić przyzwoitszego.

Dawne szyderstwa, które na widok Watzdorfa jak na dany znak ze wszystkich się ust wyrwały i króla śmieszyły, od roku już ustały zupełnie. Niektórzy przezorniejsi zaczęli mu nawet dworować i znajdowali, że pod tą szorstką powłoką mieściły się niepospolite przymioty.

Stało się z Watzdorfem, co się dzieje ze wszystkimi dziećmi szczęścia: rosną im czuby, gdy pierza przybywa.

W chwili téj przechadzający się po sali, w oczekiwaniu na króla, Watzdorf nie był w najlepszym humorze. Chodząc, potrącał coraz stojące krzesła, gniewnym jakimś wzrokiem rzucał na stropy i po ścianach, to ku służbie, której złośliwych szeptów domyslał się może. Roztargniony był i niespokojny. Król nie przychodził.

Upłynęło tak pół godziny, a od strony apartamentów króla nie się jeszcze słyszeć nie dawało. Cisza ranna panowała na zamku całym; w podwórcach tylko, na kamiennéj posadzce, słychać było niekiedy wtaczające się powozy, lub wojskowy chód gwardyi królewskiej, której strażę zmieniano.

Watzdorf, przykuty rozkazem pańskim, ruszyć się nie mógł; wyglądał oknami, ogrzewał się przy kominie, ręce to zacięrał, to je chował pod połę fraka, siadał i wstawał, aż nareszcie, o długiém oczekiwaniu, szelest zwrócił jego uwagę.

W sali audyencyonalnej zdala ukazał się król, idący z dwoma szambelanami. Paziowie go poprzedzali.

Wszystko to na dany znak pozostało w progu, a August sam, krokiem majestatycznym, z podniesioną głową, wkroczył, rozglądając się po sali. Watzdorf, spostrzegłszy go, przybrał postawę unizoną, pokorną, zgiał się wpół, uśmiechnął nawet jak umiał, a raczej skrzywił usta do uśmiechu.

Majestat króla, przed którym robił się małym Watzdorf, wistocie był majestatyczny. August, choć już otyły i ciężki, miał postawę prawdziwie królewską, szedł z nawyknięcia z pompą i z ruchem poważnym, jakby nań tysiące ludzi patrzyło. W rękę trzymał laskę z galką złożoną, na której potrzebował się już opierać, bo mu ów palec, stłuczony w czasie karuzelu dla księżny cieszyńskiej, coraz dolegał mocniej. Często też obie nogi brzękły. W chodzie też, luho jeszcze dosyć swobodnym, czuć już było pewną ociężałość i jakby wysilenie.

Twarz piękna, zawsze jasna, bo jój nieszczęścia i namiętności nigdy nadługo zachmurzyć nie zdołały, nosiła na sobie znamiona znużenia, mnogie pręgi i fałdy, śmiechem i troskami wyrte. Nad oczyma wisiały powieki nabrzmiałe, a pod niemi jakby napuchłe wydymały się policzki. Czoło tylko, niezorane myślami zbyt niemi, łudziło jasnością i spokojem.

Wchodząc, król najprzód się po sali obejrzał,

potém dopiero na schylonego Watzdorfa rzucił okiem obojętném i przygasłém.

Czuć było jeszcze w tém wejrzeniu wstręt pewien do istoty, do której król zbliżać się był zmuszony, wstręt przewyciężony, ale wracający instynktowo. Watzdorf teraz dostarczał nie tylko pieniędzy, lecz znosił pokątne gwary i poszlaki, które chwycił sam, lub mu je podszeptowano; wiedział wszystko, a nie szczędził nikogo. Czuł to i król zapewne, że niskie owo czoło Watzdorfa nie mieściło w sobie wielkiego zasobu myśli, że pojęcie miał tępe, że tego co mówił w słowa zręczne ubrać nie umiał, lecz brak przebiegłości był w nim poczęści przymiotem. To, co przynosił w formie nieokrzesanej i prostej, zdawało się tém cenniejsze, tem prawdziwsze.

Nawet nikczemne zdradzanie dobroczyńcy Fleminga wydawało się królowi dowodem nieograniczonego poświęcenia dla jego osoby. Słowem Watzdorf, wstrętliwy dawniej, dziś coraz bardziej był koniecznym i potrzebnym cochwila.

Pierwszém słowem, które król wyrzekł, spoglądając na hrabiego-chłopa, była zwrotka stariej piosenki.

— Watzdorf, zlituj się, pieniędzy! Dokuczają mi zewsząd; potrzebuję ich dużo, dużo!

Hrabia ruszył zlekka ramionami, jakby coś innego chciał odpowiedzieć, lecz odparł głosem grubym i dzwięczącym przykro:

— Dziś jeszcze będą, najjaśniejszy panie.

— Potrzeba aby były jaknajprędzej—ciągnął król dalej, coraz się ożywiając.—Proszę o tém pamiętać. Znaczne budowy porozpoczynane, wiele rzeczy niezbędnych. W Polsce też sprawy, których końca nie widać, potrzeba popierać złotem. Gęby zatykać muszę, aby nie krzyczano.

— Na to z Warszawy téż powinni dostarczyć pieniądze—zamruczał Watzdorf.

— Tam się wszystko czyni dla przyszłości—odpowiedział król, wzdychając.—Muszę folgować, dopóki się raz z tymi republikanami i oplakaną ich republiką nie skończy.

— A jużby téż czas było—odezwał się Watzdorf.—Wasza królewska mość wie, iż jestem ciałem i duszą oddany mojemu dobioczyńcy feldmarszałkowi, któremu winienem zbliżenie się do majestatu, ale w sprawach polskich trudno mi go bronić. Podjął się prowadzić interes polski, a już się on lat tyle ciągnie, i do téj pory niema z niego nic, oprócz kłopotów i wydatków. Szlachta wykrzykuje po swojemu, panowie rezonują, a nie chcą być posłuszni, wojsko stoi, nic nie robi, patrzy i słucha.

Król, który dosyć już dobrze znał zdolności Watzdorfa, zapatrzył się trochę zdumiony na niego, bo chłop mansfeldzki do takiego rozprawiania o sprawach polskich wcale nie był zdolny. Były to rzeczy, które mu podyktowano; nauczył się ich i powtarzał paciérz za panią matką Vitzthumową. Tego się jednak nie domyślając, król wolał sądzić iż Watzdorf się pod jego kierunkiem wyrabia na poważnego męża stanu i po chwili odpowiedział:

— Gorzej jest niż mówisz, bo wyginęło mi tam dosyć najlepszych ludzi. Nalegałem stokroć na Fleminga, aby wystąpił; mieliśmy cara za sobą. Brandeburczyk-by się téż nie śmiał przeciwzić. Ale staliśmy z rękami założonemi, zawsze jakiśs pory czekając, a nigdy nie mogąc jój doczekać. Tylkośmy się tarnogrodzkiego buntu doczekali.

— Niéma wątpliwości że, przy najlepszych

chęciach, feldmarszałek winien wszystkiemu — odezwał się Watzdorf. — Zbyt wiele na powolności dla panów senatorów, a nadto zaufania w sobie. Niestety, feldmarszałek starzeje! — dodał, wzdychając.

Król ciągle pilnie się w niego wpatrywał i słuchał z ukontentowaniem widoczném.

— Ani sobie, ani mnie przyjaciół przez tę powolność nie pozyskał — odezwał się. — Zewsząd mnie dochodzą wieści, że go nienawidzą.

— Gdyby był, wedle woli i rozkazu waszjej królewskiej mości, wystąpił żwawiej, uprzedzając ten spisek haniebny — rzekł rezolutnie Watzdorf — wszystkoby dziś już stało inaczej.

Nastąpiło krótkie milczenie. Król, napatrzwszy się Watzdorfowi, którego mina śmieszna z dosyć roztropną mową się nie zgadzała — rzucił okiem po sali. Potém, szepnąwszy coś do ucha hrabiemu, powiódł go ze sobą ku rogowi i tu zatrzymał się z nim, cicho coś pomrukując, więcej słuchając i badając, niż mówiąc sam. Watzdorf stłumionym głosem opowiadał żywo, ruchami rąk niezgrabnemi pomagając balamutnej wymowie. Czoło króla obléwało się chmurami. Na ostatnią opowieść hrabiego nie odpowiadawszy nic, zerwał rozmowę i dodał nagle:

— Proszę cię, Watzdorf, myśl mi śpiesznie o pieniądzach. W tej chwili to rzecz główna. Wiész, ofiarują mi za bezcen rubin, jakiego drugiego żadna korona nie posiada, żaden skarbiec, ani paryzki, ani wiedeński. Mieć go muszę. Jutro mi go może kto pochwycić. Dobrzeby było nawet kupca, który z nim przyjechał do Lipska, zatrzymać pod jakim pozorem, albo go mieć na oku, by się nie wyrwał. W Berlinie go nie ku-

pili, ale mnie kto inny pozbawić może tego klejnotu.

Król mówił o rubinie z nadzwyczajném przejęciem się, prawie gorączkowo; potém niby przypomniawszy sobie salę, wskazał miejsca gdzieby dwa jeszcze świeczniki nie zawadzały. Był jakby roztargniony, a Watzdorf, wypowiedziawszy co mu powiedzieć kazano, stał ze spuszczoną głową, milczący.

— Denhoffowa potrzebuje wyprawy—rzekł wkońcu.—Lubomirski, który ją bierze, będzie miał niepospolity ciężar do dzwigania. Biedna kobiéta jest rozrzutną. Za księżną cieszyńską, którą Lubomirskim wziąłem, wypłacam się, dając im Denhoffową. *Nous sommes quittes.*

Ostatnie słowa rzekł cicho i ruszył potężnemi ramionami. Kilka kroków postąpił, znowu się rozpatrując po sali. Watzdorf, w przyzwóitém oddaleniu, z wolna kroczył za nim.

August raz jeszcze schylił się ku niemu, pocichu, szybko zdawał się dawać jakieś rozkazy, które on, głową potakując, przyjmował posłuszny.

Wśród nich musiały być i pytania, bo Watzdorf szybko coś na nie odpowiadał, a król głową potrząsał, nie kryjąc oburzenia. Imiona Fleminga i podskarbiny Przebendowskiej kilka razy się przemknęły.

Stali jeszcze u komina z królem, gdy od sali audyencyjonalnej szmer zwiastował kogoś nadchodzącego; król groźnie się odwrócił i zobaczył stojącego w progu feldmarszałka Fleminga, który nie zbliżał się, czekając ukończenia z Watzdorfem rozmowy.

Nowo kreowany hrabia zarumienił się zrazu, widząc nadchodzącego, zmieszał i musiał nagle

zmienić przedmiot rozmowy, gdyż król się śmiać zaczął i z szyderskim wyrazem głowę odwrócił.

Fleming swobodnie z resztą dworu, u progu pozostałą, rozmawiał.

Na feldmarszałku lat tych parę nie zostawiły téż śladów zbyt widocznych; bystrzejsze tylko oko możeby dopatrzyło pewnego znużenia i zobojętnienia, ukrywanego smutku, który Fleming dumą i postawą energiczną przytłumiał. Feldmarszałek był jeszcze jeżeli nie pięknym, to przynajmniej przystojnym mężczyzną, na którym arystokratyczne pochodzenie było widoczne. Twarz rysów dosyć delikatnych, oczy nadzwyczaj bystro patrzące, czoło wyniosłe, usta do rozkazywania nawykłe, zaciśnięte nieco i surowego wyrazu, nadawały mu fizyognomią znaczącą. Cóż żołnierskiego miał w ruchach, a przy Watzdorfie wydawał się, jakby z inną ulepioną gliny.

Watzdorf téż na widok Fleminga stracił swą śmiałość, stał się mniej jeszcze obrotnym i, jak to mówią — okradzionym. Z oczyma, rękami nie wiedział co robić; kręcił się, jakby przygnieciony do ziemi.

Król także chwilowo zasępił się, nierad że go na jakichś szeptach tajemniczych z Watzdorfem pochwycił Fleming; ale zawsze przytomny, wesoło spojrzał na dawnego ulubieńca i poufale mu skinął głową.

Obejście się feldmarszałka z panem było zupełnie odmienne od płaskiej uniżoności mansfeldzkiego chłopca. Szedł śmiało, pewien siebie, z rodzajem poufałości pełnej uszanowania, ale nie mała wyższość umysłową znamionującą. Na Watzdorfa ledwie spojrzał, jak na istotę którą się niewiele waży i o nią nie troszczy wcale.

— Widzisz, Fleming—odezwał się monarcha,

ręką wskazując ściany—jest to dosyć ładne, dosyć bogate, a jednak wielebym dodał jeszcze! Ale od Watzdorfa niepodobna dobyć pieniędzy.

Fleming uśmiechnął się.

— Chociaż Watzdorf dotąd był dosyć zręcznym w zbieraniu grosza, jak tylko ten talent straci, musimy innego poszukać na jego miejsce.

Watzdorf, usłyszawszy to, choć niby się rozsmiał, ale zbladł jak ściana i okiem miłosierdzia blagajacém rzucił na króla. August się uśmiechał, popatrzył na Watzdorfa z rodzajem ironii dwuznacznej i skinął na feldmarszałka, aby szedł za nim.

Nie odrzekłszy słowa, Watzdorf pozostał, zawrócił się i z miną nadąsaną odszedł, a raczej potoczył się w drugą stronę.

Tymczasem król, przeszedłszy powoli cały szereg pokojów, minawszy, nie patrząc, mnogie szeregi poustawianych różnych stopni i powołania dworaków, razem z Flemingiem, który nie za nim szedł, ale obok niego—powrócił do gabinetu swojego.

Tu August rzucił się na krzesło, rozparł w niem, głowę położył na poręczy i na stojącego przed sobą Fleminga popatrzywszy z uwagą, zawołał z pewnym odcieniem szyderstwa:

— Wiész, Fleming, ty się lepić znasz na ludziach odemnie. Ten twój chłop, to nieoszacowany człowiek. Prawda że powierzchowność ma odstręczającą, że przyjmując cudzoziemców, trudno go wpuścić na pokoje, aby się nie zlekli ghura, tak niedźwiedziowato wygląda—ale cóż chcesz? płaci zato brzęczącą monetą!

Feldmarszałek z uwagą słuchał, nieco się skrzywiwszy.

— Wiele jednak potrzeba było czasu, nim wa-

sza królewska mość oswoiłeś się z nim i zezwoliłeś na to, aby mu składał raporta.

Na to przypomnienie przeszłości król nic nie odpowiedział.

— Masz tam dziś co nowego z Warszawy?— spytał.

— Są dwaj nasi, którzy się dawniej obiecywali—rzekł Fleming.—Powrócił ks. biskup kujawski, przybył wojewoda inowrocławski. Nowego jednak nie przywieźli nic.

— Nic?—zapytał król—zawsze nic! Fleming, nudzi mnie to wieczne oczekiwanie. Jeśli ty i oni nic dotąd nie mogliście—ha!

Ręką rzucił ze wzgardą.

Feldmarszałek stał zadumany, o stół się oparłszy.

— Wszyscy oni, nieprzyjaciele i przyjaciele, ze swą obrzydłą republiką i swobodami niedorzeczni—rzekł król—już mi kością w gardle siedzą. Kiedyż temu koniec będzie?

Fleming, który peruki nie nosił, ale naturalne długie włosy, a w nie parę loków wplecionych—jeden z nich wziął w rękę i jakby od niechcenia się z nim zabawiał.

— Warto—odezwał się, dawszy królowi nieco czekać na odpowiedź—warto dla spełnienia wielkiej idei trochę pocierpieć i poczekać. Ujarzmić kilkuset latami rozpasania wybujałą republikę nie jest łatwą rzeczą.

Uśmiechnął się tajemniczo.

— Ale my przecie chodzimy około tego od początku mojego panowania—przerwał król niecierpliwie.—Mielśmy raz sposobność wczynie zatargu Ogińskich z Siwiechami; potem nie wiem ile razy. Tymczasem zawsze czekamy i стоимy na tém samém miejscu, jak w tarnowskich

górach. Przypomnij sobie, Fleming, coś mi przyrzekał przed wielą laty. Zrobiliżeśmy choć krok naprzód?

— Jesteśmy tak blisko celu—odezwał się Fleming—że nam kroku tylko do niego braknie. To rzecz jawna. Nigdyśmy silniejsi nie byli, jak teraz, po ugodzie z konfederatami tarnogrodzkimi. Rzeczpospolitą mamy w rękę, na łasce naszej. Hetmańska władza osłabła; ja dziś jestem rzeczywistym wodzem wojsk rzeczypospolitej jedynych. To, co hetmanom pozostało, w lik nawet nie idzie.

-- A więc—przerwał król—na co czekamy?

Z półuśmiechem Fleming przeszedł się parę kroków po pokoju i powrócił na miejsce, poczynając z rodzajem pobłażliwości dla króla, w której się jakby sarkazm przebijają:

— Najjaśniejszy panie, gdy się ma do czynienia ze srogą bestyą, a jedna strzelba i ostatni nabój w zapasie, trzeba ją dobrze przypuścić, aby strzał był pewny. Idzie tu nie tylko o koronę waszą, miłościwy królu, ale o przyszłość dynastyi i dwóch krajów, które, złane ze sobą złożą państwo potężne, postawią saskie plemię Wettinów obok najpiérwszych potentatów Europy. Tu kroku fałszywego postawić się nie godzi. Chwila w której się kość rzuci, musi być tak wybraną oględnie, aby warchoły, co się zerwą w obronie swobód pogwałconych, nie miały się na kim opierać. Musiemy być pewni Wiednia, co i dziś wątpliwości nie ulega, zapewnieni że car nam nie weźmie Kurlandyi, lub prowincyj na kresach które dlań są pożyteczne, że w ostatku Brandeburczyk, pożądamy Gdańska i Elbląga, nie sięgnie po nie.

— Zawsze byłem zdania, że my w takim razie

sąsiadom się okupić musimy—zawołał król.—
Ziemi mamy aż nadto, podzielić się możemy.

— Tak, ale nie wyrzec się portów i najpotrzebniejszych nam morskich brzegów, bo byśmy ściśnięci technąć nie mogli—odparł Fleming.—
Gdańska i Elbląga za nic w świecie.

Król ramionami rzucił, jakby go już ta rozmowa nudziła, i zawołał o fajkę.

— Ty z twojemi przemądrzonymi rachubami wielkiego statysty—rzekł kwaśno—z twojém kunktorstwem, nie dasz mi dożyć upragnionej godziny.

— Królu—rzekł Fleming—lepiej w najgorszym razie godzinę tę synowi zostawić w spuściznie, niż popełnić błąd nie do poprawienia i pozabawić go tronu.

— Więc wiekuiste oczekiwanie!—odparł August.—Nie mówmy o tém.

Fleming usta zaciął; odpowiedź zdawała się już z nich wychodzić, ale ją powstrzymał.

— Wasza królewska mość—odezwał się w końcu spokojniej—wiész lepiej odemnie, ilu nam jeszcze senatorów zyskać potrzeba, aby nie wywołać konfliktu nowych Wiśniowieckich i Ledóchowskich. Samych nawet hetmanów, których zdawaliśmy się mieć w ręku, szlachta od nas odbiła.

Król, ziewając jakby umyślnie, wstał z krzesła. Niby już zapomniał o czém mówili.

— Wiész — rzekł — że karnawał tegoroczny obiecuje się być jednym z najświetniejszych. Józefina się przekona, że nic podobnego niema w Wiedniu.

Fleming wesoło podniósł oczy.

— Gdybyż na tych świetnych wieczorach zaświeciła nam jaka gwiazda nowa!

— O! to trudno—rzekł król.—Nie wiem co się stało, ale kobiety wogóle zbrzydły. Dieskau była wcale nieszpeta, ale chłód wiał od tego posągu; Henryety Osterhausen załuję, alem ją musiał dla synowej poświęcić. Koniec końców...

— W Polsce—przerwał Fleming—nowy jaki kwiatek może uszczkniemy.

— O! nie mów mi ani o niój, ani o jój kwiatkach—przerwał król.—Dosyć!

I grzecznie zapytał.

— Jak się ma podskarbina?

Nim feldmarszałek miał czas odpowiedzieć na to, król, nie czekając, zagadnął:

— Ostatni karuzel był nędzny! Teatr lichy, z wyjątkiem Faustyny; polowanie nie idzie, jak dawniej. Starzejemy i my, i to, co nas otacza.

— Ja tego nie czuję jeszcze—odezwał się Fleming—a zdaje mi się że i wasza królewska mość niezawsze widzisz tak czarno.

— Z pewnością rozjaśniłbyś mi w oczach, gdybyś raz skończył z tą swoją republiką—dodał król, spojrzawszy na swego powiernika, który zlekka ramionami poruszył.

— Odważ się—ciągnął dalej—powiadasz że jesteś silny.

— Na wojsko rzeczypospolitej mam aż nadto, ale nie na szlachtę. Tój przewodzców ująć potrzeba, a w tém mi niewidzialne ręce i niepochwyceni robotnicy, nieprzyjaciele waszjej królewskiej mości i moi, szyki nieustannie mieszają.

— Któż? gdzie?—pytał August.

Fleming milczał.

Król przeszedł się z fajką po gabinecie i sam do siebie śmiać się zaczął.

— Babom się w głowie poprzewracało—rzekł.
— Co sobie myśli ta waryatka Pociejowa? Czego

chce ta przemądrzała Sieniawska? Przyszliśmy do tego, że kądzielami nam grożą! Osobliwa rzecz!

— Pociějowa mści się może za to, że ją Friesen tak prędko porzucił— śmiał się Fleming— a miłościwy pan ledwie raz, jak na żart, chustkę jej rzucić raczył. Co do hetmanowój koronnój, ta staje za mężem i zasłania go. W Polsce, więcćj niż gdzieindziej, z niewiastami rachować się potrzeba. Często ich ani widać, ani słyszać, a przecie, jak matka Denhoffowój, jak wiele innych, one rządzą, dyrygują, rozkazują. Mało gdzie ich niéma, nawet za biskupami!

— Nawet w konfederacyach! — rozśmiał się król.

— W senatus consultum i na sejmach— dodał Fleming.

— Dobraby to rzecz była—wtrącił August— gdyby we wszystkich kochać się można i wszystkie sobie zjednać; ale większa część—koczkodany, a dużo takich, do których i z koroną na głowie dostąpić niepodobna.

Gdy mówił o kobietach, królowi się twarz wypogodziła.

— Aa!—ciągnął, pykając—ta twoja republika kochana, i te twoje republikanki—co one mi krwi napsuły. To tylko dobre, że z niemi koniec nie bywa tak tragiczny, jak z tą nieszczęśliwą Cosel. Lubomirska jest mi dobrą przyjaciółką, a Denhoffowa zupełnie rada, że ją bierze Lubomirski.

— Pociějową powinienś był wasza królewska mosć przez politykę trochę dłużej zatrzymać i więcćj do siebie przywiązać. Baba utrapiona! Małe to, drobne, słabe napozór, a energią ma szaloną. Tak samo, jak niegdyś z Fricsenem pędziła do

Gdańska pocztylionem, gotowa oklep przelecić do Drezna, gdy się jej w głowie zakręci.

— A, jużbym ją tu wołał mieć—rozśmiał się król—niżeli w Wilnie lub Warszawie, gdzie mi buntuje ludzi i z Sieniawską razem hetmanów na sznurku trzyma. Pensyą jej odebrać potrzeba.

— Jestem i ja za tém—rzekł Fleming—niech uczuje, że wasza królewska mość wieś o jej intrygach i pobłażającym nie będziesz dla niej.

— Ale cóż przecie przywiózł Szaniawski?—obracając się, począł król.

— Nic nowego, długą listę tych, których jeszcze ujmować i około których zabiegać potrzeba, aby kupić ich milczenie.

August silną rękę podniósł, z pięścią zaciśniętą, i ruchem okazał, czémby usta chciał zamykać.

— Na to jeszcze czas nie przyszedł—odpowiedział, głową potrząsając, Fleming.—Nateraz Watzdorf i dochody ze starostw będą skuteczniejsze.

— Ze starostw—rozśmiał się król—któreście już wszystkie rozdali.

— Odbierzemy je i wykupim—szybko rzekł Fleming—jak skoro z rzeczpospolitą się ułatwimy.

Król ciągle się śmiał niedowierzająco.

— Kiedy? i jak?.. to prawdziwie dla mnie zagadką, a lękam się żeby i dla ciebie nią nie było.

— Przeciągnęła wojna robotę—rzekł Fleming spokojnie—to waszej królewskiej mości wiadomo. Musieliśmy się pozbywać Szwedów. Potém potrzeba było pracować nad pochwyceniem dowództwa cudzoziemskiego autoramentu, teraz z hetmanami sprawa, którą zagodzimy. Na ostatek *coup d'état* nie może się obyć bez porozumienia

z sąsiadami, dla których rzeczpospolita nie była groźną, a stanie się nią monarchia dziedziczna.

Król ruszył ramionami, nudił się i niecierpliwił.

— Jużem to słyszał—rzekł—powtarzasz się, mój kochany Fleming. Ja to umiem na pamięć. Każesz mi czekać aż coś, gdzieś Brandeburczyka sparaliżuje, aby nam nie przeszkadzał, aż Wiedeń da przyzwolenie i car zgodzi się na to. Wszystko wiem.

Fleming zamilkł, był widocznie dotknięty. August przeszedł się po pokoju i zapytał:

— Widziałeś nową mundurę gwardyi? Prawda, będą piękne i wspaniałe.

Pytanie to, wrzucone umyślnie, aby odwrócić rozmowę, nie podobało się feldmarszałkowi, ale na nie głową tylko dał znak potakujący. Król dalej ciągnął wpół żartobliwie, jakby go chciał znecierpliwić:

— Przyszły karuzel potrzeba czémś ożywić i odświeżyć. Jak ci się zdaje? Stroje perskie, czy japońskie dać jeźdźcom?

— Byłoby rzeczą zupełnie nową, gdyby zamiast Persów, wystąpili husarze polscy—rzekł Fleming z przekąsem.

— Myśl nie jest zła, zapewne—odparł król seryo—ale to żołnierz ciężki, prawie śmieszny dziś, niéma wdzięku. Cóż w tém jest barbarzyńskiego.

— A w Persach?—wtrącił feldmarszałek.

— Persów jużemy nieco ze rdzy otarli na teatrze—rzekł August—wyglądają przyzwoicie.

Zerwała się rozmowa.

Na stoliku leżało pismo hetmana litewskiego Pocięja; król je wziął, uśmiechając się, popatrzył na nie i rzucił.

— Ten twój Pociąg, gdy tu był ostatnią razą—
rzekł—nie dotrzymał nam placu. Pod ręce go
do domu odprowadzono, tak się spił brzydko.
Źle pije i dlatego żona go za nos prowadzi, do-
kład chce. Słaba głowa!

Feldmarszałek słuchał, nie wiedząc już co mó-
wić, gdy król, w okno popatrzywszy, dodał:

— Myśliwski dwór trzeba nanowo przystroić.
Montre-sora do polskiego myśliwstwa przesadzić,
tam będzie pożyteczniejszy.

I nie czekając odpowiedzi, król przysunął się
do feldmarszałka, patrząc mu w oczy.

— Gdybym miał tyle pieniędzy, co ty, Fleming,
natychmiastbym kupił ten rubin. Spać mi to
nie daje. Śnię o nim. Muszę go mieć! Może być
tak akomodowany, aby służył do berła, do szpa-
dy w potrzebie i za spinkę. Ogromny! widzia-
łeś go? Watzdorf mi na niego obiecał pieniędzy.

— Zapewne ich dostanie—rzekł wkońcu feld-
marszałek—i wola królewska się spełni; ale rubin,
jak rubin, jabym ich wolął użyć tam!

Wskazał ku północy.

Król trząsał głową.

— Daj mi pokój! To beczka Danaid! Niéma
nic ważniejszego nad to, aby wasz król wspania-
łością się nie dał ubiedz żadnemu z panujących.
Nie dozwolę, aby mi z rąk ten rubin wydarto,
chodzi o honor mój!

Z królem już o niczem poważniejszem mówić
nie było podobna. Feldmarszałek nie próbował
nawet tego. August zwierzył mu się na ucho
z jakimś skandalem dworskim, w którym grał
rolę jeden z oficerów otaczających Fleminga;
potem, niespokojny o przyszłą maskaradę, kazał
przywołać znowu Watzdorfa i wydał mu jakieś
rozkazy, które natychmiast spełnione być miały.

Zaledwie się to skończyło, przybył koniuszy z oznajmieniem, iż andaluzyjskie konie podprowadzono, które król widzieć pragnął. Ponieważ dzień był chłodny, podano futro, które zarzucono na ramiona królowi. Otuliwszy się niém, wybiegł na ganek, u którego masztalerze stali, trzymając przywiedzione żrebce.

Dokoła gromadziło się mnóstwo ciekawych; odkryto głowy. Król na nikogo nie spojrzał nawet, całą uwagę zwracając na przepyszne konie.

Jednego z nich, który mu się szczególniej podobał, kazał dosiąść i przejechać. Dawniej samby się pewnie porwał próbować, czując w sobie siłę; teraz wołał to zlecić komu innemu.

Wśród wrzawy i tłoku, który panował w dziedzińcu, Fleming potrafił się niespostrzeżony wysunąć i odszedłszy nieco nabok, gdzie nań powóz jego i konie oczekiwały, rzuciwszy zdala okiem na otaczających króla, kazał się wieść do swojego pałacu przy Nowym rynku.

Zaledwie się feldmarszałek wsunął, gdy Watzdorf i cała klika niechętnych staremu ulubieńcowi pańskiemu, między nimi Vitzthum na pierwszym iniejscu, zjawiała się, ściągając do króla.

August, jak się to teraz dosyć często trafiało, był w drażliwém usposobieniu. Nic mu nie smakowało, burczał i szydził, wołał i odpędzał ludzi; potrzebował niecierpliwie tych, których nie było, a pozbywał się tych, co byli pod ręką. Pamiętny tylko rad Fleminga, czy z własnego instynktu, dwóch z głowami wygolonemi, zdala stojących republikanów, grzecznie ręką pozdrowił, co zdawało się ich uszczęśliwiać, bo się rękami i głowy aż ku ziemi majestatowi pańskiemu pokłonili. Król wskazał ich nieznacznie Vitzthumowi i szepnął mu:

— Patrz, Fritz, jak się zdają pokorni, gotowi do nóg upaść, a na swoich śmieciach tak to krzyczy i zżyma się, że im rady dać nie można. Zły przykład dla naszych Sasów, którzy już także rezonować zaczynają!

Pałace feldmarszałka Fleminga tak liczne były, jak jego posiadłości w Saksonii, na Szlązku i w Polsce; lubił dobrami handlować i budować się wspaniale. Watzdorf też już go w tém naśladował i frymarczył na mniejszą skalę. Król, który wspomniał feldmarszałkowi o jego bogactwie, właśnie był od niego kupił za beczkę złota przepyszny pałac japoński, naówczas zwany holenderskim, w którym później bibliotekę umieszczono.

Oprócz niego, miał Fleming na Starém mieście gmach wspaniały, kupiony niedawno od wdowy po zmarłym Pflugu, i ten właśnie zajmował; miał drugi przy Moritzstrasse i Nowym rynku, nie licząc przepysznej letniej rezydencji, wzniesionej w Uebigau, z pięknymi, rozległymi ogrodami, nad Elbą położonemi. I tę później król odkupił od niego.

Dwór feldmarszałka, jakśmy mówili, książęco wyglądał. Sto koni było na stajni, liberye i powozy królewskim nie ustępowały. Szczęśliwy w spekulacyach i chętnie spekulujący, Fleming uchodził nie bez przyczyny za jednego z najmąglejszych w kraju, a choć go i chciwym i skąpym zwano, występował, gdy było potrzeba, ze wspaniałością położeniu jego odpowiadającą.

Pflugowski pałac zajmował teraz z żoną i sio-

strą swą Przebendowską, wydaną za kasztelana elbląskiego, jeszcze przed elekcyą Sasa. Później dano mu województwo malborskie i podskarbstwo koronne.

Domowe pożycie feldmarszałka—nie było to dla nikogo tajemnicą—powolném mogło się nazywać męczeństwem, które on znosił z rezygnacyą przykładną. Małżonkowie nieczęsto się nawet spotykali ze sobą. Przywołany mąż stawiał się, słuchał wyrzutów, ruszał ramionami i odchodził. Dla nieznośnej żony jednak okazywał publicznie szacunek i należne względy, nie skarżąc się na jarzmo, które nosił. Było w tém trochę dobrze zrozumianej dumy, bo na cóż się zda skarżać próżna, gdy złemu zaradzić nie można?

W téj niedoli swój Fleming jedyną miał pociechę w siostrze, która od niejakiego czasu osiadła była przy nim w Dreźnie, posiłkując go czynnie we wszystkich jego sprawach i interesach. Jak brat stryjeczny, tak pani podskarbina niepospolitą była postacią na dworze króla, wyższą umysłem i sercem od tłumu, który mścił się za to na niej nienawiścią. Niezbyt piękna, dziś już niemłoda, podskarbina była typem niewiasty niemieckiej krwi: świeża, białej jak mleko céry, oczu niebieskich, smutno zamyślonego wejrzenia, łagodnego i w sobie zamkniętego charakteru, powagi wielkiej. Była ona dla wielu podziwem i zagadką, bo do kobiet, jakimi je wiek, dwór i galanterya Augustowska stworzyły, wcale nie miała podobieństwa. Słusznego wzrostu, piękno postawy, ruchów zręcznych, obrachowanych i powolnych, ta napozór miła, dobra, łagodna, jasnowłosa pani, kryła w sobie niezmierną energią, siłę woli i rozum przenikliwy. Z temi przymiotami jednak, jak feldmarszałek ze swym rozu-

mem, nie wydawała się przed światem; jak on udawał wesołego koleżkę czasami, ona wołała się osłaniać szatą obojętności i apatyi.

Gdy inne panie lubiły mówić i krzotać się dużo, nieustannie poruszać i okazywać czynnemi, podskarbina, przeciwnie, wydawać się chciała beczynną i była wielce milczącą. Słuchała i badała więcej, niż mówiła sama. Po całych często dniach cierpiąc migreny, bóle głowy i nerwowe napady, przyjmowała albo leżąc w łóżku ubrana, lub w krześle nieruchomo siedząc. Zrana przybywały przyjaciółki i najpoufalsi znajomi. po obiedzie od piątą drzwi stały otworem dla wszystkich, aż do wieczery. Schodzili się tu codzień prawie ministrowie, dostojnicy dworu, wszystko co Drezno miało najznakomitszego, cudzoziemcy przybyli dla ciekawości, posłowie zagraniczni, a nadewszystko Polacy, goszczący w saskiej stolicy.

Okolo podskarbiny skupiało się przeważnie cale polskie życie Drezna. Tu się przygotowywały sprawy sejmowe i roboty różne, tu rozdawnictwo wakansów i starostw sposobiono. Przez podskarbinę miał Fleming stosunki z Polską, z jej pomocą jednał sobie ludzi i przysposabiał umysły. Łagodnie, zwolna, umiała przekonywać, rozbrajać i pociągać.

Do towarzystwa nieodłącznego pani Przebendowskiej należała też jedna z najmniej głośnych a najwdzięczniejszych ofiar Augusta Mocnego. matka hrabiego Rutowskiego i panny Katarzyny, później żony Bielińskiego, brata Denhoffowej — znana pod imieniem Fatymy, a następnie Maryi Aurory, pani von Spiegel. Fatyma pięcioletniem dziecięciem, obwinietem w kosztowne szaty ze złotogłowu, okrytém klejnotami, zdobytą była

przy wzięciu Budy i dostała się w podarku Koenigsmarkównie, która jej na chrzcie dała swoje imię Aurory. Wyrosła ona potem na cułownej piękności dziewczę, które król wydał pozornie za kamerdynera swojego Spiegła i dwojej jej dzieci wyposażył, uznając. Biedna owa Fatyma, wkrótce opuszczona, jak inne, długi czas przesiedziała w Warszawie, innym współzawodniczkom ustąpiwszy miejsca. Tu poznała się z podskarbiną, która ją pokochała i wzięła z sobą do Dreżna. Były to przyjaciółki serdeczne, nierozdzielne. Fatyma-Aurora, niemłoda już, okazywała jednak ślady owej wschodniej piękności, która jak wcześniej rozwijający się kwiat, trwała tylko chwilę w całym blasku.

Dziś ta ruina niewiescia była czémś podobnóm do wspaniałego posągu rzymskiej cesarzowej: wyniosłego wzrostu, dziwnie pięknej budowy i kształtów, z oczyma ciemno-szafirowemi, z profilem klasycznym, usta uśmiechniętymi smutno a wdzięcznie i kruczym włosem, okalającym czoło marmurowe. Obdarzona szczęśliwie od natury, życie od dzieciństwa pędząc wśród dworu, intryg jego, fałszów i blasku Spiegłowa знаła świat doskonale, sądziła o nim z surowością kobiety rozczarowanej i chłodem spokojnym istoty, co się przyszłości wyrzekła. Długo żyjąc w Polsce, a mając nadzwyczajną łatwość wyuczania się języków, których kilkanaście doskonale mówiła, umiała i po polsku, a znała kraj nasz równie dobrze, jak Saksonią. Dwa te charaktery, podskarbiny i Fatymy, godziły się ze sobą doskonale, obie miały jeden sąd i zdanie o ludziach, z tą może różnicą, iż Spiegłowa zręczniejszą w obcowaniu badac umiała ludzi i zmuszać ich do wydania się z tém, co w sercu mieli.

Nazywano ją zalotną, ale była to chęć podobania się naturalna w pięknej kobiecie, a nie pociągająca żadnej płochości za sobą. Postępowanie jej w położeniu dwuznaczném i przykrém było pełne godności i pewnego rodzaju dumy. Nie uniziała się nigdy i przed nikim, nie prosiła o nic, nie lubiła się mieszać w sprawy cudze, a nawet z królem, mimo należnego mu poszanowania, Spieglowa obchodziła się tak, że ją szanować był zmuszony. Cóż wyższego, tajemniczego, osłaniało tę kobietę niewiadomego rodu, okrytą klejnotami w zakrwawionej kolébce, rzuconą na łup losom, na pastwę nienasyconej namiętności i na długie lata cichiej tęsknoty za zmarnowaną młodością. Może los ten, który Spieglowa umiała znosić jak niezasłużone męczeństwo, z czołem pogodném a sercem wielkiem, uczynił ją dla podskarbiny tak drogą. Kochały się jak dwie siostry i godziły w życia sposobie.

Przebendowska, choć była zmuszoną szeroko otwierać światu drzwi domu, choć około niej mnóstwo się ludzi przewijało, usiłując względy jej pozyskać, nie dała się nigdy w nieczyste wiry i prądy pochwycić. Żyła więcćj sama z sobą, z mężem, dopóki chciał jej ulegać, z bratem, z przyjaciółką, niż z tłumami, które się przesuwaly przez jej salony.

Dom podskarbiny, pojąc łatwo, musiał chwilami stawać się teatrem intryg i plotek, któremi żył dwór i miasto; ale strumień ich przepływał wtedy, nie zostawiając mętów po sobie. Odwrócono od niego czasem jaką żyłą życiodajną, aby nią pola zeszkłe użyźnić.

Złośliwa zazdrość i nienawiść hrabiny Vitzthumowej i jej przyjaciółek, podglądywania i szpiegowania wszystkich pań stojących przy królu

i ministrach, mimo żywej chęci wynalezienia czegoś szkaradnego na te dwie przyjaciółki, coby je z innemi zeszkaradzonymi kobietami zrównało—nawet potwarzy na nie wymyślić nie umiała. Przebendowskię zarzucano intrygantwo, a Spicglowej dumę.

Dnia tego, gdy feldmarszałek, po urywanćj rozmowie. powrócił do domu, podskarbina, jak się to często trafiało, cierpiąca, nieubrana, siedziała w fotelu u komina, na którym płonął ogień żywy—Aurora Spiegel, która, jak powiadano, nieubrana wyglądała na bardzo pospolitą kobietę, miała już na sobie strój poranny. Dotrzymywała towarzystwa przyjaciółce, która głowę mając obwiązaną dużą chustką koronkami obszytą, sparta na ręku, z wyrazem cierpienia na twarzy, wpatrywała się w ogień na kominie płonący, zadumana, myślami gdzies błędząc daleko. Rozmawiały ze sobą potrosze, cicho. słowa urywanemi, jak dwie przyjaciółki, które z półwyrazu niedomówionego myśli swe odgadywać zwykły, bo je wszystkie sobie oddawna wypowiedziały. Przebendowska potrzebowała wypoczynku, aby się ból głowy inógł uśmierzyć, i drzwi tego dnia zrana zamknięte były dla wszystkich, przeciw zwyczajowi, gdyż zwykle choć się nazywało że nie przyjmowała nikogo, każdy nalegający, szczególnieć gdy z Polski przejeżdżał, bywał chętnie przypuszczany. Nazywano to w Dreźnie, jak twierdzą pamiętniki współczesne, polskim obyczajem.

Tym razem Aurora była na straży, aby przyjaciółki jej nie zamęczano. Wydawane rozkazy nie mogły się wszakże stosować do pana domu, który do siostry wchodził o każdej godzinie, gdy mu się podobało.

Wsunął się też teraz prawie niepostrzeżony,

choć mu Aurora zdala znaki dawała, i zbliżył się zwolna do cierpiącej, poglądając na nią z politowaniem. I on też sam niemal go był godzien, tak twarz miał jakąś osmutniałą, wyraz zniechęcenia i znużenia na niej widoczny. Podskarbinie, która go znała dobrze, dosyć było jednego rzutu oka, ażeby poznać iż przychodził z ciężarem jakichś myśli i troską.

Rzadko się zdarzało Flemingowi, i to chyba przed jedną siostrą, zdradzać podobne usposobienie. W najcięższych razach, nawet gdy ostrzyżony i ogolony, w habicie braciszka bernardyńskiego, uciekał od konfederatów, feldmarszałek fantazyi pańskiej, pewności i wiary w siebie nie tracił. Teraz zdawało się, że one go opuściły. Szedł, wlokąc się krokiem powolnym, stanął, popatrzył, głową skinął, i cicho siadł na stojącym naprzeciw fotelu.

Spiegłowa, wejrząwszy na niego, wstała, poszła dorzucić drewno na komin, zakręciła się po salonie i, jakby sobie coś przypomniała, wysunęła się bocznemi drzwiami nieznacznie. Musiało to być na rękę feldmarszałkowi, bo oczyma powiódł za nią i twarz mu się nieco rozpogodziła.

— Co ci jest?—zapytała słabym głosem podskarbina.

— Co mi jest?—odeczwał się, przemilczawszy długo, uśmiechając się z rodzajem politowania, głosem smutnym, różniącym się wielce od tego, którym przed chwilą mówił do króla.—Co mi jest? Jakże ci to mam wytłumaczyć? Zrozumiesz może, gdy ci powiem, że wprost od króla powracam.

Westchnąwszy, Fleming ciągnął dalej zwolna, znużony i zniechęcony:

— Kocham go, szanuję, a natury jego przero-

bić nie mogę! Ma wszystkie instynkta wielkości, oprócz tego, który do istotnej wielkości prowadzi. Nic z nim zrobić niepodobna, a nie, nie-stety, bez niego. Wszystko to, moja droga, coś my marzyli, rozbije się o płachotę człowieka, który zestarzeć się nie umie, nieszczęściami nie dał się niczego nauczyć i umrzeć, myśląc o teatrze, o mundurach gwardyi, o ładnym buziaku i klejnotach wielkiego mogła.

— Dziwnie-bo dziś jesteś zniechęcony ku niemu—odezwała się Przebendowska.

— Ani o włos więcej, niż byłem wczora, kochana sestro—odparł Fleming. — Dziś tylko niepotrzebnie się wypowiadałem przed tobą.

— Dlaczego niepotrzebnie?—przerwała Przebendowska, podnosząc głowę i odrzucając chustkę, która blada i zmęczoną twarz jej osłaniała. — Powinieneś mi się spowiadać ze wszystkiego, jeżeli ja ci się na co mam przydać, choćby na pocieszycielkę.

Feldmarszałek, wprost nie chcąc na to odpowiedzieć, począł po krótkim przestanku:

— Tak, dziś wszystko wistocie widzę w czarnych barwach. O trzy lata starszy jestem od króla, pracowałem długo z nim i przynim, ludzie mi zazdroszczą buławy, majątku, łaski pańskiej, więtości, wszystkiego, a ja wistocie jestem naj-nieszczęśliwszym z ludzi. Nigdy mi się nie nie powiodło.

— Co za egzageracya, jaka niewdzięczność!—odezwała się podskarbina.

— A tak jest, wierz mi—ciągnął dalej Fleming—powodzenie moje jest złudzeniem dla oczu ludzkich; dla mnie zostały same gorycze nieustannych zawodów. Między nami mówiąc, wcale nie byłem szczęśliwy na wojnie, niewiele mia-

łem powodzenia w dyplomacyi, a wiész najlepiej jakem się dwa razy ożenił, rozstawszy się z jedną nieznosną, aby zaślubić drugą, która jest karą Boską. Dotąd nie mam dzieci, a jedyna myśl moja i twoja, któraśmy wypiaastowali, wykarmili, wyhodowali wspólnie, myśl wielka, mogąca całe życie trudów zapłacić, rozbija się o drobnostki.

— Na Boga, dlaczegóż ją ten los ma spotkać? — zawołała rozbudzoną, przestraszona, podnosząc się z fotelu swojego, podskarbina. — Dlaczego, o co się ona ma rozbić?

— Dlatego, że jedni jęj zrozumieć nie chcą, drudzy nie mogą, inni przyjąć się wzdrażlią, a nikt mi nie pomaga do jęj wykonania — kończył, ożywiając się coraz, Fleming. — Twoja Rzeczpospolita wyżęj ceni imnicmanę swobody swoje, niż samo życie; woli ginąć, niż być silną i potęzną przez zaniechanie tego, co się w nięj wolnością nazywa, a co jest uprawnioném bezprawiem. Król, ach! królby pragnął być władzcą potężnym, bo się urodził do panowania i blasku. W Saksonii mu ciasno, ale król nie widzi dalej. Ludzi się i niecierpliwi; nagli o kroki stanowcze, gdy pole nieprzygotowane; dla pośpiechu gotówby sobie dać poły poucinać; naostatku nudzi się, a gdy się nudzi, na zabawkę woli kupić rubin do korony, niż koronę samę zdobywać, któraby jęgo dynastyą posadziła na tronie, mogącym na równi stać z Habsburgami.

Podskarbina z natężeniem słuchała tych uzażeń. Widać było że ta sprawa obchodziła ją żywo, że przypuścić nawet nie chciała, aby ona mogła spełznąć na niczém.

— A! przesada, przesada! — przerwała nagle. —

Zły humor, zła godzina jakaś mówią przez ciebie, Już jesteś zrażony! Ale to się nie godzi!

Podskarbina mówiła, zapominając o bólu głowy, poruszając się niemal gorączkowo.

— Nie mów-że tego, nie mów, ażebyś wkońcu sam nie uwierzył w to co mówisz i rąk nie opuścił. Do spełnienia twojej, gorąco i przezemnie poślubionej myśli, myśli istotnie wielkiej, ciebie godnej, wszystko jest przecie przygotowane, jak nigdy nie było.

— Ale ta szlachta!—zawołał Fleming.

— Cóż może ta szlachta bez senatorów i wodzów?—odparła podskarbina.—To tłum, to fala, którą wiatr podnosi, którą słowo burzy i słowo uspokaja, byle brzmiało głośno. Senat prawie cały mamy w ręku, pewniśmy hetmanów obu, choć może inaczej udają. Byliżby ci dali dowództwo cudzoziemskiego autoramentu?

— O które dziś sami wrzeszczą, aby mi je odebrać!—zawołał, gorzko się śmiejąc, Fleming.

— O! to są role przybrane, aby zamknąć usta krzykaczom. Tymczasem—mówiła Przebendowska—z tych krzyczących niema ani jednego, co by się nie dał tak ująć, jak Pociąg Szaniawskiemu, gdy w oczach jego zdarł owe sławne punkta, przez siebie i przez drugich podpisane.

Feldmarszałek słuchał, sparty na rękę, ale wiadać było że go to nie przekonywało. Patrzył roztargniony na ogień, puszczając mimo uszów argumenta, które już umiał na pamięć, bo mu je często powtarzano.

Gdy siostra przestała, znużona, ociągając czoło i ciskając skronie, w których ból się odzywał, Fleming począł:

— Wreszcie między nami, na domiar moich niepowodzeń, powiem ci, że ja, com pracował ca-

łe życie nad tém, aby pousuwać nieprzyjaciół, com się potrafił pozbyć tak niebezpiecznych współzawodników jak Schulenburg, com dla dopięcia wielkiego celu często na środki nie zważał, ja, co niby znam ludzi, zamiast narzędzi posłuszných, z wielkim trudem przysposobiłem sobie nieprzyjaciół. Watzdorf...

— O!—przerwała żywo podskarbina, z niechęcią i pogardą.—Przypomnij że sobie com ja, wiedziona moim głupim instynktem niewieścim, zawsze ci z niego prorokowała. Jakżeś się mógł spodziwać nawet narzędzie posłuszne, z tak nikczemnego materiału wyrobić? Z próchna robi się tylko śmiecie. Natura to istotnie chłopska, jak nadane mu nazwisko, pozbawiona wszelkiego szlachetniejszego uczucia, chciwa, zazdrosna, łakoma, podstępna, podła!

— Nie wierzyłbym, gdybym nie miał na to dowodów, że mnie zdradzał!—zawołał Fleming.

— A ja bez dowodów czułam, wiedziałam, że to nastąpić musi—mówiła podskarbina.—Mógł-że ten gbur postąpić sobie inaczej? Spragnionego postawiłeś nagle na straży skarbów, cóż dziwnego że mogąc bezkarnie, pragnie je pozyskać? Al to obrzydłe bydlę!—dokończyła poruszona Przebendowska z gniewem.—Bacz tylko—dodała, odetchnąwszy—by ten człowiek nie był narzędziem drugich, by za nim nie kryli się inni. Vitzthumowie mu już kadzą i żonę jego, wieśniaczkę bez wychowania, w czułą wzięli protekcyą.

— A, być może!—rzekł Fleming dość obojętnie.—Nie dbałbym o Watzdorfa jednego, ale jestem otoczony nieprzyjaciółmi i zdrajcami. Tu i w Polsce wyliczyć ich nie potrafię, a gdyby mi jednego prawdziwego przyjaciela wymienić przyszło, zawahałbym się. W Polsce karumiłem ich

wszystkich i płaciłem, kłaniali mi się, padali przedemną, a teraz radziby mnie conajprędzej obalić. Ale próżne to wysiłki!—zawolał, wstając, Fleming.—Król jest lekkomyślny, mściwy, dziwaczny, lecz wie że drugiego Fleminga nie znajdzie łatwo, a bez niego obyć się nie potrafi. Ani szuler ten Vitzthum, ani bufon Watzdorf go nie zastąpią.

Z dumą dokończył. Spojrzała nań podskarbina, uśmiechnęła się i uderzyła w rękę.

— Otóż takim, jak teraz jesteś, wolę ciebie, niż tego, którym byłeś przed chwilą. Potrzeba wierzyć w swoją siłę, aby czegoś wielkiego dokonać! Ty jeden możesz uratować tę nieszczęśliwą, jak ty ją nazywasz, „moję“ rzeczpospolitą. Tak, kraj to mój przybrany, do którego nawykła, który pokochałam całym sercem. Jeżeli ty mu nie będziesz lekarzem, dni jego policzone.

— Ale to chory, który się nożowi chirurga, co go ma uwolnić od gangreny, broni, jak zbójcekiemu narzędziu! Chory to — mówił Fleming — który nie wie o swjej słabości i gorączkę bierze za siłę. Trzeba mu zadać gwałt, aby ocalić życie.

— Choćby gwałt! — zawołała Przebendowska; — w sumieniu czysci jesteśmy, Niech krzyczą, niech się rzucają. Choćby ojcowie kamienowali, dzieci błogosławić będą.

— Slicznie mówisz — odezwał się Fleming — ale to są słowa tylko. Ja mieć będę mężtwo, lecz znajdzie-ż się ono w senatorach? Wiiesz, jak pięknie brzmiącemi wyrazy obleka się ten stan okropny. Zowie się to wolnością złotą, żrnicą swobody, co jest trucizną i śmiercią. Idee republikańskie ulatują po nad tym cmentarzem i zgnilizną. *Absolutum dominium!* krzyknie jeden i słowem tém wszystkich na nas poprowadzi. Woła

absolutum dominium stu tyranów, niż jednego króla. Co poradzić na to?

Podskarbina biała, chude nieco rączki załamała, słuchając; na twarz jej wystąpiło znowu zniecierpliwienie.

— Cicho! cicho!—zawołała—ja tego słuchać nie chcę! dosyć! dosyć! Ulżył mi nieco mój ból głowy, a ty mi go wrócisz znowu, temi smutnymi trując mię przepowiedniami. Nie, ja tego słuchać nie chcę! Dosyć!

Fleming wstał i stanął przed nią z szyderskim uśmiechem.

— Ty słuchać nie chcesz, to czysto po kobiećemu! Boisz się przypuszczeń, a ja czynię je dlatego, ażeby mnie żadna nie spotkała niespodzianka. Pomimo jednak, że mnie te widma złowrogie otaczają, nie wyrzekam się walki. Idę i będę szedł dalej i nie czas się cofać!

— Nie! nie!—potwierdziła Przebendowska—iść trzeba do celu, iść!

— Choćby paść!

— Ty upaść nie możesz—przerwała szybko—nie! Znasz: nieprzyjaciół, to już wiele znaczy. Oni się na tobie omylą, nie ty na nich. Miej oko na Vitzthumów.

Wśród tej rozmowy, coś niby chrząknęło, niby zaskomlało u progu. Był to głos ludzki, ale dziwny, piskliwy.

Feldmarszałek zamilkł, twarz mu się zmieniła nagle, odwrócił się z brwią nachmurzoną. Podskarbina podniosła głowę.

— A! to nic—rzekła obojętnie—to ten nieznośny Serwuś.

Fleming ujrzał wistocie nieśmiało wysuwającą się z bocznych pokojów postać oryginalną, którąśmy już zdala widzieli w towarzystwie pana

podkomorzego Dziubińskiego. pana Serwacego Przebendowskiego. Ubogi ten i bardzo daleki jakiś krewniak podskarbiego, gdyż stosunku jego do rodziny możnej nigdy wyjaśnić nie było podobna, sierotą wzięty był przez ówczesnego wojewodę malborskiego do dworu jego. Wojewoda dał mu wychowanie i dla imienia, które nosił, przywiązał go do domu swego, z jakąś ekspektywą niejasną lepszej przyszłości, protekcyi, kawałka chleba z łaski króla, wójtostwa jakiegoś, urzędziku, lub bogatego ożenku.

Związki, nawet oddalonego pokrewieństwa, imiennictwa, nazwiska albo herbu były jeszcze naówczas, *more antiquo*, daleko silniejsze, niż dzisiaj. Rodziny trzymały się spójno i ratowały przez poczucie obowiązku.

Pan Serwacy, którego poufale Serwusiem zwano, z pozoru wydawał się najnieszczęśliwszą, upośledzoną, zahukaną istotą, choć naprawdę więcej daleko był wart, niż się zdawało.

Czém i kim był w głębi, tego nikt, nawet ci co z nim codziennie od lat wielu obcowali, powiedzieć nie umieli. Któs go na żart przezwiał Proteuszem, inni złośliwi chrzcili Kameleonem, lecz większa część miała go za bojaźliwego głuptaszką, niewiedzącego dokąd idzie i dlatego zmieniającego ciągle fizyognomią i mowę.

Chociaż Serwuś ów był w domu podskarbinsy figurą bardzo podrzędną, na oko prawie nic nieznaczącą, bo jako rodzaj marszałka lub *factotum* przywiązanym był do usług pani, czasem tylko używanym bywając do zabawiania skromniejszych gości polskich — musieliśmy z nim bliżej trochę poznać czytelników.

Miany za głuptaszką, bo na niego wyglądał, najczęściej uparcie milczący, z pod niskiego czo-

ła dziwne jakies rzucający wejrzenia, Serwuś odzywał się téż niekiedy wcale do rzeczy. Ale powierzechowność miał niezgrabną, długi był, chudy, żółty, przygarbiony mimo młodości i smieszny tém, że ustami ciągle kręcił, jak gdyby coś w nich przeżuwał. Pan Serwacy u jezuitów w Wilnie, dokąd oddany był na naukę, uchodził, pomimo to, za nadzwyczaj zdolne i wiele obiecujące *subjectum*. Wiadomo było powszechnie, że ojcowie życzyli sobie wielce przyodziać go w sukienkę zakonną, nakłonili go nawet, ażeby rok przebył w ich nowicyacie w Rzymie. Ale Serwuś, rozpatrzywszy się tam, choć świetne miał widoki na przyszłość, a w domu żadnych, powrócił do podskarbiego, tłumacząc się że nie uczuł powołania.

Gdy później wyśmiewano się z téj jego głupoty, ksiądz biskup kujawski, który o tém słyszał, a był wielkim znawcą ludzi, powiadał z uśmiechem:

— Śmiejcie się, śmiejcie z niego, a ja wam powiadam, że jeśli go jezuitci mieć chcieli, to nie darmo. Wiadomo że gdy osy gruszkę napoczną i obsiadą, pewnie słodka i dojrzała jest. Tak i z człowiekiem: gdy jezuitci w nim smakują, coś tam być musi.

Miał, czy nie, słuszność ksiądz biskup, wyrokować nie chcemy, ale Serwuś na bardzo zdolnego człowieka nie wyglądał wcale, a mówił tak jakoś dziwnie, płatał się niezgrabnie, zdawał się niepewnym, że wszystkich do śmiechu pobudzał. Miał tyle tylko za sobą, że prawym był, wiernym, aż do przesady skrupulatnym i zaufać mu było można w sprawach pieniężnych. Chciwosci nie okazywał najmniejszej, ani ambicji. Jeżeli jaką miał, nie zdradzał jój nicém.

Lubiła dosyć tego pokórnego, cichego służkę pani podskarbina, a Serwus też dla niej był oddanym i zapamiętałe gorliwym w spełnianiu nie tylko rozkazów, ale domyslnych jej życzeń. Kobięty dworskie z téj weneracyi dla pani trochę się naśmiewały, dziwnie ją tłumacząc, co ilekroć Serwusia doszło, burzył się i gniewał okrutnie. Wiedziała o tém podskarbina i sama uśmiechała się z jego adoracyi dla siebie, będąc dla biédnego sieroty, trzymającego się zawsze zdala u progu, bardzo względną i łaskawą, bo liłość nad nim miała.

Nieznacznie jakoś z wiszącego przy dworze podskarbiego do nieokreślonych zleceń rezydenta, stał się Serwus niby marszałkiem dworu samej pani, którój służbą i czeladzią komenderował w podróżach, wydatki zapisywał, kasę utrzymywał i różne poufne pełnił obowiązki. Zdawał się im też zupełnie oddanym i niczém więcej na oko się nie zajmował, choć często na długie godziny znikał z pałacu i wieczorami nawet prześiadywał w mieście. Panny służebne Polki i Niemki, których dosyć było przy pani Przebendowskićj, szczególniej się zajmowały tym nieokrzesanym kłosem, tą tyką od fasoli—jak go przezywano. Sledziły jego ruchy, szpiegowały zajęcia, wiedziały nawet, choć izbę swą pod dachem na klucz pilnie zamykał, że miał w niej jakieś roboty tajemnicze, pisywał wiele, z papierami się nosił, a skryty był i zamknięty we wszystkiém.

Intrygowało to kobiety, które, nie mogąc go ani zbałamucić, ani pociągnąć ku sobie, miały złośliwie na oku. Był dla nich zabawką ten Serwus, który na psikusy ich, na zatykaną dziurkę od klucza, pisane krédą na drzwiach koncepta

i śmieszki pokątne wcale się zważać nie zdawał. Postać sama Serwusia czyniła go zabawnym. Trzymał się, jak mówiliśwy, nieco pochyło, patrzył z pod oka; usta miał wydęte osobliwie, czoło prawie zawsze namarszczone i pofałdowane, wyraz twarzy niby nadąsany. Rzadko kiedy mu się ona wyjaśniała, a była niepiękna, rysów grubych, płci ciemnej, coś slinkowego w sobie mająca. Gdy się odezwał głosem, jakby z głębi piersi wychodzącym, stłumionym, choć mówił najgrzeczniej, można go było o gniew wewnętrzny posądzić.

Zdawał się obcy wszystkiemu, nie przyglądał się i nie przysłuchiwał nigdy, a mimo to widział i wiedział wszystko, postrzegł rzecz najmniejszą i pamiętał drobnostki. Służba go w niczem nigdy oszukać nie mogła. Podskarbi trutniem go przeżywał i niewiele dlań miał afektu, nie mogąc mu podobno darować iż zrzucił sukienkę zakonną; ale posługiwał się nim czasami i nie zapomniał o nim.

Serwus nigdy o nic dla siebie nie prosił i mało czego potrzebował. Zmuszony jednak pokazywać się czasami na pokojach, musiał mieć w czém wystąpić przystojnie, ażeby panstwu wstydu nie czynić.

Jadącemu do Drezna, podskarbi kazał dać dwa pasy piękne, sukna na kontusz, materyi pół sztuki francuskiej na dwa żupany, a na resztę garderoby hojnie wyposażyła groszem sierotę pani podskarbina. Dla siebie Serwusby o to niewiele dbał, bo gdy na miasto wychodził, ubierał się jaknajniepozorniej; ale o honor domu chodziło mu wielce. Na pokoje więc, ilekroć trafiła się tego potrzeba, stawiał się przyzwoicie. Miał i szabelkę srebrem kutą, i buty safianowe czer-

wone, i czapkę pikowaną wysoką, choć to wszystko, pożał się Boże, niezgrabnie na nim leżało.

Podskarbina, widząc go tak niepoczesnym w polskim stroju, pokilkakroć usiłowała go nawrócić, aby się przeodział po europejsku; lecz zwykle we wszystkiém jój posłuszny, Serwuś w téj jedynéj rzeczy się opierał, kłaniał do stóp, całował w ręce i w oczach mu łzy stawały, tak się gorąco wypraszał.

— Tak mi Panie Boże dopomóż—mówił głuchym swym i grubym głosem—ja nie potrafiłbym w tém chodzić, ludzieby się ze mnie jeszcze gorzej wyśmiewali. Proszę ja dobrodziejki mojej o miłosierdzie nademną, żeby mi nie kazala téj skóry zdziierać, bo co nie mogę, to nie mogę!

Dała mu więc pokój pani Przebendowska, sama zmiarkowawszy, iż wistocie biédak śmieszniejby może jeszcze w nowéj odzieży wyglądał.

— To nie dla mnie!—mówił Serwuś—jak Pana Boga kocham, nie dla mnie! Wolałbym siermięgę.

Został więc w swym granatowym kontuszu i ciemno-buraczkowym żupanie na codzień, a na święta i uroczystości przywdziewał zielony sajety nowy, pod spód kładąc cytrynowy pół-żupanik, wyrabiany w kwiaty, z guziczkami misternemi, do którego i pasik miał garniturowy. Najwytworniejszy strój nie byłby z niego nic innego uczynić potrafił nad to, czém był... tyczką od fasoli, jak mówiły panny. Wisiało wszystko na nim, choć nieustannie, zakłopotany, poprawiał i obciągał niecierpliwie na sobie.

Podskarbina patrzyła nań z pewnym rodzajem macierzyńskiego niemal politowania; śmiała się z niego, bo postawę miał śmieszną. ale dbała o to, aby w domu krzywda mu się nie działa, aby

o nim nie zapomniano, gdy on tak mało o sobie pamiętał.

Równie laskawą opiekunkę miał Serwus w pani Spiegłowój, ale ta, znajdując go zagadkowym, zamkniętym, jakby ukrywającym coś w sobie, często go wybadywać usiłowała i skłonić do zwierzeń. Próżne to jednak starania były. Auro-ra, której się nieraz udawało za język wyciągnąć kutego na cztery nogi Bielekego, faworyta feldmarszałka i takich ludzi jak Lagrasco, Löwén-dhal, Friesen, z prostodusznego owego napozór Serwusia niczego wydobyć nie umiała. Dorozumiewała się tylko, nie bez przyczyny, że w tym człowieku daleko więcej być musiało, niż powierzchowność okazywała.

Od tego brania na spytki przez panią Spiegłową, która przez jakiś otwór do duszy mu zajrzeć chciała, bronił się jak mógł Przebendowski, a najczęściej grzecznie pozdrowiwszy piękną panią, pod pierwszym lepszym pozorem uciekał od niej. Feldmarszałek Fleming, który go u siostry widywał i znał tyko zdala, czy powierzchownością zniechęcony, czy jakimś niezrozumiałym powodowany wstrętem, nie lubił Serwusia. Krzywił się, ilekroć go zobaczył, śmiał się iż tego niezgrabnego kłoca mogła trzymać podskarbina, nie dawał sobie wytłumaczyć, aby się na co mógł przydać. I teraz, gdy się naprzód głos dziwny Serwusia dał słyszeć, a potem przygarbiona jego, cienka postać ukazała się, feldmarszałek kwaśną zrobił minę.

— A co tam, panie Serwacy?—zapytała, wychylając się z krzesła,—pani Przebendowska.

— Książdz biskup i pan wojewoda—odezwał się cicho Serwus, ociągając pas, a drugą ręką gładząc włosy.

— Ale wiesz że jestem chora!— odpowiedziała podskarbina.

— Kiedy oprymują i gwałtem się dobijają— mruknął Serwacy.

— Przeprós księdza biskupa, że przyjąć nie mogę. Dopiero o piątój będę mu służyła. Jestem chora!

— Proś ich acan obu do mnie, — rzekł, powstając, feldmarszałek.— Idę ich przyjąć.

Zwrócił się, ręką żegnając siostrę, i dodał z niejakiem szyderstwem:

— Zdaje mi się że skuteczniejszym od niego będę posłem. Zabiorę ich ze sobą. Tymczasem nie choruj, proszę, niewolno ci chorować. Po południu potrzeba gości przyjąć i ująć. Biskup zapewne ma za rękawem dla nas schowane ważne wiadomości. Listę osób będziemy musieli przejrzeć razem.

Mówił to zcicha, pochylony, a Przebendowska dłońmi cisnęła czoło, patrząc na brata.

— Będę zdrową, gdy muszę—rzekła—dajcie mi tylko odetchnąć. Ból głowy powoli się rozprasza.

Uśmiechała się z wyrazem smutnym i łagodnym. Feldmarszałek już zdążył ku drzwiom szybkim krokiem i wnet ozwały się głosy witające go, które wdali słabnąc, wkrótce zamilkły.

Za murami miasta, ale tuż prawie przy bramie, znajdowała się onego czasu w Dreźnie nie wyśmienita, ale bardzo znana i uczęszczana gospoda pod Trębaczem. Stawała tam zwykle uboższa szlachta, przybywająca z prośbami, interesami i suplikami do saskiej stolicy.

Gospoda była staroświecka i, mimo sławionój

czystości Niemców, dosyć niechlujna. Podwórze koni, bryczek, wozów, parobków, czasem wołów i świń pełne; izba wielka, ciemna, wzawliwa, zapchana; osobne stancyjki dla podróżnych na górze małe, niewygodne, ledwie w sprzęt nieodbitcie potrzebny zaopatrzone.

Gospodarz, pan Fryderyk Schwarz, dzień i noc latał jak oparzony, usiłując jaki taki utrzymać porządek. Trzy tłuste, przysadziste dziewczki służebne, w krótkich, wełnianych, grubych spódnicach, z rękawami zakasanymi wyżej łokci, z włosami po wiejsku dziwnie na wierzchu głowy związanymi, dwóch chłopców obszarpanych, kłapiących pantoflami drewnianymi po podłogach, ledwie nastarczyć mogli nieustannemu wołaniu i potrzebom podróżnych; krzyki się rozlegały co chwila, a ogromna pani Schwarzowa, żona gospodarza, zarządzająca kuchnią, przysiąść przez cały Boży dzień nie mogła, to się kłóć z dziewczętami, to z kucharką, to z chłopcami i mężem a niekiedy nawet z zuchwalszymi gośćmi, którzy z izby jadalnej aż do niej apelowali.

Najwięcej ją niecierpliwiłi panowie „Polaken“, poczynający sobie zawsze z wielką bezwzględnością, wykrzykujący głośno, narzekający na to „psie niemieckie jadło“, które im przez gardło przeleźć nie chciało.

Pomimo niedogodności gospody pod Trębaczem i wiecznych z Schwarzem sporów o rachunki, polska szlachta, uboższa zwłaszcza, stawiała tu najchętniej, bo Schwarz piąte przez dziesiąte mógł się z nią rozmówić łamanym jakimś językiem, który z biędzy za polski uchodził. Pomagalo mu do tego, że długo na Łużycach przemieszkował, a jejność, choć się do tego nie przyznawała, była rodem Wendką. Z wendyjska, to jest z serbska,

mówiąc z Polakami, choć się gorszyła Schwarzowa, gdy od niej wątroby żądano, bo po serbsku się tak serce nazywa, choć pluła na Polaków, ciągnęła z nich niemałe korzyści i zapraszała, ukoniecwszy rachunki.

Tego dnia właśnie zajechał był pod Trębacza dawny zapewne znajomy, bo go Schwarz niskim powitał ukłonem, gdy na podwórze wóz jego długi, naksztalt węgierskiego, się wtoczył.

Szlacheć to był chuderławy, mały, opalony, strasznie ruchawy, niepoczesna figurka, często jakieś w Dreźnie interesa mający.

Od niejakiego czasu zwłaszcza nie upłynął nigdy kwartał, ażeby tu nie powstał. Nie gościł długo, zawijał się, kręcił, sznurkował, po mieście latał jak oparzony, przeklinając Sasów, a potem nagle pakował się, zabierał i do domu powracał. Znano go tu pod przekręconém nazwiskiem Falbińskiego, które on słysząc, śmiał się, ale się Niemcom niemu nazywać dozwalał, nie przecząc.

Falbiński ów, często bywając w Niemczech, powyuczał się był *praeter propter* niektórych wyrazów języka niemieckiego i do pasyi przyprowadzał Schwarza, dowodząc mu, że jego mowa była obrazą Boską.

— Jakże, proszę ja ciebie—wołał w izbie publicznie—ma to być uczciwy język, kiedy wy pana Boga nazywacie „kotem,” a chleb święty u was „brud.” Co? nie tak? Bezbożnicy jesteście!

To mówiąc, śmiał się Falbiński, że tak Niemcom dogodził.

Schwarz, ciekawy człek, a z powołania swego potrzebujący wiedzieć z kim miał do czynienia, starał się wybadać, jakie interesa sprowadzały tu szlacheć. Od niego samego jednak nic nie

wydobył, choć dawał mu do zrozumienia, że jakkolwiek małe człeczce, mógłby mu się może przydać na co, mając pewne stosunki w kuchni dworskiej i w stajniach królewskich, a naówczas przez małych ludzi i ciasne przesmyki daleko przejść było można. Falbiński się jednak nie wydał z niczém. Zbywał Niemca ogólnikami, że przybywał do „łaski pańskiej, że miał dolegliwości różne, injurye i grawamina od saskich żołnierzy,“ o które się upominał, znanemi sobie drogami.

Tandem wkońcu zawsze tak zakręcił, zawiercił, że Niemiec pozostał jak w rogu. Ale, choćby Polak przebiegły był, gdy się Niemiec uweźmie na niego, zawsze go wytrwałością pokona; tak się i tu stało. Ostatnią razą, w czasie bytności Falbińskiego, Schwarz go tak tropił, iż wkońcu musiał jakiś ślad znaleźć; poczém niżćj się już kłaniał szlachcicowi, służył mu bardzo zabiegliwie i szanował. Ale co o nim się dowiedział, tego nawet żonie nie odkrył.

I tym razem Falbiński, przybywszy około południa, ledwie konie postawił, sam się trochę otrzepał i przcodział, woźnicy dał parę szturchańców, napominając go, jak się ma w tém mieścisku trzymać na ostrożności od złodziejów i złych ludzi—wnet zniknął. Nie było go do późnego wieczora. Nazajutrz tak samo mało gościł w gospodzie, bigos podróżny kazał sobie na śniadanie w kuchni odsmażyć, wódki się napił i jak poszedł, tyle go było widać.

Nad wieczorem wrócił dopiero na górę i czekał na kogoś. O mroku już przyszedł pytać o niego mężczyzna po polsku odziany, wysoki, chudy jak tyczka, pochylony nieco, młody jeszcze, który, jakając się, burcząc, żując na dole,

dowiedział się o Falbińskiego i wdrapał do niego na górę.

Był to nie kto inny, jak znany nam Serwuś.

Niedarmo go zwano Proteuszem, gdyż kto go widział w pałacu feldmarszałka, a terazby zobaczył, z trudnościami w nim poznał pokornego totumfackiego podskarbinsy.

Jak gdyby, wychodząc z domu, ciężaru jakiego pozbył z siebie, Serwuś śmielej teraz patrzył, szedł poważniejszym krokiem, minę miał mniej pokorną, oczy mu jaśniej patrzyły, usta się nawet do żucia nałogowego inaczéj składały. Tam wyglądał na służkę, tu mu polskie, butne szlacheństwo wracało, którego stara krew nigdy zapomnieć nie może. Tak zwany Falbiński oczekiwał już nań, stojąc u wschodów w górze, a zobaczywszy idącego, aż się z radości wstrząsł całym, zatarł ręce i doczekawszy przyjścia, pochwycił oburącz, zapalczywie ściskając, a całując przybysza na wsze strony.

Serwuś dosyć poważnie i zimno przyjął gorące pozdrowienie. Słowa nie rzekłszy, wszedł z nim do jego izdebki.

Dziura to była, której jedno okno brudne wychodziło w obwarowane, cienine podwórko, i niewiele światła dawalo. Łóżko ciasne i krótkie, już wyleżane i derami od koni zasłane, bo bety z niego szlachciec precz wyrzucić kazał, pierza nie znosząc; stoliczek lichy i oplamiony; dwa stolki, w kącie dzbanek i misa gliniana, w drugim tłómoki, sakwy i przybory podróżne, między którymi i próżna od bigosu faseczka widzieć się dawała—zapełniały liche mieszkanie. Podłoga nie pamiętała kiedy ją myto, ściany, pełne gwoździ, kiedy je biczono i wygładzano.

Ale szlachcie w podróży, dla oszczędności,

obchodził się lada czém, targował ostro i z zasady; wiedząc że naród oberżystów niesumienny jest i derusowski, jaknajmniej wymagał, aby się jaknajmniej mu opłacać.

Serwus obejrzał się, wszedłszy, po mieszkaniu i nosem pokręcił. Czuć w niém było stęchliznę, trochę cebuli zalatującej zdolu od kuchni, zapach koni przyniesiony z derami i miejscową jakąś woń odwieczną, specyficzną, do okръślenia trudną. Falbinski już stołek przysuwał i gościa uprzejmie siedzieć prosił, cicho, mu proponując wina lampeczkę, ale przybyły głową potrząsnął i ręką rzucił, odmawiając.

— Nie trzeba, nie—rzekł glosem, jak zwykle, głuchym i przytłumionym.—Ja nie piję.

Posiedzieli chwilę, milcząc i patrząc sobie w oczy.

— No cóż? źle?—spytał Falbinski.

— A źle—odparł Serwus—źle!

— Jednak ja powiadam, że zjedzą licha, żeby się im to udało. *Periclitantem respublicam* mali ludzie uratują, jak Boga mego kocham, uratują!—zawolał Falbinski.

Przebendowski ramionami poruszył, jakby ciężar dźwigał, nie okazując, aby bardzo wierzył, iż się to stać może.

— Ja wam powiadam —począł gorączkowo, ruchami sobie dopomagając, chuderlawy szlachcic —zjedzą licha. Ho! ho! Pracują oni już nad tém niemało czasu, ale jak pani stara, co szyje, to rozpara, Sasów przeklętych nagubili już, że ich nie policzyć, piénędzy wysypali, coby je korecami mierzyć można, nabito im guzów dosyć, nałajano co wlażło, a cóż mają? he, co mają? figę!

Domawiając tych słów, wyrazistym ruchem,

obrazowo przedstawił palcami skutek otrzymany i pokazał aż dwie figi.

Serwuś głową trząsł z niedowierzaniem; twarz mu się zupełnie teraz zmieniła, nabrała wyrazu dziwnie poważnego, jakby uroczystego namaszczenia.

— Nie pochlebiajcie-no sobie tak bardzo i nie cieszcie się zawczasu! — rzekł powoli. — Wiele się im już zrobić udało! Nauczyli ludzi piędzde brać, a sumienie sprzedawać, kłaniać się do ziemi; pozyskali sobie przyjaciół i przyjaciółek kupę. Groziła im konfederacya, a na czém się skończyło? Kto na nią wygrał? Oni, nie my! nie my!

— Hę? jakto? — podchwycił Fałbiński.

— A kto, proszę, kto? — mówił, coraz głos podnosząc, Serwuś. — Hetmanowie obaj zdradzili, dali panu Flemingowi dowództwo nad cudzoziemskim autoramentem. Cóż to znaczy, jeżeli nie wyrzeczenie się wszelkiej siły i zdanie się na łaskę? Żołnierze obcy, choć go inaczej odziano niż Sasów, saski jest zawsze i pójdzie na nas jak w dym i zrobi, co mu każą. Rozpędzą sejm, senatorów znowu, jak Jabłonowskiego, Czarnkowskiego i Urbanowicza, wpakują do Koenigsteinu i Pleienburga, a rzeczpospolitą w chłopy obrócą!

Rozgrzał się, mówiąc, Serwaey, podniósł ze stołka i padł nań znowu, poruszony wielce.

— Niedoczekanie ich! — zawrzał równie gorąco Fałbiński — niedoczekanie! Zjedzą licha! Mogą panowie senatorowie sprzedawać siebie, żony i córki, ale szlachta się w dyby zakuć nie da! Co nie, to nie. Pójdą wszyscy, jako jeden, choćby tysiącami ginąć mieli, pójdą i szablami przypomną *Pacta conventa*! Zjedzą licha!.. Zginie dużo, a no, co robić? na nasienie coś zawsze zo-

stanie—dodał zapalony szlachcie.—Znajdzie się i drugi Wielogłowski i Wiśniowiecki drugi, a może co lepszego od nich obu, jak Boga mego kocham!

Serwus słuchał, żując, głowę przechylał na jedną, to na drugą stronę. Potém, niby sobie coś przypomniawszy, począł szukać za kontuszem czegoś głęboko zacisniętego i dobył wreszcie kawał zmiętego i zbrukanego papieru, na który szlachcie ciekawemi rzucił oczyma; ale gdy poń ręką sięgnął, nie dał mu go odrazu.

— Czarno na białém—ozwał się powoli Serwus—oto tu stoi, co sobie zamierzył ten zdrajca Fleming. Wiedzą o tém tylko adepci, inni domyślają się. Trzeba aby o tém cała rzeczpospolita wiedziała.

Falbiński powtórnie rękę wyciągnął, gdy Serwus zwolna papier rozglądał i prostował.

— Rzecz to nienowa—mówił—pięć już lat temu gdy ją spisał Fleming, a dwadzieścia może, gdy ją obmyślił, i do dziś dnia przy tém stoi.

Na karcie, którą rozwinął, u góry czytał Falbiński:

„Projekt, jak tron polski dziedzicznym uczynić i prawdziwą wolność w tym kraju zaprowadzić.“

— Smaczny kąsek!—rzekł, chciając się napięrając papieru, szlachcie. Żrenice mu się rozpałyły i twarz cała czerwieniła.—Infamia!—mruzczał—horrendum! Prawdziwie saską wolność chcą u nas zaprowadzić. Wiemy jaka ona jest! *Sic rolo, sic jubeo*, a nie podobaci się, na chłóbi na wodę między cztery mury! medytuj o marnościach świata tego. Ale się to nie uda.

Czytali tedy kawałkami półgłosem.

Projekt widocznie nłożonym był za konsystencyi wojsk saskich w Polsce, ale tak samo cudzo-

ziemskim autoramentem mógł się wykonać. Zalecano tam królowi przywiązać do siebie ludzi, znających dobrze prawa polskie, dla pomocy; najzdolniejszym i najwięcej znaczącym dać w zastawy starostwa, dobra stołowe, komorę celną w Gdańsku, cła i żupy solne, w dobrach królewskich zostawując tylko prawo polowania. Przywiązać w ten sposób do siebie ludzi. Zawczasu opracować plan nowój formy rządu, zostawując tylko sejmiki po województwach, z głosowaniem większością. Naznaczyć po województwach zarządy, którychby wojewodowie byli prezesami. Po jednym pośle z województw wysyłać do Warszawy, z którychby Rada stanu przy królu się składała. Z sejmików do swych deputatów ślałyby ziemie żądania, a te większością głosów Rada odrzucałaby, lub przyjmowała i t. d.

Czytali kawałkami ten papier, zżymając się oba.

— Oto masz, czego żądają! — krzyknął Serwuś.

— Nic uda się! — powtórzył Falbiński.

— Nic powinno się udać — dodał Serwuś — tylko się ichność nie spuszczaście na panów hetmanów, na senatorów, na biskupów i duchownych, bo wszyscy są przekupieni i zjednani; na nikogo nie rachujcie, oprócz na siebie!

To mówiąc, oddał papier Falbińskiemu, a ten z nim jeszcze poszedł do okna, pilnie go znowu odczytując półgłosem, niekiedy przerywając wykrzykami oburzenia. Patrzyli na siebie i zżymali się.

Skończyło się wreszcie czytanie; ale nierychło zebrali się zawiązać znowu przerwana rozmowę. Głowami trzęśli i wzdychali.

— Zjedzą licha! — raz jeszcze powtórzył szlachcic, starannie dokument chowając w zanadrze.

— Nie przelówki-to—dodał Serwuś—pamiętajcie z kim mamy do czynienia. Fleming ma głowę potężną, ręce długie, dłoń męzną i umie trwać w tém, co postanowił.

Pan Serwacy westchnął.

— Jednego mi żal i srom — rzekł—że feldmarszałek téj pocziwój kobięcie, siostrze swój, pani podskarbinie, głowę zawrócił, i ona téż za jeden grosz z nim targuje.

— Tyle co i on warta, baba intrygantka!—wyrwał się Falbiński.

— Tego mi nie mówcie!—oparł się gorąco Serwuś.—Tego nie mówcie, bo ja ją znam lepiej. Obalamucona jest, ale z gruntu pocziwa. Jakżeby ona zresztą, Niemką będąc rodem, nasz obyczaj republikański mogła zrozumieć i upodobać? Jój się to w głowie pomieścić nie może.

Falbiński, śmiejąc się, objął Serwacego oburącz.

— E! ty jakiś!—zawołał zartobliwie.—Nie bróńcie pańskiej podwiki, choćby wam pachniała! Stara podskarbina wam imponuje i jesteście dla niej z adoracyą, a taka Niemka przekłeta jak one wszystkie! Już ty jój nie bron!

Serwuś splonął i oburzył się.

— Na nią nie mówcie!—rzekł stanowczo i surowo—nie mówcie!

Widząc go prawie zagniewanym, szlachcie się pomiarkował, uściśnął go i dodał:

— Co-bo ty się pierzysz zaraz? albo to my starzy towarzysze ze wspólnój ławy, z pod jezuickiego bizuna, nie możemy sobie pozwolić pożartować?

Serwuś się dał udobruchać i począł z innój beczki.

— No tak, prawda, starzyśny przyjaciele i to-

warzyszc. Ja cię, mój Połubinski, znam z Wilna od smarkacza, inam do ciebie słabość, boś był zawsze pocziwym kolegą i weredykiem; klamac nie umiałeś.

— Bóg mnie skarż—wtrącił żywo pan Paweł, bijąc się w piersi z całej siły—tegom się i nie nauczył. Dysymulować człek zawsze musi, ano w sercu... czysto!

— Ja ci też wierzę—ciągnął Przebendowski—i od czasu jakieśmy się tu przed parą laty spotkali i rozgadali, nie kryję nic przed tobą. Ale kto ciebie wie! może to i źle? Tyś pocziwy, a ludzie niepocziwi na złe ciebie używać mogą. Mów ty mi szczerze, kto cię tu posyła? poco jeździsz? co tu porabiasz? Ja widzę że się kręcisz, ano spełna nie wiem...

Połubinski (tak się zwał przerobiony na Falsbinkiego przcz Niemców szlachcie), posłyszawszy to pytanie, płaśnął w ręce, ale mu twarz zapłonęła rumieńcem.

— A to dobre!—zawołał—to dobre! Albo ja ci nie mówiłem, że jeżdżę za naszą sprawą szlachecką?

— Ba!—rzekł Serwnś zwolna swym grubym głosem—ba! za szlachecką sprawą, a z czyjąż naprawą? Słuchaj-no, nie buńducząc się. Oba my kość z kości szlachta jesteśmy, naszymi dobrze znamy. Nasza szlachta swobodę swoją kocha i bronić jej gotowa, ale między nią ładu niema. Zawsze ktoś starszy rej wodzić musi, choć w koncu czasem, jak Gorzyński, szlachtę sprzeda. Bliższa ciała koszula, niż kaftan. Mów ty mnie, kto za tobą stoi?

Połubinski zmieszał się i zżymnął.

— Kto ma stac? nikt! nasza szlachta i po wszystkim! Za kogo ty mnie masz?

Serwus, prawie odpowiedzi nie słuchając, począł z głową spuszczoną po izbie się przechadzać, mówiąc jakby sam do siebie:

— Ja-bo was znam! I jabym téż takim był i nie widział końca mego nosa! Szczyściem mnie *patres* wyprawili na rok nowicyatu do Rzymu. Tam ja dopióro przejrzałem! Z ciekawości tych ruin, które tam stoją wszędy, jak olbrzymów kościotrupy, zachciało się poznać, co to była za republika rzymska... Przysiedziałem fałdów, czytając o niej. Naczytałem się dużo i poznałem, jak na świecie bywało i jak być powinno. Wiem co to były owe Regulusy, Brutusy, Scevole, a choćby Koryolany i Katyliny. Plutarcha mało na pamięć nie umiem. Z niego, z Tacyty i Swetoniusza zrozumiałem ja, jaka u nas wolność być powinna, bośmy my bodaj na to przeznaczeni, aby światu pokazać, co ona może i znaczy. U nas ona w warcholstwo przerosła, ale przynajmniej ziarno zostało. Nie daj Boże, aby taki Fleming skorzystał z wichru, rozbił stado i do pańskiego zwierzyńca za parkany popędził!

Mówił powoli, z powagą nieco przesyadzoną, ale z głębokiego przekonania. Szlachcic, patrząc nań ukradkiem, słuchał, gdyby na *theatrum*, i dziwił się, acz może niespełna rozumiał. Serwus zdawał się upajać własną mową.

— Tak—mówił dalej—z naszej republiki imię już tylko zostało. W rzeczy panowie czynią z nami co chcą; rycerstwu na koń każą sięść, głodem mrzeć, gospodarstwo zdawszy na żony. Pójdą wszyscy: potem pacyfikacya, panowie kiczenie ładują, a szlachta obdarta powraca, nie wiedząc co zrobiła. Ano Fleming wie czego chce, Sasów z nas pokornych mapoczynić. Nam zaś myśleć należy, jakbyśmy się do rozumu i do

ładu dobili, bez paskiej kurateli, bo panowie nas w koncu sprzedadzą.

Zwrócił się do Polubińskiego.

— Słuchaj-że, poczciwy Pawle — zakończył głosem nakazującym. — Mów prawdę, kto cię posyła? he? szlachta, mówisz? A któż tam jej głowę? Gadaj! Ja się przed tobą nie kryję i tyś się też przedemną tać nie powinien.

Pokorny Serwus z wolna teraz doszedł do takiego tonu, iż jak instygator winowajcę, badał szlachcica. Z nich dwóch on czuł się silniejszym i był też nim wistocie.

— Cóż-bo ty mnie nie wierzysz i w jakimś podejrzeniu masz, czy co? — krzyknął Polubiński. — Tobo dopięco pięknie było! Cóż ty mnie za zdrajcę masz?

Serwus stanął z uroczystą miną.

— Nie gorączuj się — rzekł z wolna — ja twojemu sumieniu wierzę, ani słowa, ale przeto że szparki jesteś, wziąć cię w garść łatwo. Kat-że wie, czy kto z twojej gorącości nie korzysta? Gadasz o szlachcie. Jużci nie ty, choć z kniaziów Polubińskich, ale ubogi i w dorobku, wykirowałeś się na wodza w województwie i swoim sumptem rzeczpospolitą chcesz salwować. To nie może być. A jak nie ty wodzem i za tobą stoi matador, pokaż go... niech wiem!

Paweł się zmieszał mocno.

— Otóż widzisz — skreślił nagle — jeśli nie za zdrajcę, to mnie masz. z pozwoleniem, za cztery litery.

Wybuch ten nie wstrzymał wcale Serwusia, który go poklepał po ramieniu.

— Ino się nie gorączuj — powtórzył. — Ja cię mam za poczciwego i nie mówię, żebyś był z rozumu obrany; aleśmy wszyscy łatwowierni, śla-

bi i jak baba nam nie przewodzi, to magnat, a o swój sile nie chodzi żaden. Jeżeli do sprawy przyjdzie, któż będzie prowadził? ani ty, ani ja, tylko żółto brzuch jakiś. Patrzajcież żeby nas, jak po tarnogrodzkiej, nie wystrychnięto na dudków, bo zamieniał stryjek siekiérkę za kijek. Sasów prawda wyprowadzili, ale za nasze własne pieniądze cudzoziemców trzymają pod swoją komendą, na oczywistą zagładę rzeczypospolitej. Jeżeli druga taka ma się zrobić konfederacya, aby znów jaką się skończyła pacyfikacyą nam po pysku, to żal się Boże poczynać.

Obrócił się do Pawła. Szlachcic filut, dając mu gadać, widocznie się namyslał, jak się miał wykręcać; znać było że spełna prawdy powiedzieć albo nie mógł, lub sobie nie życzył. Bystro mu w oczy patrzył Serwus.

— Mnie o moję skórę nie idzie—dodał.— Choćby mnie kto zdradził, choćbym ja popadł do więzienia, albobym i łeb dał, choćby mnie, kolanem dawszy, przepędzili, a chleba nie stało... to co? Ja mały człeczyna, nic nie znaczę. Takich jak ja i tysiące ginąć mogą, a znaku nie zostanie. Ale sprawę zgubić, strata byłaby niepowetowana. Jeżeli ci, co ciebie tu posyłają—mówił zwolna—szczérze myślą o ratunku zagrożonej wolności, dobrze jest; ale jeśli chcą tylko królowi i Flemingowi zagrozić, aby się im okupili i przy tym ogniu własna się ich pieczen upiekła, to co? he? Ja sparzony, nic dowierzam, i myślę sobie, panie Pawle: republiką nam oczy smarują, a może im o starostwo lub o dygnitarstwo chodzi. He, słyszysz?

Jak przybity do stolka siedział Polubiński; zrywał się po kilkakroć do odpowiedzi, pomyślał coś, zamachnął ręką i umilkł. Nagle wstał, pod-

szedł do Serwacego i ścisnąć go począł serdecznie.

— Poczciwości ty moja! — zawołał — jedyny człowieczel! Ja, dalipan, niewiele wiem, a co wiem, powiem ci szczerze. Wiész że ja z Lidskiego jestem. Podkomorzy lidski Gintowt-Dziubiński, szlachcie całą gębą, co nigdy pańskich półmisków nie lizał, to mój pryncypał. Około niego się u nas ludzie kupią, on ma minę, on ma wiarę i wszystkiém kieruje, ale cyt!

— Gintowt? a toć ja go znam! — rzekł, marszcząc się, Serwuś. — Dobry człek, ale ciężki i głowa nie potemu. A w dodatku jeździł tu do Dreżna razy ze trzy i z feldmarszałkiem był bardzo serdecznie; ten mu pewnie swoje racye inokulował.

Wmiarę, jak mówił Przebendowski, Paweł micszał się coraz bardziej, lecz tém silniej począł przy swoim obstawać.

— Otóż nic znasz Gintowta! — zawołał. — To frant, maskuje się, a głowa ogromna! On się ani Flemingowi, ani żadnemu Sasowi nic da i przekupić go nie można.

Pokręcił głową Serwuś i spochmurniał, powtarzając:

— Ale ba! Dziubiński! Czy to jemu nas wodzić?

— Nie znasz go — nalegał Paweł. — Szlachcic, republikanin z kośćmi i flakami, słowo ci daję. Ogińscy mu za skórę zaleźli.

— A u Fleminga na nich protekcyi szukał? — rzekł Serwacy.

— Dlatego nie przekupili go jeszcze. Człęk prawy, przysięgam ci!

To mówiąc i sypiąc argumentami, plątał się jakoś pan Paweł i choć długo jeszcze dowodził

swego, nie potrafił przekonać Serwacego, który pośpieźnie się zamyslił.

— Bóg z tobą — zakończył Przebendowski z rezygnacją. — Ja robię, co mi moja powinność każe, a ty jak pokpisz sprawę, to rzecz twojego sumienia.

Połubinski chwycił się do nowego uścisku, na który mu Serwuś chłodno jakoś odpowiedział.

Papiér który ci dałem — rzekł — każcie przepisać, choćby na tysiąc rąk, niech się rozejdzie po dworach, osadach, zaściankach, niechaj wiedzą, co im grozi. Nie potrzebujecie powiadać z kąd go macie. Tu w Dreźnie swojego czasu było go pełno, ale mu drogę przecięto. Panom senatorom, choć go sekretnie nosili po kieszeniach, wielkiej on awersyi nie czynił. Stoię tam przecież, że ich starostwami, pozorem zastawów, kontentować miano. Nie byli od tego. Dworują tak elekeyjnemu, jakby dziedzicznym monarchą był; nałamywałyby się do nowego obyczaju nie potrzebowali.

Wzdychał Serwacy, głowę zwiesiwszy, i mrucał ciągle.

— Zle to jest, że ja, nędzne człecze, com się na łasce panów wychował, z panów żyję, na nich krzyczeć muszę. Powiedzą na mnie, żeś niewdzięczny, ale ja sprawiedliwym być muszę. Jak się człek, w progu stojąc, patrzy na te wszeteczeństwa i podłości, które się tu sprawiają codnia, a łykają za powszedni chleb, możeż być, aby mu się dusza nie burzyła? Inaczéjby uwierzyć przyszło, żeśmy stworzeni na bydło i innego losu niewarci, tylko pod chłostą iść służyć tym, którym ślepa fortuna dała w rękę biczako.

Paweł słuchał przybity, zmieszany, ani się już siląc na odpowiedź. Czytać mu z twarzy było

można, iż czuł że z tym Dziubinskim niegrabnego baka ustrześlił. Zawrócić się było zapóźno.

— Ale, słuchaj-no—odezwał się nagle, z krzesła wstając, jakby go co ruszyło, gdy posłyszał na schodach jakieś stąpanie.—Ty mi widzę nie dajesz wiary, a cóż to dopiero będzie, gdy się jeszcze u mnie z kim takim spotkasz, co ci nie przypadnie do smaku?

— No, z kim?—odparł zdziwiony Serwuś.

— Wiczyście zapomniałem — kończył Paweł — a oto tylko co nie widać, przyjdzie tu nasz dawny kolega, pamiętasz. Bildiukiewicz? Wstał potém do nowicyatu i dziś *pater*.

— Pamiętam go. Wszakże razem z nim jeszcze później byłem w Rzymie i kawał nowicyatu z nim pospołu odbyliśmy.

— Otóż, dziś-em go na ulicy niespodzianie szedł—mówił Paweł.—Jest tu przyjazdem. Kręci się około dworu. Poznał mnie zaraz, zaczął się dowiadywać pocem przybył, gdzie stoję. Z jednogom mu się wyłgał, ale do drugiego musiałem przyznać. Obiecał zajść pod wieczór.

— To nic—rzekł Serwuś spokojnie.—Rad go zobaczę. Nie potrzebuję cię przestrzegać, abyś język za zębami trzymał, kiedy on około dworu się kręci.

Paweł uderzył się w czoło i rzucił żywo:

— O, tego mi mówić nie trzeba!

Na wschodach wistocie zbliżający się chód słychać było i rozmowę głośną z Niemcami. Spodzielający się Bildiukiewicza Połubiński, przezuwając go, poszedł do drzwi. Serwuś został w miejscu, ale jak obcujać z Połubińskim urósł był w butę i powagę, tak teraz znowu wrócił do swój zwykłej pokory: skurczył się, zmalął; przybrał twarz swą powszednią i z boku siadł na stolku.

Paweł, poznawszy po głosie jezuity, który się o niego dopytać nie mógł, musiał zejść aż na schody. Nazwiska Niemcy nie byli pewni.

Po chwili weszli obaj do izby gościnnej, przodem młody ksiądz w czarnej sukience, takiego kroju, że się więcej domyślać w nim kazała duchownego, niż go oznaczała. Mężczyzna był lat około trzydziestu, blady, ostrych i suchych rysów twarzy, niepiękny, ale z oczów rozum i bystrość patrzyły. Kapłański stan nadał mu zarazem pokorę jakąś i wyższość, a powagę. O Serwacym musiał mu już na wschodach wspomnieć towarzysz, bo jezuita żywo ku siedzącemu obie ręce wyciągnąwszy, zbliżył się do niego, wołając głosem wzruszonym:

— Serwacy? tyżeś to? synu ty marnotrawny!

Zmieszany, onieśmielony, wracając do swój roli pokornej, Przebendowski począł od pocałowania ramienia dawnego kolegi.

— Jakżem rad że cię widzę zdrowym! — dołożył ks. Bildiukiewicz. — Cóż się z tobą dzieje? Anim wiedział że tu jesteś.

— A jakże, a jakże! — przebaknął Serwacy — ja tu przy dworze pani podskarbinsy ot tak wiszę, dla kawałka chleba.

— Widzisz! — odparł z wymówką młody ksiądz, siadając na podanym stolku. — A nie lepić-że ci było sukni téj nie zrzucać? Taby ci nietylko chleb, ale lepszą służbę, bo u pana panów Jezusa Chrystusa, była dala. I nie chciałeś jój!

— Bom się nie czuł jój godnym — mruknął Serwus. — Co to już dziś o tém mówić, *post festum*. Co się stało, nie odstanie.

W mroku izby już mało co widać było. Bildiukiewicz, przysunąwszy się blisko, z zajęciem się wpatrywał w dawnego towarzysza.

— A wy tu co robicie?—zapytał Serwaey.

— Ja?—odparł bardzo powoli, prostując się jezuita—ja? Mnie tu poprostu zwierzchność moja przysłała. Właściwie jestem tylko po drodze do Pragi i Wiednia. Stałem na parę dni odpoczynku u jednego z ojców naszych, który ma miejsce przy dworze. Żona królewicza jest bardzo gorliwą katoliczką, on sam wielce pobożny.

Ks. Bildiukiewicz mówił zwolna, zacinając się nieco, wahając, ale z wyrazem szczerości.

— Zabawicie tu długo?—spytał Paweł.

— Zapewne dni parę tylko—rzekł Bildiukiewicz.—Myśmy w zakonie słudzy tak podlegli regimentowi i rozkazom wyższych, jak wojskowi. Pytać niewolno, co z nami czynić mają, ani wybierać, co byśmy woleli. Ojciec-kapelan króla kazał mi czekać na listy.

Serwuś z pod oka ciekawie się księdzu przyglądał, a dawny towarzysz nawzajem pilnie go badał oczyma.

— A ty tu z czém i pocom?—zapytał ksiądz Połubińskiego.

— Ja?—zająknął się szlachcic—a no, tak jakem wam mówił: przyjechałem z listami i słowem do pana kanclerza. Chciało mi się téż bardzo saską stolicę i dwór choć zdaleka zobaczyć.

— I jakże się wam podobały?—pytał jezuita.—Prawda, pięknie tu jest i wspaniale.

— Ani słowa—potwierdził szlachcic.—Na dworze i kolo pana po królewsku, ale kraj, przez który się jechało, taki nędzny miejscami, jak u nas; chleba dosyć nie mają. No, i szlachta gdzieś wyginęła.

— Co za dziw, po takich wojnach i spustoszeniu—odpowiedział ks. Bildiukiewicz.—Niezdługo jednak wszystko tu odżyje, bo ład jest, a u nas

go niéma. Dobrzeby się nam czegoś od nich nauczyć.

Serwus chrząknął i żywo zaczął żuć ustami.

— Pewnie, pewnie—rzekł.—Jak oni u nas gospodarują, to ład zaprowadzą taki, jak u siebie.

— Daj to Boże!—westchnął ksiądz.—Zanosi się téż na to, że po naszym królu nie kto inny, tylko syn jego, pan pobożny, bogobojny, weźmie koronę.

— Myślicie?—zapytał Serwus dobrodusznie.

— Już się to przygotowuje—mówił spokojnie jezuita.—A widzieliście młodego pana?

To mówiąc, obrócił się do Przebendowskiego, który się głupkowato uśmiechnął.

— Mało nie codzień go widuję — odezwał się.—Grzeczny pan, uśmiechający się, dla ojca syn najlepszy, obyczajów skromnych, a myśliwstwo miłuje tak jak ojciec, jeżeli nie więcej.

— Niechby go tylko w tém naśladował—zamruczał cicho jezuita.

Rozmowa obojętna ustała trochę, a Serwus dorzucił skromnie:

— Młoda królewiczowa powstrzymać go potrafi od innych zbytków, bo pani surowych jest obyczajów i niepobłażająca.

— Widziałem-ci i ją—dorzucił Paweł.—Prawda że cesarskiego rodu, ale żał się Boże powiedzieć, by piękna była.

Serwus usta złożył do uśmiechu, ale się nie rozśmiał; ksiądz zmilczał. Między dawnymi poufalszymi rozmowa szła, jak z kamienia. Szlachcie, choć się poruszał, ostrożnie wyrazy puszczał przez zęby; Serwus się swoją głupowatością obszył, a ksiądz, nie znając już teraz towarzyszków, jakieni szli drogami, nie śmiał być z nimi do zbytku otwartym.

— Zaczny to pan i statysta, jakich mało, ten feldmarzałek Fleming, w którego domu macie szczęście zostawać i przy dworze pani podskarbinny—odezwał się jezuita, wpatrując w Serwusia.— Pani też Przebendowskićj, wielkiego rozumu i cnót damie, drugićj trudno znaleźć równęj.

Pochwała ta wzięła znać za serce Serwusia, bo się gorąco odezwał:

— Oj! to prawda, ojcze mój, słusność macie. Takich niewiast niewiele, bo i głowa i serce jest. Gdyby nie była ze krwi niemieckiej, niczego by jćj do perfekcyi nie brakło.

— Przecie duszą i sercem do nas przystała— dodał Bildiukiewicz.

— A tak! tak!—potwierdził Serwus.—Jednak, że do innego porządku i świata nawykła, choć lat tyle u nas i z nami przebyła, sercem zawsze do swoich ciągnie. Wśród tego zepsowanego świata jedna to pani, co ją poszanować warto.

O tém zepsowaniu jezuita jakos mówić nie chciał; odchrząknął tylko, westchnął i w okno się zapatrzył.

Wtém Serwus przypomniał sobie, że pora była dobrze spóźniona, bo w izdebce zupełnie zciemniało. Chwycił z za żupana ogromną srebrną cėbulę, dar pani Spiegłowej, poszedł z nią do okna i przeląkł się, postrzegłszy że już blisko było piątćj. O piątćj się wszyscy na pokoje zbićrali, więc i on mógł czasem być potrzebnym.

Wstał prędko, żegnając się z pancm Pawłem i księdzem, który dopytywać go począł, gdzie by się jeszcze widzićć mogli.

Serwus się składał służbą i zajęciem; jezuita nalegał, aby chwilę samnasam z sobą spędzili i Przebendowski zaprosił go do siebie, na dzień jutrzejszy.

Zostawiając księdza z Połubinskim, Serwuś, szybko przywdziawszy opończę, z głową schyloną, przygarbiony, wysunął się nieznacznie z gospody, szybkim krokiem idąc przez małe uliczki, wprost do palacu feldmarszałka.

Przez cały wieczór zwykle, od godziny piątej poczynając, drzwi się nie zamykały u pani podskarbiny. Całe towarzystwo ówczesne polskie, bawiące stale przy królu, przybywające z suplikami, śpieszyło złożyć usznowanie opiekunce swój i pośrednicze. Wszyscy znaczniejsi dygnitarze sascy, choć już dla feldmarszałka ostygli, przeczuwając niełaskę pańską, sam nawet Watzdorf, biegli niemal codziennie tu pokłonić, zajrzeć i rozśluchać, dostać języka.

Fleming nie po raz pierwszy chwiał się na swoim wysokiem stanowisku, nie dowierzano więc oczom i uszom, choć przed najbliższymi cierpko i z przekąsem August się o nim wyrażał. Wiedzano że feldmarszałek zręcznie bardzo z królem postępować i rozbrajać go umiał, a postanowienia odinieniać.

Zwycięzca nie w jednej walce z intrygą dworską, mógł i teraz dopatrzyć co mu groziło, zapobiedz niebezpieczeństwu i pomścić się na nieprzyjaciółach. Do ostatniej więc godziny intryganci chcieli stać przy feldmarszałku napozór, aby mu nie dać przedweześnie powodu do gniewu i odwetu.

Fleming, choć już był dobrze uwiadomiony i znał swoich wrogów, plaszczącymi się przed nim jeszcze, nie dawał żadnemu poznać po sobie, że go posądzał, nie zmieniał trybu postępowania z nimi, obdarzał niektórych rzekomym zaufa-

niem, a umysł okazywał tak wesóły i swobodny, jakby mu się wiodło najlepij.

Z Lubomirskim, zięciem hr. Vitzthumowój, który, jako generał saski, pod jego rozkazami zostawał i musiał mu się często przedstawiać, był na oko jaknajlepij, znając, a raczj domysłając się już robót jego w Polsce przeciwko sobie, które z ostrożnością wielką prowadzone były.

Męczył go tém, że się od niego domagał czynnego udziału w wykonywaniu nietajnych nikomu myśli swoich i dawał mu polecenia jaknajtwardsze umyślnie.

Lubomirski, któremu na zręczności nie zbywało, umiejący się znaleźć zawsze przedziwnie, dworak i artysta w swym rodzaju niepospolity, był wszakże tém nastawieniem, zwierzeniami, naleganiem umyślném, dokuczliwém podrażniony do najwyższego stopnia. Gdy feldmarszałek, ująwszy go pod rękę, po całych godzinach zwierzał mu się ze swych planów i niby starał się go zjednać sobie, dając mu dokuczliwe polecenia. książę wkońcu wpadał na myśl, że go przeniknął i że się nad nim znęca. Tak było wistocie.

Intryg hrabiny Vitzthumowój i jój protekeyi dla Watzdorfostwa zdawał się feldmarszałek ani widzieć, ani zważać na nie, tak jak stosunku Lubomirskiego z Vitzthumami niby w rachunek nie brał.

Lubomirski unikał, jak mógł, spotkania, ale Fleming go zapraszał, odmówić nie było sposobu, a opanowawszy go, albo sam zamęczał, napędzając do roboty, lub dawał w ręce żony, która go dumą i kwasami nękała. Generał był najnieszcześliwszym z ludzi, ale twarz musiał okazywać wesółą i... być wdzięcznym.

Mniej panująca nad sobą Przebendowska,

choć musiała względem Lubomirskiego zachowywać się zgodnie z bratem, nie powściągnęła się i okazała mu czasami, że wieć co o nim trzymać i o Vitzthumów domu. Po kobiećcemu czyniła to jednak tak zręcznie, że za przycinek trzeba było jeszcze dziękować.

Podskarbina dnia tego, gdy się ból głowy jój rozszedł po obiedzie, ze zwykłą uprzejmością gości u siebie witała i zabawiała ich z pomocą Aurory Spiegiel. Uśmiechała się panom polskim, zadziwiając ich cochwila swą znajomością stosunków i koligacyj. Wiedziała doskonale kogo rodzi i w jakim stopniu pokrewieństwa znajdują się różne rodzin gałęzie. Często nawet ta jój erudycya zawstydziała Polaków, mniéj obeznanych z genealogiami.

Tego wieczora polski kontyngens gości był obfity. Oprócz Szaniawskiego biskupa kujawskiego, Gałęckiego wojewody inowrocławskiego, obu znanych regalistów, ciałem i duszą królowi oddanych, przybył właśnie Rybiński wojewoda chełmiński, Dorpiewski, Sapieha pisarz polny litewski, Chomentowski wojewoda mazowiecki, dwóch Ogińskich i pomniejszych wielu. Fleming znajdował się także u siostry, razem z nieodstępnym swym pułkownikiem Bieleke, który mu wszędzie zwykł był towarzyszyć, tak samo jak Aurora Spiegiel pani Przebendowskićj.

Towarzystwo bardzo było ożywione; skupiano się około biskupa i wojewody, aby od nich najświeższe powziąć z Polski wiadomości.

Szaniawski, człek niespokojny, żywy, czynny, może nawet, jak na duchownego, do zbytku, któremu suknia biskupia niedobrze jakoś przystawała, choć chmurno patrzył, mówny był bardzo dnia tego.

Zkolei brali go na indagacyą podskarbiną i feldmarszałek, ale się to odbywało pocichu. Głośno mówiono o rzeczach obojętnych: o kar-nawale, który króla zajmował, o młodej królewiczowej Józefinie i jej dworze, o operze i włoskich śpiewakach, o sprawach europejskich, szczególnie się interesując postawą Francyi i polityką Wiednia.

Wśród tego przypywu i odpływu gości, Fleming także się absentował, poszedłszy na służbę do króla; przesunął się Watzdorf pokorny i na-ostatek wbiegła małeńka, uróżowana, ubielona, szelczechą jedwabnemi sukienkami, żwawa owa lalczka, która się jeszcze zwała hrabiną Denhoffową, ale już była Lubomirskiemu zaręczoną i wkrótce wyjść miała za niego.

Widzieliśmy zdala tę płochą i zepsutą kobietę, tém szczególną, że popełniając największe niegodziwości w pogoni za szczęściem, nie miała poczucia winy i grzechu. Wszystko co robiła, zdało się jej naturalnem; była przekonana że inaczej być nie może, a wkońcu Pan Bóg wybryki te pięknej pani przepuści.

Denhoffowa była, w najściślejszém znaczeniu tego wyrazu, do najwyższej potęgi podniesioną prostotą: łatwowierną, zapalającą się, niewdzięczną, nieopatrzną, rozrzutną, nieumiejącą nic po-hamować, a najmniej siebie samę, potrzebującą żyć ciągle w ukropie, w gorączce, często szczera aż do zbytku, niekiedy z instynktu i potrzeby komediantką doskonałą, chwilami najniezręczniejszą. Przez głowę jej i serce płynęło i prze-pływało dobre, złe, białe, czarne, pstre, a serce obracało się ciągle, jak młynek potrzebujący coś pytlować.

Nikt jój nie szanował, lecz wielu się nią na parę godzin zachwycało.

W téj chwili piękna jeszcze Marynia była cała w swém zamęźciu, w tém księstwie, które miała pozyskać (i wprędce utracić). Szło jój o to, aby jeszcze moeny Fleming, jeszcze znacząca podskarbina, nie posądzili jój, z powodu Lubomirskiego, o związki z Vitzthumami; obawiała się wszystkich. Przybywała więc tu się wkupić czémś w łaski, nie tylko dla siebie, ale dla brata Bielńskiego, któremu swatać chciała dorastającą właśnie córeczkę pani von Spiegel, Kasię, przyznaną i wyposażoną przez króla. Spiegłowej zas przypodobać się i pozyskać ją sobie było inożna, nie zalecając się pani podskarbinie.

Więc choć dla swojego Lubomirskiego, krewnego zięcia Vitzthumów, skarbila sobie dobrą wolę brabiny, a zarazem domu feldmarszałka zamiedbywać nie chciała.

Wpadła do salonu Denhoffowa, jak fryga. Pozdrawiając na wszystkie strony, okręcając się, śmiejąc, pytając i odpowiadając po drodze, wdzierając się i uśmiechając do wszystkich, dobiegła do krzesła podskarbiny, coś jój zaraz żywo poczynając szeptać do ucha. Uściśkała z ezuloscą zbyt wielkąby miała być szczérą, tę najukochańszą swą Aurorkę, zerwała się potem parę razy do innych pań, siedzących wkoło, słowem wniósła z sobą zamęt, burzę, zawicrucę, ale zarazem wesolość, ożywienie, zajęcie.

— A! moja ty droga podskarbiniko, moja złota, kochana—poczęła, nachylając się jój do ucha miała filutka, którój oczy już biegły gładzieindziej.— Co ja ci powiem, co ja ci przynoszę!.. Jestem cała wzburzona! Ta Vitzthumowa, niegodziwa, intrygantka, wystaw sobie...

— Jeżeli mi chcesz powiedzieć, kochana hrabino, że Vitzthumowa mojego brata i mnie nie-nawidzi i radaby pod nami dół wykopac, nie jest to dla mnie nowiną, wiem o tém zdawna—odezwiała się gospodyni głosem łagodnym, bez najmniejszego wzruszenia.—Powiedz mi raczój, kogo hr. Rachela kocha, oprócz siebie i swoich pié-niędzy; zatobym ci była bardzo wdzięczną.

— No, to powiem właśnie—szybko dodała Denhoffowa. — Piękny ma gust: kocha Watzdorfa!—To mówiąc, klasnęła w białe, śliczne rączki, całe pierścionkami okryte, i poczęła główką zabawnie potrząsać.—Watzdorfa! tego obrzydliwego gbara, chłopca, na którego ja patrzyc nie mogę. Zdaje mi się że go jeszcze czuć gnojem. Wdzięczy się do niego, do jego żony... do...

— W dzięczy się? ze swemi przekwitłemi wdziękami?—szepnęła cicho podskarbina.

— O! dla Watzdorfa, którego żona do kucharki podobna, jeszczeby hr. Rachela specyjałem była—śmiejąc się, zawołała Denhoffowa.—Ta ogromna szkuta, ze swym zadartym nośkiem, który się coraz mocniej do góry podnosi, piękniejsza jest jeszcze od swego ulubienca. Ale co ja ci powiem—dodała, schylając się.—Zaręczają mi napewno, że Vitzthumowa, rozumié się przez Lubomirskich (zmiłuj się, o tém nikomu! zgubiłabyś mnie) do Pocielowój posyła, buntuje hetmanową Sieniawską, ma konszachty z Polską, a nie mogąc tu szkodzić feldmarszałkowi, tam przeciw niemu ludzi podburza. Nawet (tu schyliła się do samego ucha) wczoraj... dzisiaj jakiś posłaniec z Polski przybył do nich po piéniądze.

Resztę Denhoffowa dokończyła minkami, wyrażającemi najwyższe oburzenie.

— A, moja droga—odparła spokojnie pod-

skarbina, wszystko to do nich podobne; ale, choć są bardzo zręczni, mogą się ich intrygi przeciwko nim samym obrócić. Feklmarszałek ma oko na wszystko, a jeszcze jest, dzięki łasce króla, dosyć silnym, aby i Vitzthumom dać naukę i Watzdorfa odesłać do Mansfelda. Wierzaj mi!

Denhoffowa zadrżała i skuliła białe ramiona.

— O! ja się téj baby strasznie boję—rzekła—i ostrzegam was, ostrzegam, nie lekceważcie jój, a szczególnież męża. Z królem jest zawsze jaknajlepiej.

— Zkądże wiesz o tém ich znoszeniu się z Pocięową i Sieniawską i o tym posłańcu?—zapytała podskarbina.

— Nie mogę powiedzieć, jak cię kocham! ale wiem z jaknajlepszego źródła, z jaknajlepszego! Wierz mi! Jak mamę kocham!—żywo i śpiesznie a tajemniczo pyłowała piękna sroczka, rozglądając się zarazem po zgromadzeniu, uśmiechając cceraz komuś zdala, kłaniając ręką od ust i wachlując.—Pocięowa i Sieniawska intrygują ogromnie teraz. Wszystkie tutejsze stare baby, kwoki nieznosne zaciągnęła Vitzthumowa do swojego pułku; Reussowę z siostrami, Hülchen i resztę.

Podskarbina słuchała tych zwierzeń nieporuszona, bawiąc się końcami chusteczki, którą trzymała na kolanach. Szczebiotanie to nie czyniło na nią widocznego wrażenia, choć wiadomość o konszachtach Vitzthumowej z paniami polskimi i o tym wysłańcu z Polski nie była dla niej obojętną.

Nasypawszy do ucha gospodyni różnych jeszcze skandalicznych wiadomości, Denhoffowa, która nigdy długo na jedném miejscu usiedzieć nie mogła, poruszyła się już do wyjścia, aby podobną

scenę z Vitzthumową odegrać. Było to jój obyczajem i zasadą polityki.

— Ale zostań-że trochę—zawołała gospodyni—możebys do gry ze mną usiadła?

— Ja? ale ja nie mam grosza przy duszy! Watzdorf mi nie wypłacił asygnacyi i czasu téż mi brak—spoglądając na zegareczek, wiszący u pasa, odparła roztrzępiona. — Muszę dziś jeszcze być w kilku miejscach. Chciałam ci tylko donieść o niegodziwościach Vitzthumowej. bo ja ciebie z duszy kocham! O! strzeżcie się téj jędzy!

— Ja się nad nią lituję — śmiejąc się pogardliwie, odpowiedziała Przebendowska. — O jój nieprzyjaźni dla nas wiem zdlawna. Feldmarszałek czuwa. Dziękuję ci, kochana hrabino.

Już wstając z krzesła i mając się pożegnać, odwróciła się jeszcze Denhoffowa.

— A! co za głowa ze mnie!—zawołała, chyląc się do gospodyni;—zapomniałam prawie najważniejszej rzeczy. Wszak będziecie ze Spieglową na reducie? Głowę sobie łamię nad kostiumem. Wszystko spowszechniało! przebiore się chyba za Indyankę, bo pióra mam śliczne. Mój książę chce mnie ubrać za Dianę.

Roześmiała się sama z tego.

— Ja chyba się za mniszkę przebiore — dodała podskarbina.

— *Mais c'est une idée!* tylko że do gorsu nie można—szybko poczęła Denhoffowa.—Vitzthumowej warto poradzić, aby się ukostiumowała za harpią, lub głowę Meduzy. Cha! cha! To mówiąc, pocałowała w czoło gospodynię.—*Adieu, adorable!*

Ale, odchodząc, postrzegła Fatymę Aurorę i na nią się jeszcze rzuciła.

— A ty, Aurorko, jaki kostium włożysz?— szepnęła.

— Ja?.. wiesz że zawsze jestem Turczynką, albo Greczynką — ze smutnym półuśmiechem odezwała się Fatyma—to mój kostium zwyczajny. Nie chcę być niepoznaną, owszem, wygodniéj mi z tém, aby wszyscy odrazu wiedzieli, kto jestem.

— A ty, ty!—grożąc jéj paluszkami poczęła Denhoffowa—ty jesteś dziwaczna z tém swoim ostygnięciem i obojętnością na wszystko. Słowo ci daję, że jeszcze tak jesteś piękna, iżbyś mogła zawracac głowy i sama się rozerwać. A! proszę cię, dla nas niema w życiu tylko to: durzyć się, póki można!

Ruszyła ramionami.

— Moja droga hrabino—zimno odezwała się Spieglowa—ty jeszcze jesteś młoda, a ja starsza, niż mój wiek. Zwiędłam. Dzieci tylko umiem kochać.

Piękna Marynia spojrzała na nią, ramiona jéj się podniosły, uścisnęła i pocałowała ją i jak przybyła, tak pierzchnęła pośpiesznie, biegnąc ku drzwiom, po drodze siejąc słowami i uśmiechami. Kilka razy zatrzymała się przy różnych panach znajomych, kilku młodszycb ludzi zaczępiła, nareszcie wyszła, a kobiety wszystkie powiodły za nią oczyma.

W salonie został tylko po niéj strumień zapachu piżma, który się rozszedł od jéj sukienek i pudru.

— Dziecko zawsze!—szepnęła podskarbina.

Spieglowa pogardliwie usta skrzywila.

— Gorzej, bo to małpeczka—rzekła—niełitościwa dla siebie.

— A nadto miłosierna dla drugich—dodał cienki, złośliwy głosik z boku.

Około godziny ósmej gości się w salonie przebierać zaczęło, najpoufalszych tylko kilku pozostało na wieczerzę, którą codzień na kilkanaście osób zastawiano. Podskarbina czyniła wybór pomiędzy odwiedzającymi i zapraszała tych, z którymi swobodnie resztę wieczoru spędzić mogła.

Z tego dnia też przeważnie polskie towarzystwo zostało na wieczerzy. Pani Przebendowska miała nadzieję czegoś się jeszcze o burzy, jaką hetmanowe podniosły przeciw Flemingowi, dowiedzieć od nowoprzybyłych.

Wciągu tego wieczora i wieczerzy, pan Serwacy Przebendowski okazał się niepotrzebnym do bawienia gości i nie był wzywany. Podskarbina szepnęła tylko kamerdynerowi, ażeby po rozejściu się zaproszonych i skończeniu gry przywołał go do niej. Wysłano więc na górę do zamkniętego już w swój izdebce i napół rozebranego Serwusia, aby się stawił do pani. Zdziwiło go to nieco, choć nadzwyczajnego w tém nic nie było. Nanowo się więc w buraczkowy żupanik ubrał i gotował zejść po rozkazy.

Lombr u podskarbiny skończył się dnia tego dosyć wcześnie, a pani Spieglowa, pamiętając na ranny ból głowy, gości się coprędzej pozbywała, aby wcześniej dać spocząć przyjaciółce, której blada twarz zdawała się jeszcze zapowiadać powrót migreny. Ostatni z gości przestępował próg salonu, gdy Serwuś, pilny w spełnianiu rozkazów pani, zjawił się już i odchrząknął zdala,

oznajmując o sobie, bo zbliżyć się sam nie śmiał, póki go nie powołano.

Spieglowa, zobaczywszy go we drzwiach, skinęła mu głową poufale i wysunęła się zaraz, a podskarbina dała znak, aby się ku niej przybliżył.

Biédnego chłopca wyśmiewano w przedpokojach z powodu jego adoracyi tchórzliwój dla pani, za co on łajał, gniwał się i oburzał. Wiedziała o téj czei jego od sług podskarbina i śmiała się z nieśmiałości i niezgrabstwa człowieka, którego próżno usiłowała dobrém słowem i łagodném obejściem nieco spoufalić.

Nic to jednak nie pomagało: Serwus pozostał strwożonym zawsze sługą, jak gdyby od wczoraj dopiero na dwór był wzięty. Niezgrabstwo jego, jakanie się, postać niepozorna litość obudzały. Przekonaną była Przebendowska, że wierniejszego i pocziwszego sługi nadeń nie miała; czuła dlań sympatyą, wiedząc jak był osieroconym i biédnym, niedomyslając się wcale pod tą chropawą powłoką samoistniejszego ducha i charakteru. Chwilami powątpiewała nawet o zdolnościach Serwusia, który się z tém nie wydawał, że myśleć umiał. Rachowała też więcéj na jego posłuszeństwo i wierność, niż na rozum i bystrość.

Na skinienie pani, Serwus począł się zbliżać ku niej nieśmiało. Chód jego był wahający się, dziwny, pijany prawie; silił się, by w pustym salonie jaknajmniéj sprawić szelestu — stąpał ostrożnie. Niekiedy rzucał wzrok na siedzącą panią i, jak przerażony, spuszczał natychmiast oczy.

Majestat pani Przebendowskieój odbićrał mu prawie przytomność i siłę.

Podskarbina, patrząc na to, nieznacznie się uśmiechała. Pochlebiała jej ta cześć, to pohamowanie, ten trwożliwy wzrok, który spotkania jej jasnych oczu wytrzymać nie mógł.

— Ale pójdź-że acan tu bliżej ku mnie—odezwiała się wreszcie, wyczekawszy trochę.—Jestem słaba, zmęczona, głośno mówić nie mogę i nie chcę, a trzeba ażebyś dobrze słyszał, co powiem. Zbliź się acan, niepowinieneś być tak nieśmiały; nie od dziś dnia się przecie znamy.

Serwuś coraz to krok postępował, niepewnym będąc, jak dalece zbliżyć się może. Głowę spuszczał coraz pokorniej, a długa jego postać zgięła się i przechyliła nabok najpocieszniej.

Śmiała się w duchu podskarbina. Nim mówić zaczęła, popatrzyła nań jeszcze, jakby pytając oczyma, czy ją zrozumieć potrafi; wreszcie odezwiała się powoli; z rozmysłem, ccdząc wyrazy i nie spuszczać go z oka, aby się przekonać, że wyrazy jej nie zostały stracone.

— Potrzebuję posługi acana—mówiła zwolna.—Nie radabym się go ztąd pozbywać, boś mi tu potrzebny i trudno go zastąpić; ale tam, gdzie go chcę posłać, potrzebniejszym być możesz jeszcze. Bardzo mi o to chodzi, abyś acan to spełnił.

Usłyszawszy wyraz „posłać“, Serwuś drgnął, podniósł oczy wystraszone i natychmiast spuścił je. Mimowolnie się mu z ust wyrwało:

— Posłać?

Wgłosie jego tak silnie wyrażony był niepokój i trwoga, że podskarbina na chwilę się wstrzymała.

— Ale nie bój-że się acan—dodała, poczekawszy nicco—niéma znowu w tém nic tak straszego pocztą pojechać do Warszawy lub do

Wilna—do Wilna pewno wypadnie!—i nazad tu powrócić. Prawda że pora zimowa.

— A! cóż tam zima znaczy?—zamruczał, ręką machnąwszy, Serwuś.

— Acan mi możesz wielką uczynić przysługę, bo ja na niego rachuję, jako na swojego—odezwała się podskarbina.

— A! co tylko pani rozkaże, jam gotów na wszystko!—szybko, jaskając się aż z pośpiechu, podchwycił Serwuś—w ogień czy w wodę!

Uśmiechnęła się pani.

— Trzeba żebyś mnie acan najprzód dobrze zrozumiał—odezwała się—o co idzie. Zawieziesz acan list ważny do hetmanowej Pocięjowej i przywieziesz od niej koniecznie odpowiedź.

Bystro oczyma błysnął Serwuś, choć nie odezwał się ni słowem; twarz mu się zmieniła, eżół zaczynało marszczyć.

— Toć niestraszna rzecz—dodała podskarbina.

— A niestraszna—krótko potwierdził, przeznawając po swojemu, Serwuś—co ma być strasznego?

— Tak, ale to dopiero połowa roboty—ciągnęła dalej, bawiąc się chusteczką i w oczy mu patrząc podskarblna.—Wiemy to już z pewnością, że obie panie hetmanowe strasznie przeciwno feldmarszałkowi tam wojują, burzą przeciwnie panów i szlachtę. Formalny spisek! Może to przesadzone plotki, ale rzecz pewna, że brat mój wielu ma niechętnych tu i tam. Trzeba ażebyś się acan starał przekonać naocznie, jak tam rzeczy stoją, abys mi z tego zdał wierną sprawę i przywiózł szeregółową relacją. Nie potrzebuje, zdaje mi się, tłumaczyć acanu, że gdy-

by się po drodze okazała trafiła, pownieneś ludziom obalamuconym otwierać oczy.

Podskarbina, przed którą z głową spuszczoną stał dotąd nieruchomy, jak zawsze, nieśmiały i skonfundowany majestatem jej Serwuś, ujrzała nagle, z podziwieniem, tak nadzwyczajną w nim zmianę, że z początku oczom swym prawie wierzyć nie chciała, a w końcu ogarnęła ją niemal trwoga. Posądziła go, że biedny chłopak zwaryował.

Serwuś, którego nigdy w życiu takim nie widziała, odprostował się, oczy podniósł, twarz nabrała niezwykłego wyrazu, niepojętego dla niej. Stał się jakby innym zupełnie człowiekiem. Widoczném było, że w nim zagrała poruszona nagle sprężyna jakaś — nieznana.

Stał niemy jeszcze, drżący, ale patrzył na mówiącą tak śmiało, dziwnie, zuchwale prawie, że biednej niewieście zrobiło się trwożno. Ona, co się nie zwykła była lękać niczego, ulękła się tej metamorfozy niezapowiedzianej, dokonanej w jej oczach, jakby dotknięciem różeczki czarodziejskiej.

— Ale co acanu jest? co acanu jest? — zawołała.

Serwuś patrzył, usta mu się poruszały ciągle, a wyrazu wymówić nie mógł. Widocznie walczył z sobą i pot kroplisty występował mu na potłdowane czoło; twarz stała się może brzydszą niż była zwykle, lecz jaśniała teraz inteligencją i energią, do najwyższego podbudzoną stopnia.

— Ja... ja — wybąknął naostatek Serwuś — ja tego uczynić nie mogę!

Podskarbina osłupiała. Nie umiała odpowiedzieć. Całą jej uwagę ściągał tu człowiek inny,

który się zjawił nagle przed nią, istota nieznana jakas, silna ze słabiej i politowania godnej, rozwinięta w oka mgnieniu.

— Co acan mówisz?—zawołała.

— Ja tego uczynić nie mogę!—powtórzył, łykając i głową rzucając, jak obłąkany, Serwus—nie mogę!

Podskarbina milczała przestraszona.

— Niech mi pani każe iść na stracenie, życie dać, kazać się porąbać w sztuki: pójdę, ani drgnę; ale podpatrywać swoich, donosić, nie! to nie może być, nie mogę! Zginę, a tego nie zrobię!

Przebendowska jeszcze dobrze nie rozumiała. Serwus przychodził do przytomności i ośmielał się coraz więcej.

— Ja... jabym za panią życie dał—dorzucił głosem wzruszonym—ale zdradzać swoich braci i do spisku na wolność rzeczypospolitą się ciągnąć, tego ja nie mogę. Niech mnie ubiją! Nie, nie!

— Jako przeciwko rzeczypospolitej?—poczęła dopiero, budząc się niby, Przebendowska, uczuwszy, co w tym człowieku zadrgało i mówiło. Twarz jej gniewem się poruszyła.—My chcemy ratować, nie gubić rzeczypospolitą. Ja przecież kraj ten kocham niemniej od acana. Masz chyba głowę obalamuconą tą waszą tak zwaną swobodą szlachecką, która jest tylko anarchią, nieładem, wyzyskiwaniem ubogich przez możnych. Co się acanu stało? Opamiętaj się! Wolicie więc wszyscy mieć tysiąc panów, którzy wami rzucać i cisnąć was będą, niż jednego, co by rządził łaskawie i sprawiedliwie?.. Co acan mówisz? co się wam stało? ja nie poznaję acana; jam go jeszcze nigdy takim nie widziała. Cóż to za ferwor tak nagły?—kończyła podskarbina.

Serwus słuchał, jak winowajca, pot ociérając ze skroni.

— Co mam mówić?—odezwał się.—Ja tego uczynić nie mogę, sumienie nie pozwala. Może jestem obalamucony, ale ja tę naszą wolność, niech ona sobie i głupia będzie, kocham i szanuję. A żebym ja na nią nastawać miał, nigdy w świecie! Nie mogę—powtórzył śmiało Serwus.

— Czegóż acan nie możesz? — już coraz gniéwniej odezwała się, zwykle bardzo łagodna, podskarbina.—Acanu się w głowie pomieszało! Acan mi tu rezonujesz!

Serwus głowę spuścił, chwilę przybity zmilczał, jak posąg; ale kości były rzucone i wnet rozpaczliwą jakąś odwagę odzyskał.

— Jestem sługą państwa—odezwał się.—List mi pani każe wieść, to powiozę, oddam święcie i powrócę; ale gęby nie otworzę, podpatrywać nie będę i nawracać nie mogę! To nie moja rzecz. Już mówiłem, jaśnie pani wie co ja myślę.

Pani Przebendowska, spotkawszy opór tak niespodziany, zrazu rozgniewała się, oburzyła; potem ostygła, a wreszcie i dawna litość nad biednym sierotą, zwiększona jego obłąkaniem, wróciła do jej serca.

— Któż, gdzie i jak waćpanu głowę przewrócił?—poczęła.—Co to ma znaczyć?

— Ja zawsze jedno myślałem—rzekł Serwus pokorniej—mnie nikt głowy nie zawracał.

— Mów-że mi acan szczerze, mów otwarcie; znasz mnie że mu sprzyjam, co to wszystko ma znaczyć? Nie mogę zrozumieć tego nagłego buntu z jego strony. Byłeś zawsze dobrym naszym sługą...

— A ja się i dziś dam za panią i pana posiekać na kawałki—odezwał się Serwus—ale co

nie może być, to nie może! Nasza republika tyle set lat była wolna, żebyśmy ją zabijali sami i grzebali! żebym ja do tego rękę przykładł! Toć lepij umrzeć, lepij umrzeć!—wołał, zapalając się znowu, Serwuś.

Podskarbina przerażona była. Patrzyła na niego. Zapal, z jakim mówił, przejął ją i politowaniem i szacunkiem razem. Załamała ręce.

— Takich jak acan jest tam pewnie tysiące!—zawołała z bolnością.—Sam Bóg nawet nie może ocalić tych, co ocalonymi być nie chcą! O biedni, nieszczęśliwi, zaślepieni!

Słyszając to, Serwuś poruszył się bardziej jeszcze. Nagle jak stał przed panią, tak padł na kolana, do nóg się jej schylając.

— Niech mi pani moja, dobrodziejka najlaskawsza, przebaczy!—zawołał, ręce składając—i albo odpędzi, to pójdę precz, pójdę za kraj świata, choć mi obojga państwa żal będzie, albo niech mi pani zawierzy i listy da. Listy odniosę wiernie. Bóg świadkiem duszy mojej!

Uderzył się w piersi.

Dobréj, litościwój kobięcie żał się go zrobiło; coprędzej kazala mu się podnieść z ziemi i wstała z krzesła poruszona.

— Dosyć-że już tego —rzekła—dosyć! Miěj acan rozum, panie Serwacy. Ja już od acana niczego nie żądam. Idź, proszę, idź!

— Jak mi pani listu nie powierzy—rzekł—no, to pójdę precz, regista i kasę zdawszy; to będzie znakiem, że już wiary nie mam. A pocóż ja tu wtedy potrzebny?

Lzy mu się z oczów puścily. Podskarbina, uspokajając go, rękę mu położyła na ramieniu.

— Jutro pojedziesz z listem do Pocięjowej—rzekła.—Uspokój się acan, wierzę mu i więcej

niczego nie wymagam. O całém tém niedorzeczném wystąpieniu nie powieni nikomn. Idź wacpan, idź!

Rzucił się Serwuś do pocałowania ręki, zakręcił jak pijany i potoczył ku drzwiom. Podskarbina stała długo, patrząc za nim i nie mogąc oprzytomnieć.

W czasie téj dziwnej rozprawy z nim, Spiegłowa, która czekała na przyjaciółkę w trzecim pokoju (a dla niej Przebendowska tajemniczadnych nie miała), usłyszawszy dziwne podniesione głosy, łkanie, jęk, hałas jakiś, podbiegła ku drzwiom i nie śmiąc wejść, patrzyła na tę scenę dramatyczną, nie mogąc jęj zrozumieć. Gotową już była przypuścić, że istotnie ów głuptaszek pani się swojój oświadczył.

Jeszcze stała w miejscu podskarbina, nie mogąc przyjść do siebie, gdy niespokojna przyjaciółka przysunęła się do niej.

— Co to było, na miłość Bożą! co to było?

Pani Przebendowska, zamiast odpowiedzieć, padła wysiłona na krzesło.

— Biedny chłopiec—odezwała się głosem cichym—oszalał!

— Oświadczył ci się, czy co? Widziałam go klęczącego—rzekła, napół śmiejąc się, Spiegłowa.

— Mniejby mnie może zdziwiło to szalenstwo, niż to, które się nagle w nim objawiło—odparła Przebendowska.

— Wistocie — wtrąciła Spiegłowa—patrząc nań zdala, wydawało się, jakby miał postawę i głos obłąkanego... Ale cóż to jest?

— Chciałam go jutro wysłać z listem do Pociowej—mówiła gospodyni—nie znając go dotąd, co tam w nim siedzi, i razem zlecić mu przegnęłam, aby rozpatrzył się w kraju i przywiózł

mi wiadomość. Otóż on, republikanin zagorzał, jak się okazuje, oświadczył mi, że przeciwko swęj ukochanęj wolności szlacheckięj spiskować nie będzie. Raczęj śmierć i... co chcesz, waryat!

Spieglowa, która długo mieszkając w Warszawie, znała kraj dobrze, zrozumiała to odrazu.

— O! — zawołała — ja się temu nie dziwię. Takich jak on jest wielu; ale że ten głuptaszek, mruk nagle tak się zdecydował!

— Wystąpił jako bohater-republikanin — z litością dokończyła Przebendowska, palcem uderzając się w czoło i dając poznać przyjaciółce, że to był rodzaj obłąkania.

O wypadku tym poczęły mówić długo i szeroko, gdyż wistocie było o czém. Sam z siebie małeji wagi, dawał miarę tego, co się tam dzieć mogło, gdzie żywioły podobne, zebrane razem, ogień w sobie wzajem podsycaly. Podskarbina osmucona uprosiła tylko Spieglowęj, ażeby wszystko to między niemi dwiema zostało.

— List do Pocięjowęj jutro rano mu dam — rzekła — bom zupełnie spokojna, że mi się sprawi wiernie, ale niemnięj jest to zapewne ostatnia tego rodzaju przysługa, której żądać będę od niego.

Gdy się to działo w salonie pani Przebendowskieji, Serwuś, wybiegłszy z niego jak szalony, przeleciał korytarze i wpadł do swęj izdebki pod strychem, włosy sobie rwąc na głowie. Sam teraz nie rozumiał, jak się to stało, iż się ważył wystąpić jak szalencie przed swą dobrodziejką, zdradzić się tak fatalnie i nie umieć powściągnąć. Czuł że popełnił niedorzeczność, ale zarazem i to, że gdyby powtórnie był narażony na podobny wypadek, nie postąpiłby inaczej.

„Prędzēj późniēj wydać się to musiało“ — mó-

wił sobie.—Czekało go wygnanie, lecz niewiele się troszczył o siebie i był własny, coś zawsze spodziewając się znaleźć na świecie, aby nie mrzeć głodem; ale nawyk był i przyrósł duszą do tego domu. Żał mu było podskarbinsy, której nikt tak wiernie jak on nie mógł usłużyć, kobiety dla której miał cześć, jak dla jakiejś wyższej istoty, co wśród powszechnego zepsucia pozostała nieskażoną.

Jedna chwila uniesienia zerwała wszystkie stosunki;—„a przecież, powtarzał Serwacy, biegając po izdebce, gdyby się chwila ta wróciła, nie godziłoby się inaczéj postąpić “ Obwinił się i uniewinniał, a serce mu się ścisnęło okrutnie.

Prawdą było, co sam wyznał przed Polubińskim, iż czasu pobytu swego w seminaryum w Rzymie, nie czując powołania do stanu duchownego, mając przytém dosyć swobody korzystania z bogatej biblioteki kolegium, czytał wielu starożytnych pisarzy, nabywając z książek pojęć i przekonań republikanских, a miarą ich potém, obcą i niewłaściwą, domowe stosunki oceniał. Czynnego życia niewiele skosztowawszy, rzeczywistemu nie przypatrzawszy się światu, budował sobie własny z książek, marzeń i ideałów. To, co widział na saskim dworze, oburzało go; zdawało mu się, że z republikańskich ziaren domowych lepszy i piękniejszy żywot mógł wykwitnąć.

Mало z ludźmi obcując, nie miał sposobności poddać swych przekonań żadnej krytyce i dał im w duszy wybujać. Były-to marzenia młodzieńcze; ale Serwus uparcie się ich trzymał, z natury swój gdy raz jaką ideę przyswoił sobie, trzymając się jéj zawzięcie. Przez znaczną część nocy, nie mogąc ani robić nic, ani spocząć, chodził po swojej izdebce, zakłopotany, zgryziony

i smutny. Nadedniem dopiéro sen go zmo-rzył.

Ruch w pałacu, który się rozpoczynał zawcza-su, zbudził go wkrótce do zwykłych zatrudnień. Potrzeba się było w drogę wybierać, chociaż to nie wymagało długiego czasu—juki tylko niewielkie mógł wziąć na pocztowego konia, a mimo zimy inaczej jak konno podróż odbywać pojedynczemu człowiekowi nie było naówczas we zwyczaj, zwłaszcza takiemu jak Serwus po-słańcowi.

Wybrawszy się tedy, gdy dosyć długo nie od-bierał żadnej wiadomości od podskarbinsy, a po-trzebował się z Polubińskim pożegnać i oznaj-mić mu o sobie, pobiegł pod Trębacza. Pan Paweł wybierał się też już w drogę. Zastał go nad tłomokiem, którego sprzęczki poobrywane zastępował sznurkami. Tać się przed nim z wy-jazdem swym nie miał potrzeby, rzekł więc za-raz przy powitaniu:

— Przyszedłem się pożegnać z tobą; niespo-dziana rzecz zaszła. Może się gdzie na Litwie spotkamy, bo ja bodaj dziś jeszcze do Wilna się puszcę.

— Co ty mówisz? dokąd? jak? poco?—krzy-knął, zrywając się od tłomoka, pan Paweł, nie zważając na to, że tylko co ściągnięty z wielką siłą, natychmiast znów się rozpadł.

— A no, do Wilna!—rzekł Serwacy.—Pan każe, sługa musi.

— Na miłego Boga! Jeżeli do Wilna—począł, napadając go, szlachcic—jeżeli do Wilna, to w je-dną drogę jedziemy.

— Pewnie do Wilna.

— Toby dopiéro była gratka dla Matyska! — zawołał Paweł, ręce składając.—Co się masz na

gałganskim koniu tłuc, pojedziesz ze mną. Na wozie miejsca dosyć, choć na trzech, ciężaru mu wiele nie przyczynisz, a będziesz moim zbawcą i dobroczyńcą, bo mnie nieznancmu podróż samotna obcym krajem i bez tego ich szwargotu dojadła tak, żem gotów do nóg ci paść, abys jechał ze mną.

Prośba ta i dla Serwusia była nie do odrzucenia; jednakże namysłć się potrzebował, nim ją przyjął i nie przystał odrazu.

Połubiński ze złożonemi nalegał rękami, od drzwi zachodził, nie puszczał, błagał, zaklinał, dopóki choć warunkowój nie otrzymał obietnicy. Ofiarował się nawet, gdyby tego była potrzeba, dzień i dwa oczekiwać na towarzysza.

Sumienny wielce we wszystkiém, Serwuś, choć gotów był się puścić z Pawłem, sądził że tego bez pozwolenia i wiadomości podskarbinsy uczynić nie może. Zawrócił więc zaraz do domu. Tu znalazł już list gotowy, pieniądze na drogę i panią, która z dosyć surową twarzą, milcząca, wyszła mu je doręczyć sama.

— Jedź waćpan dziś, jeżeli możesz, najdalej jutro — rzekła.— Do mojego męża wstępować niema potrzeby. O liście, który wiesz, nikt wiedzieć nie powinien. Oddasz go acan do rąk pani hetmanowój, a to tak, ażeby przy tém ludzi nie było i plotki z tego niedorzeczne nie urosły.

Serwuś, który dnia tego znowu stał się pokornym, milczącym i nieumiejącym trzech zliczyć, na wszystko odpowiadał „tak,“ a w końcu tylko, jaskając się i żując, oświadczył, że mu się trafiała okazja, zatém i pieniędzy tyle potrzebować nie będzie.

Podskarbina patrzyła nań z uwagą, widząc

w nim znowu starego człowieka i ani śladu wybryku wczorajszego.

— Jeżeli się acanu trafia okazyja pewna, bez marnowania czasu, a opowiadania się dokąd waćpan jedziesz, z czém i poco, to jój sobie użyj. Co oszczędzisz, możesz zatrzymać dla siebie.

Podskarbina chciała mu jeszcze dać naukę, lecz drażliwego przedmiotu dotykać nie śmiała. Dodała tylko:

— Ustnie waćpan odpowiesz hetmanowej na jój pytania, nie rozwodząc się nad tem, co niepotrzebne, a jeśli mi co żywém także słowem odpowieć, przywieziesz jój rezolucyą. Jedź acan — dodała łagodniej w końcu — niech Bóg prowadził Powracaj prędko, a nie dawaj tam sobie nikomu głowy zawracać niedorzecznościami. To acanu więcej może zaszkodzić, niż pomódz.

Nie dając czasu na odpowiedź, do której, żując. Serwuś się zabięrał, podskarbina, widząc go już wielce skonfundowanym, podała mu rękę do pocałowania, co było znakiem wielkiej łaski. Serwuś, napół zgięty, złożywszy nieśmiały pocałunek na białych paluszkach, odszedł upojony i szczęśliwy.

Miał już natychmiast z jukami swemi przenosić się pod Trębacza, gdy niespodzianie nadszedł ksiądz Bildinkiewicz, o którym był zapomniał. Zastawszy go już po podróznemu, zdziwił się mocno.

— A ty się dokąd wybierasz? Wczoraj o żadnej podróży mowy nie było.

— Wyprosiłem się dla mojego interesu familijnego — skłamał narazie niezręcznie Przebendowski.

— Tożes mawiał dawniej, żeś jak palec sićrota i nikogo nie masz na świecie — odparł ksiądz z niejakiem niedowierzaniem.

— A, to tam się znaleźli dalecy krewni—splątał się jeszcze gorzej Serwacy;—cóż to tam może kiedyś kapnać. Muszę się dopilnować. Paweł także rusza na Litwę, to może się razem zabierzemy.

Ksiądz się wiadomością tą bardzo ucieszył.

— Może będziesz w Wilnie?—zapytał.

— A najpewniej.

— To się prawdziwie opatrnościowo składa—dodał Bildiukiewicz.—Paweł człowiek bardzo poczciwy, ale szalapat okrutny. Będę miał listy ważne do przesłania do Wilna; nie odmówisz mi ich zabrać. Niewielka ci rzecz pójść na śniadanie do starego księdza Trzeciaka.

Ksiądz Trzeciak, braciszek, choć go patrem dla wieku nazywano, wyśmienity człek, był od dawna ek onomem w kolegium wileńskim.

Nie na rękę wprowadzie było Serwacemu wzić się z listami jezuitów, których o sprzyjanie absolutyzmowi królewskiemu posądzał, ale odmówić przyjęcia ich pozoru nawet nie było.

— Zmiłuj-że się, czekaj na moje listy, łaskę mi zrobisz—dodał, śpiesząc, Bildiukiewicz.—Idę zaraz po nie i pod Trębacza je przyniosę.

Domyślał się Serwus co za listy, pewnie ze dworu, miał wieść ze sobą; czuł że się stawał posłańcem tych, co na rzeczpospolitą czyhali; ale cóż miał robić?

Po wyjściu księdza mało sobie palców nie powyłamywał, bo miał zwyczaj, gdy był w utrapieniu, wyciągać je ze stawów. Nic to jednak nie pomogło. Los na przekorę czynił go pomocnikiem tych, którymby był chciał jaknajmocniej przeszkodzić.

Koniec tomu pierwszego.

Biblioteka Raczyńskich

JK 555



JK0555